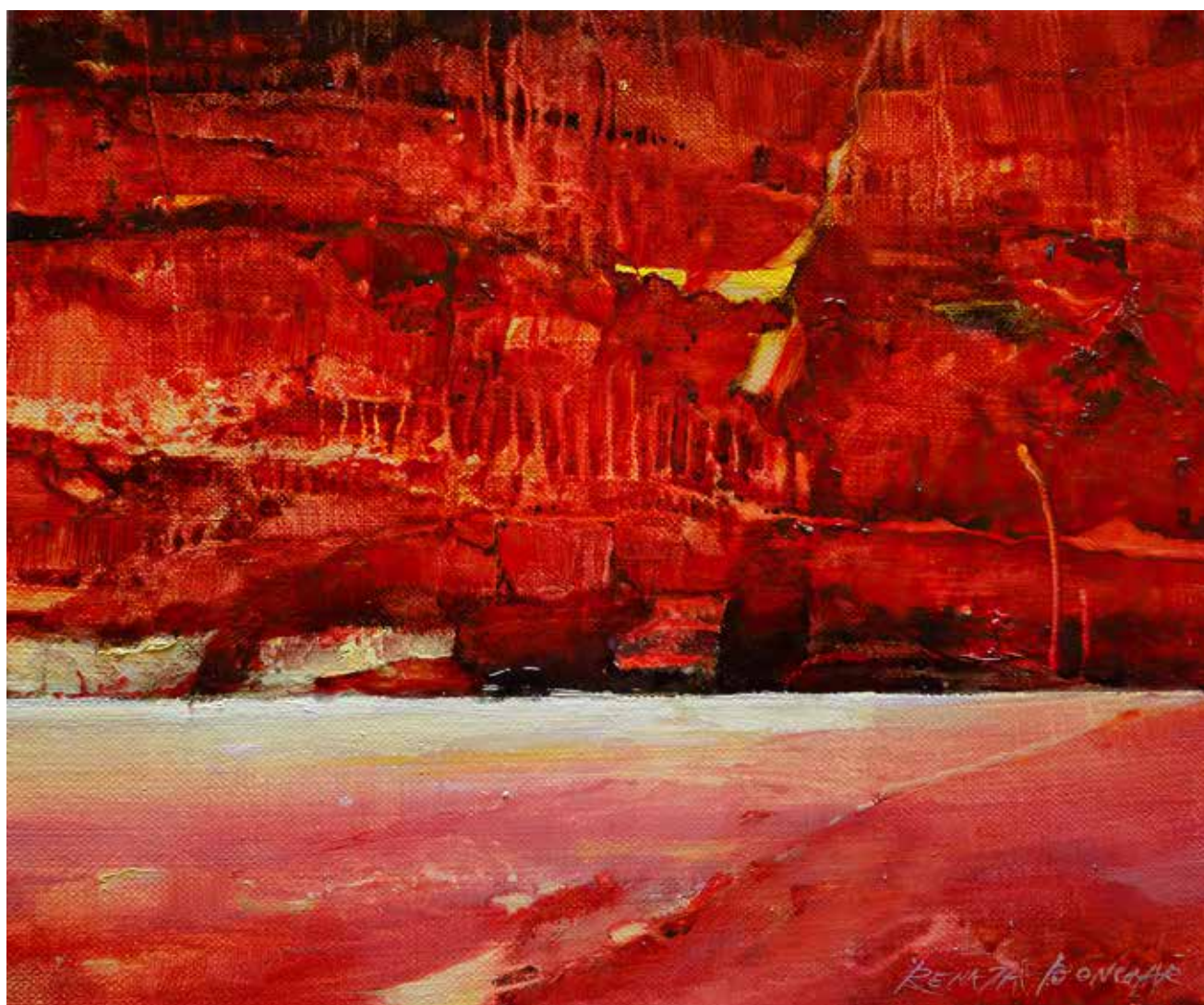


MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK

CENA 10 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl) Nr 8 (335) • ROK XXIX • SIERPIEŃ 2023



TRWANIE  
I NADZIEJA



fot. Zbigniew Lubowski



Po upływie prawie 170 lat od udostępnienia pasażerom dworca kolejowego w miejscowości Dziedzice na Śląsku Cieszyńskim zyska on wreszcie nowe oblicze (na zdjęciu). Archaiczny i skrajnie zaniedbany obiekt jest teraz gruntownie rewitalizowany. Zakłada się, że odnowiony dworzec w Czechowicach-Dziedzicach zostanie otwarty wiosną przyszłego roku. Będzie to kolejna atrakcja w mieście, przez które przebiega 19. południk długości wschodniej, dzielący Polskę na dwie równe części.

Szczegóły str. 24

fot. materiały prasowe



W Strzemieszycach Małych, dzielnicy Dąbrowy Górniczej, trwają prace renowacyjne przy ponad dwustuletniej przydrożnej kapliczce. Z pozoru jest to niewielki i niepozorny obiekt sakralny, jakich wiele w naszym województwie, jednak wiąże się z nim ciekawe fakty dotyczące nie tylko historii regionu, a nawet dziejów polskiego Kościoła po 1945 roku.

Szczegóły str. 50

fot. Maciej Działczko



29 Międzynarodowy Festiwal Sztuk Performatywnych A PART miał miejsce w Katowicach w dniach 16-25 czerwca. Impreza zgodnie z tradycją rozpoczęła się w Rialcie koncertem muzycznym, w którym wystąpili Mambo Nini z Haiti, Lekso Gremelaszwili z Gruzji oraz Marcin „Cozer” Markiewicz. Dzień później w Pałacu Młodzieży zaprezentował się kolektyw StE-AM ROOM z *DragON aka Phoenix* oraz – w Galerii Ateneum – *Kairos* Moniki Wachowicz i Jarosława Freta. Marcin Herich, dyrektor festiwalu, od kilku lat na festiwalowe deski zaprasza również teatry lalkowe. W trakcie festiwalu w Pałacu Młodzieży wystawiono *Ostrov* czeskiego kolektywu Burkicom. Na zdjęciu kadr z tego spektaklu.

Szczegóły str. 78

11 lipca 2023 roku

zmarł

**Jan Paweł Krasnodębski**

poeta i prozaik,

członek założyciel Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego.

Pozostanie na kartach polskiej literatury.

Nr 8 (335). Rok XXIX. SIERPIEŃ 2023

WYDAWCA  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL  
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca redaktora naczelnegoTOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ  
Kultura, sztukaTOMASZ KOWALSKI  
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA  
KorektaBOGUMIŁA CYROŃ  
Kierownik biura

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS  
JAROSŁAW KAPSA  
WOJCIECH LIPOWSKI  
ZBIGNIEW LUBOWSKI  
PAWEŁ MAJERSKI  
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA  
JERZY PASZEK  
KS. HENRYK PYKA  
BOGNA SKWARA  
PIOTR SKOWRONEK  
HENRYK SZCZEPAŃSKI  
GRZEGORZ SZTOLER  
JOANNA WAROŃSKA-GESLARZ  
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:

MARIAN G. GERLICH  
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO  
RYSZARD JASNORZEWSKI  
KRZYSZTOF ŁĘCKI  
JAN MALICKI  
JAN MIODEK  
TOMASZ SŁUPIKADRES REDAKCJI  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian  
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie  
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów  
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:

Bezpośrednio w Biurze  
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego  
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120  
Wpłaty należy dokonywać na konto:  
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
Santander Bank Polska S.A.  
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 120 zł, półroczna – 60 zł, kwartalna  
– 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod  
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Cena egzemplarza – 10 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne  
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
dostępne w wersji elektronicznej na [www.sbc.org.pl](http://www.sbc.org.pl)  
oraz na [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl)  
Nakład: 1000 egzemplarzy

## W NUMERZE

## PUBLICYSTYKA

- 2 *Marian Kisiel* CZWARTA NAD RANEM  
4 *Piotr Skowronek* ŚLĄZACY I GÓRY. ROZMOWA Z ALPINISTĄ IGNACYM WALENTYM NENDZĄ  
8 ks. *Jerzy Szymik* ŻYCIE W OBFITOŚCI  
10 *Ryszard Twardoń* SKALPEL ANATOMIA (1)  
15 *Radosław Kobierski* RADOŚĆ TO FORMA OPORU  
16 *Krzysztof Węgrzynek* O WSZYSTKIM IDZIE GODAĆ PO ŚLASKU. ROZMOWA Z ZBIGNIEWEM STRYJEM, ZASTĘPCĄ DYREKTORA DS. ARTYSTYCZNYCH TEATRU NOWEGO W ZABRZU  
24 *Zbigniew Lubowski* POŁUDNIKOWE MIASTO  
26 *Anna Gurbicz, Witold Turant* DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (13)  
30 *Piotr Zaczekowski* LĘK JAKO GATUNEK LITERACKI (V)  
32 OSTATNI AKORD SEZONU ARTYSTYCZNEGO OPERY ŚLĄSKIEJ  
40 *Apel Środowiska Naukowego* DO WSZYSTKICH SIŁ POLITYCZNYCH W POLSCE  
42 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* EXEGI... IGNACEGO FIKA  
47 *Bohdan Łukaszewicz* MIECZYŚLAW KABAJ (1933-2023)  
48 *Weronika Górka* POKAZAĆ ŚLĄZAKOM, ŻE POTRAFIĄ LATAĆ  
50 *Agnieszka Zielińska* NIEZWYKŁA HISTORIA ZWYKŁEJ KAPLICZKI  
52 *Wojciech Lipowski* MIESZKANIE BEZ ADRESU  
55 *Stefan Zabierowski* JOSEPH CONRAD – KORZENIOWSKI I WOŁOGDA  
58 *Marian Kisiel* JAN PIOTROWIAK 20 LISTOPADA 1949 – 13 LIPCA 2023  
78 *Radosław Kobierski* ILUZJE, GRANICE, PARTYCYPACJE  
80 *Zbigniew Lubowski* ATOMOWE POŻEGNANIE ROCKOWEGO ZAPALEŃCA

## PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 66 *Henryk Waniek, Kiejstut Bereźnicki, Agata Anna Chrzanowska* O MALARSTWIE RENATY BONCZAR  
69 GALERIA: RENATA BONCZAR – MALARSTWO

## POEZJA I PROZA

- 3 *Kordian Michalak* WIERSZ NA OTWARCIE  
13 *Monika Błaszczków* ŚLĄSKA GOLGOTA  
14 *Kordian Michalak* WIERSZE  
20 *Krzysztof Kustrzępa* PROZA  
37 *Jarosław Lewicki* PROZA  
44 *Elżbieta Adamiec* WIERSZE  
74 *Jacek Wocka* WIERSZE

## FELIETONY

- 25 NOTATNIK SPORTOWY *Ryszard Jasnorzewski* PRZEGRANY TALIZMAN  
29 WYZNANIA GÓRNOŚLĄZAKA *Tomasz Słupik* ROSJI NIE MOŻNA OBJĄĆ ROZUMEM  
35 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* DON PASQUALE, MALICKI I NAWROT W BUSKU-ZDROJU  
36 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSzczyzna *Jan Miodek* „KIEBY NIE TE KIEBY...”  
41 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* BYŁEM (...) KRÓLEWICZEM ZAKŁĘTYM Z BAJKI  
46 ZAPISKI REZONERA *Krzysztof Łęcki* NA CZTERY SPUSTY  
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* LUTOSŁAWSKI – POZA CZASEM I PRZESTRZENIĄ  
76 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* FANTANA. AGORA „PRZEDWOJENNYCH MŁODYCH GNIEWNYCH”

## KSIĄŻKI

- 60 *Krzysztof Hesk-Kwaśniewicz* UNIWERSYTECKA „SOLIDARNOŚĆ”  
62 *Grzegorz Sztoler* NIECHCIANI BOHATEROWIE  
63 *Ryszard Bednarczyk* URODZONY W ŚWIĘTO ODRODZENIA  
64 *Andrzej Juchniewicz* OPOWIEŚĆ O ORNITOLOGU, KTÓRY MIAŁ WROGÓW  
65 *Grzegorz Sztoler* NIECODZIENNY KRONIKARZ CODZIENNOŚCI

Na okładce:

*Renata Bonczar* DOMY DUSZ olej, płótnoPismo wspierane  
finansowo przez:Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
NarodowegoWojewództwo  
ŚląskieKATOWICE  
dla odmianny



## Czwarta nad ranem

**1** Sierpień. — Wśród symbolicznych miesięcy wieku XX sierpień zajmuje miejsce szczególne. Ile było ich wcześniej? Listopad (1918), maj (1926, 1945), kwiecień (1935), wrzesień (1939), lipiec (1944), październik (1956), marzec (1968), grudzień (1970, 1981), czerwiec (1976, 1989). Nie do policzenia. Daty symboliczne zawsze określają porządek naszego myślenia. Ale dzisiaj wracamy pamięcią do tamtego sierpnia (1980), który ukształtował naszą codzienność, myślenie o demokracji i pojęcie wolności. Przypominam sobie, co napisał prof. Edward Balcerzan w eseju *Peiper o „Solidarności”* („Teksty” 1981, nr 3, s. 3): „Wstrząs sierpniowy był protestem przeciwko anarchii (a nie anarchizacją społeczeństwa, jak pisano) zamaskowanej w nowomowie instytucji i nowomowie propagandy. Był niezgodą na nieporządek, który udaje porządek. Atakiem na maskaradę. Skąd wiedzieliśmy, że o to właśnie chodzi, a wiedzieliśmy (tu «my» oznacza środowisko, z którym się identyfikuję i do którego mówię), zanim zaczęły docierać do nas teksty z Wybrzeża, zanim wieści z Gdańska i innych regionów kraju przedarły się przez bariery cenzury w oficjalnych komunikatach? Czuliśmy się włączeni w sieć intuicyjnej komunikacji społecznej. Nasze słowa wczoraj pomysłane — dziś ktoś inny wypowiedział głośno, jak gdyby je odgadł, lub jak gdyby to nam udało się odgadnąć jego wypowiedź jutrzejszą. Jakies zdanie rozpoczęte w jednej części kraju — kończyło się i dopowiadało w innej części: samo? i dla wszystkich miało ten sam sens”. — Jakże chciałoby się dzisiaj powtórzyć te słowa! Noszę je z sobą od 40 lat, zapisałem je w swojej pamięci, znam je na pamięć.

**2** Pomniki wolności. — Starość jest sentymentalna i niezdolność repetycyjna. Po-

zwałam sobie na te *przywary*, wspominając postacie, bez których moje życie wyglądałoby pewnie inaczej, a i ja, kształtując umysły studentów, mógłbym popełnić wiele wychowawczych błędów. „Pomniki wolności” to ludzie, którzy wpłynęli na moje rozumienie słowa „wolność”, w *Słowniku języka polskiego* Witolda Doroszewskiego definiowane jako „możność, prawo nieskrępowanego działania; niezależność osobista, swoboda”. Dodam jeszcze dwa pojęcia: „godność” i „pryzwoitość”, bez których słowo „wolność” istnieć nie może. — „Warto być przywoitym!” — mawiał Władysław Bartoszewski, jeden z trwałych pomników wolności naszych czasów.

**3** Cynizm. — „Sam siebie nie słyszy, chociaż tak głośno grzmi” — pisał Dion z Prusy (Dion Chrysostomos) o Anystenesie. Ten zaś — jak zaświadcza Diogenes Laertios — radził Ateńczykom, aby przegłosowali (demokratycznie), że osły są końmi. — Jakże to przypomina dzisiejsze wystąpienia parlamentarne! Kiedyś nazywano to warcholstwem. Ale to nie jest archaiczne, arcy polskie warcholstwo, to współczesny cynizm, polityczne dziecko wolności (bez ponoszenia konsekwencji).

**4** Nie tęsknię. — Czy tęsknię za tamtym Sierpniem? Nie, nie tęsknię. Bo musiałbym też dać zgodę na to, co było przed Sierpniem. To prawda, byłem (byliśmy) w środoku młodości, jak w kadzi z winem. Upajać się światem, nawet jeśli jest koszmarny i brzydki, nie jest niczyją winą. Ale tęsknić za tamtym Sierpniem? Widząc tyłu, którzy dzisiaj od niego odcięli, odcinają kupony? Te ich piersi, na których nie mieszczą się rzędy medali, bo przecież cierpieli ‘za nas’? Tęsknić za tamtym Sierpniem, to wystąpić przeciwko tym, którzy nie uронili ani jednej kropli z palca. Ale po co przeciwko nim występować? Zachowajmy w pamięci szlachetne postawy i twarze. Nie wypowiadajmy kolejnej wojny na ‘słowa piękne i brzydkie’.

**5** Vivat Galbas! — Z homilii arcybiskupa Adriana Galbasa wygłoszonej 17 czerwca 2023 roku podczas ingresu do katedry katowickiej: „Nigdy Kościół nie powinien wykorzystywać władzy świeckiej, ani władza świecka nigdy nie powinna wykorzystywać Kościoła, ale współpracować powinni zawsze. Oby nam się to udało. Wszyscy pewnie bolejemy z powodu dwóch Polsk w Polsce. Coraz bardziej oddalonych od siebie, coraz bardziej napiętych. Każda ma swoje poglądy, swoje postulaty, swoich liderów. To jest normalne. Szkoda jednak, że jedna Polska nie umie się spotkać z drugą. Przed laty Kościół pomógł zbudować okrągły mebel przy którym usiedli ludzie z bardziej jeszcze odległych ide-

owo światów. Nie wiem, czy dziś Kościół w Polsce byłby w stanie to zrobić. Nie ma już takiego autorytetu i takiej siły. Poza tym przez wielu kojarzony jest tylko z jedną z tych Polsk. Trzeba jednak próbować robić wszystko co możliwe. Tam, gdzie nie uda się zbudować mostu, zbudować przynajmniej kładkę, albo ponton. Coś. Cokolwiek. Próbować pomóc pozszywać, to, co poprute, posklejać, to, co połamane, pozbliżyć to, co pooddalane”.

**6** Matka Boska Zielna. — Jedno z najpiękniejszych polskich świąt. Jak napisała Dorota Jasnowska (kustosze wrocławskiego Muzeum Etnograficznego): „Powszechnie wierzono, że bukiet poświęcony w kościele nabierał niezwykłych właściwości zabezpieczających i leczniczych. Zioła z niego wykorzystywano w leczeniu ludzi i zwierząt gospodarskich, okadzano nimi izbę i obejście dla ochrony przed burzą, pożarem i epidemią lub po to, by diabeł nie kusił. Poświęcone wiązanki przechowywano za świętymi obrazami, obok wianków z Bożego Ciała nad drzwiami wejściowymi, czy na ścianie frontowej, na strychu, w oborach koło okna, w sąsiedkach stodoły. Zatknięte na polu chroniło przed piorunami i robakami, umieszczone w stodołach przed myszami”.

**7** Cud nad Wisłą. — 15 sierpnia Matka Boska dwukrotnie wsparła Polaków w wojnie z bolszewikami. Nazwaliśmy to „cudem nad Wisłą”. Przyjęliśmy tę datę, ten „cud” do narodowego kalendarza, od stulecia karmieni tromtradactwem, z różną intensywnością, w zależności od koloru sztandarów i politycznych emblematów. I niczego to nas nie nauczyło. — Ksiądz w *Chłopach* Władysława Stanisława Reymonta mówił o wspólnocie lipeckiej parafii: „Wszędy łajdus na łajdusie, a łajdusem pogania. Wszędy jeno chytróście, oszukaństwa, srogie uciski a złodziejstwa, że, co masz, z garści nie popuść, bo ci wydrą”. I groził: „A zbójce obmierźle, a poganiny gorsze od Niemców! A to roki macie dobre, ziemię rodzajne, a paśniki, a łąki, a boru po kawale i tak się to sprawiata!... Chleb was ano roznosi, łajdusy jedne! Powiem ja o tem Panu Jezusowi, powiem, a on już wama cugli przykróci...” (Gebethner i Wolf, Warszawa 1925, s. 40).

**8** Myśl miesiąca. — „A co na to naród, któremu zełgano życiorys i zmieniono język? Nic. Wszystko to jest zdumiewające «jak sen wariata śniony nieprzytomnie», ale przecież nikt się nie zdumiewa [...]. A więc można żyć mimo publicznego kłamstwa, nie przejmując się tym zgoła? A może zawsze tak było?! Ale czy powinien patriotyzm opierać się na kłamstwie? A może i to zawsze było?! Cholera wie!” (Stefan Kisielewski, *Dzienniki*, „Iskry”, Warszawa 1996, s. 436).

Marian Kisiel

\*\*\*

widać  
nie do twarzy nam było  
z uśmiechem  
widać  
nie do twarzy  
ze sobą  
na co dzień

ze sobą  
sami  
siebie nie znając  
w sobie zapatrzeni  
a jednak ślepcy  
nie mogliśmy odnaleźć drogi  
choć ta  
w zasięgu ręki

teraz tylko biel  
wszechobecna  
i tak wiele do wymilczenia  
za karę  
za siebie  
za słowa  
jak odłamki szkła

i za to  
że czasem jeszcze słyszę  
jak drzwi za tobą  
z trzaskiem

# Ślązacy i góry

Z alpinistą **IGNACYM WALENTYM NENDZĄ**  
rozmawia **PIOTR SKOWRONEK**

## Jak to się stało, że synek z katowickiego Wełnowca został himalaistą. Skąd ta pasja do gór?

Droga była daleka. Od małego pociągał mnie – jak się to mówi – teren. Wędrowałem po okolicy, a możliwości tutaj były dosyć wielkie, bo między Wełnowcem, Dąbrówką Małą, Bogucicami i Siemianowicami był obszar, który się nazywał Alpy Wełnowieckie. Były to zapadliska po biedaszybach, a także hałdy głównie hutnicze i stare hałdy górnicze. Dla nas to po prostu były góry. Wywożono tam gorącą jeszcze szlakę – żar z pieców muflowych huty Hohenlohego (potem zwanej Hutą Cynku Silesia) i kiedy wylewali ten żużel, on zastygał i uzyskiwał konsystencję skały tak, że można się było potem po nim wspinać. Alpy Wełnowieckie znalazły również pasjonatów wśród artystów, ponieważ te wykrystalizowane z hałd hutniczych skały miały różne odcienie od seledynu poprzez czerwienie do fioletów i czerni. Znanym artystą, który się tym zachwycił, często tutaj bywał i tworzył, był Franciszek Starowieyski.

## Ile miał Pan wtedy lat?

Byłem małym chłopakiem, ale muszę dodać, że chodziłem także do SP nr 27, która nie miała sali gimnastycznej. Z tego powodu większość zajęć wychowania fizycznego odbywała się w terenie. Albo szliśmy w pola i stawy pomiędzy Dębem a Wełnowcem, albo na wspomniane Alpy. Tam się grało w podchody, organizowało biegi sztafetowe, graliśmy w piłę. Teren to był mój pierwszy bakcył, drugim była wspinaczka. Na naszym placu rósł wielki kasztan, na który nieustannie wchodziłem. Z jego wierzchołka widziałem górę, która znajduje się w Będzinie tzw. „Dorotkę”. To jest wzgórze w Zagłębiu najwyższe w okolicy, na którym postawiono XVII wieczny kościółek. Przebiega tam szlak Świętego Jakuba i teraz jest to dosyć często odwiedzane miejsce. „Dorotka” była dla mnie sporym wyzwaniem. Poszedłem tam z kolegą i trochę nam, jak to się mówi, dnia zabrakło i po powrocie dostaliśmy lanie.

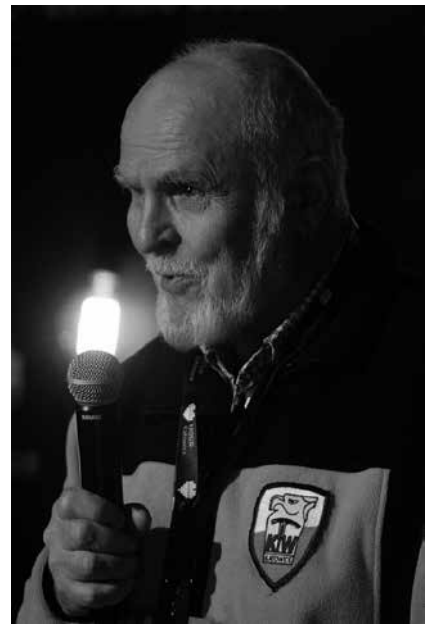
## Był Pan także harcerzem.

W 1956 roku odradzało się harcerstwo, zanim jeszcze zostały zwołane zjazdy, które ponownie powołały je do życia, po tym jak w 1949 roku zostało skasowane, podobnie jak wszystkie organizacje młodzieżowe np. OM TUR, WICI i włączone do Związku Młodzieży Polskiej, który działał pod auspicjami PZPR (to samo

zrobiono z ruchem turystycznym likwidując Polskie Towarzystwo Turystyczne, czy Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, z których zrobiono istniejące do dzisiaj PTTK), w różnych miejscach Polski zaczęli już działać instruktorzy i aktywowali drużyny. Tak stało się i u nas na Wełnowcu. Był taki przedwojenny druh harcmistrz Oswald Koziół, który harcerstwo zakładał trzykrotnie: w roku 1924 założył drużynę, która w przyszłym roku będzie obchodziła swoje stulecie, następnie w 1945 roku i po raz trzeci w 1956 roku. Drużynę założył metodą klasyczną, mianowicie na początku zwerbował zastęp chłopaków w wieku szóstej, siódmej klasy szkoły podstawowej (ja chodziłem do szóstej) i pracował z nami pół roku. Po tym czasie podzielił nas na dwójki i każda para musiała zorganizować swój zastęp, czyli znowu zrobić nabór, pozyskać sobie członków i w ten sposób odbudowała się drużyna im. Tadeusza Kościuszki. Ja byłem jednym z tych, którzy musieli stworzyć zastęp. Nazwaliśmy się „Lisy”. Kiedy doszli następni, zostałem przybocznym w tej drużynie, aż w końcu w 1963 roku zostałem drużynowym. Wówczas już byliśmy kawalerką, ja miałem 17 lat. Zdobiliśmy już wszystkie sprawności i stopnie. Wtedy było ich mało, bo na „ćwiku” się kończyło, czyli 3 stopnie były i zastanawialiśmy się, co tu dalej robić?

## Wypadło na góry?

Rozpisałem konkurs w drużynie. Były przeróżne pomysły. Niektóre szokujące. Na przykład jeden kolega powiedział, że powinniśmy się specjalizować w tradycji. Zrobić zbroje rycerskie i lazić po Wełnowcu z kopiami. Został wtedy wyśmiany, a tak naprawdę był wizjonerem, bo 30 lat później zaczęły powstawać bractwa rycerskie i grupy rekonstrukcyjne, a on był prekursorem tej myśli! Większość z nas chciała chodzić po jaskiniach, bo moja drużyna uczestniczyła w wielu rajdach. Za komuny to było modne i wszystkie branże organizowały swój rajd. Uczestniczyliśmy w rajdach drukarzy, kolejarzy, budowlanców. Byliśmy zawsze ładnie umundurowani i z każdego rajdu dostaliśmy jakąś nagrodę, raz namiot raz apteczkę. Przy tej okazji próbowaliśmy penetrować jaskinie. Zaczęliśmy od tych beskidzkich Malinowskiej Jaskini, Jaskini Klimczoka czy Szczeliny Klimczoka. W 1961 roku moja drużyna zorganizowała obóz w Bukownie Przymiarkach, to było na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Zetknęliśmy się po



raz pierwszy ze skałami. W pobliżu był kamieniołom i tam odbyły się nasze pierwsze wspinaczki, oczywiście na „żywczyka”, bez asekuracji. Chcieliśmy poznać, jak to jest, dotknąć skały. Stamtąd poszliśmy do Ojcowa, a tam było już całkiem wysoko. Wtedy jeszcze nie było takich zakazów, jak dzisiaj. W następnych latach 1963 i 1964 już jako komendant obozowałem w Centurii koło Ogrodzieńca i tam mieliśmy kontakt z większymi grupami skał jurajskich, ale ciągnęło nas do jaskiń i po obozie w 1963 roku pojechaliśmy do meki jaskiniowej Gór Sokolich koło Olszty na Częstochowskiego. Jest tam kilka fajnych jaskiń i z linami, które służyły nam do ogrodzenia obozu, próbowaliśmy zjechać na dół. Mieliśmy szczęście, bo pojawiła się grupa prawdziwych speleologów częstochowskich i oni nam pokazali parę patentów i wprowadzili nas w pierwsze tajniki speleologii. Okazało się także, że w Katowicach istnieje Sekcja Tatarnictwa Jaskiniowego przy Klubie Wysokogórskim. W 1964 roku zapisaliśmy się tam na kurs, który prowadził znany alpinista Tadeusz Wojtera. Kilku z nas go ukończyło, a powstała w naszej drużynie zastęp grotolazów przekształcił się w Harcerski Klub Tatarnicki, który działa do dzisiaj przy Komendzie Hufca Katowice im. Bohaterów Wieży Spadochronowej.

## Wtedy poznał Pan Jerzego Kukuczkę?

Jerzego Kukuczkę poznałem jako 12-letniego chłopca. Z moją drużyną poszedłem na Alpy Wełnowieckie. Mieliśmy swoją dolinkę, taką amfiteatralną. Przychodzimy, a tam siedzi przy ognisku trzech chłopaków: Indianin, kowboj i cywil. Jurek Kukuczka był Indianinem. Dwa lata później Kukuczka pojawił się u mnie w zakładzie pracy – ja już byłem wyuczony jako elektryk, on przyszedł się uczyć zawodu. Mówię do kumpla: chodź zobaczymy jacy rekruci przyszli. 30 uczniów stoi na placu i wypatrzyłem wśród nich Jurka. Podniosłem rękę i mówię: howgh! On popa-

trzył na mnie, przypomniał sobie i odpowiedział: howgh. Przywitaliśmy się po indiańsku. Zaraz skumpłował się z harcerzem z mojej drużyny Piotrem Skorupą, moim sąsiadem z placu. Obaj mieli takie parcie, taką energię, że się zapisali do Siły Mysłowice i podnosili ciężary. Jednak od czasu, kiedy Kukuczka pierwszy raz pojechał do Podlesic, dotknął skały i stwierdził, że można się poruszać w pionie, tak go to zafascynowało, że trener mu powiedział: chłopie ty się zdecyduj albo podnosisz ciężary albo się wspinasz. Kukuczka podjął decyzję.

### **Czyli ciekawość wspinaczki i gór siedziała w was od samego początku?**

To było jakieś takie wewnętrzne zamiłowanie. Mieliśmy dobry trening w łażeniu po drzewach. Kasztan zaliczałem kilka razy dziennie, więc miałem trening wspinaczkowy od małego.

### **Jak godził Pan pracę zawodową z pasją?**

Okazało się, że w Zakładach Urządzeń Sygnalizacyjnych była wyjątkowa atmosfera. Jest książka, która została wydana z okazji ich 80-lecia. Napisałem w niej artykuł o hobbystach. Tam pracowali artyści malarze, którym zakład zrobił wystawę. „Kolejarz” był mistrzem Polski w siatce i jego zawodniczka pracowała u nas. Był kolega Sanetra – mistrz Europy w strzelaniu z karabinka sportowego. Byli oczywiście narciarze, bo jak to za komuny zakład pracy miał dom wczasowy w Wiśle–Jarzębatej. Jeździła do niego przede wszystkim kadra kierownicza, a dyrektor miał swój apartament, w którym spędzał weekendy. W pewnym momencie na egzekutywie Komitetu Zakładowego PZPR stanęło, że z obiektu korzysta tylko kierownictwo i tzw. klika, a nie pracownicy. Musiano coś z tym zrobić. Członek egzekutywy przyszedł do mnie i powiedział: słuchaj nam zarzucają, że klasa robotnicza nie uczestniczy w wypoczynku. Zabrałbyś tę swoją drużynę i przyjechał na dwa dni? Zrobilibyśmy błyskawiczny kurs narciarski, pojechało nas chyba z pięciu. Pojeździliśmy dwa dni na nartach. Tam byli wtedy wszyscy działacze PTTK–owscy, więc zaraz przyznali nam Popularną Narciarską Odznakę i wykazali się tym, że młodzież była na obozie.

### **Byliście swoistym alibi?**

Mysimy żyli w zgodzie z narciarzami, bo różne rzeczy można było załatwić. Między innymi takie, jak produkcja sprzętu. Nie było wtedy żadnego i trzeba było, kiedy pojawił się jakiś wzór zachodni, zrobić zaraz podróbkę.

### **Mówimy o sprzęcie taternickim?**

Tak: haki, ławeczki wszelkiego rodzaju, przyrządy zjazdowe, przyrządy do chodzenia po linie tzw. „małpy” robiło się na wzór. Mam nawet jeszcze na pamięć taką jedną.

### **Kiedy zaczęły się pomysły na pierwsze dalsze wyprawy?**

Jako Harcerski Klub Taternicki działaliśmy ostro w Tatrach. Wielu z chłopców było jeszcze uczniami, więc trzeba było dostosować wyjazdy do organizacji roku szkolnego. Zimowe wakacje zaczynały się dzień przed Wigilią, a kończyły w Trzech Króli. My w drugie święto Bożego Narodzenia jechaliśmy w Tatry Zachodnie. Przeważnie mieliśmy u górala jakąś jedną izbę wynajętą i tam mieszkaliśmy nas kilkunastu. Jak weszliśmy z wielkimi jak pralki tobołami, a komuś coś „wcięło”, to odnalazł dopiero, jak żeśmy się pakowali z powrotem (śmiej). W tym czasie prowadziliśmy działalność jaskiniową i penetrowaliśmy te najpopularniejsze jaskinie: Czarną, Zimną, Miętusią, Bandzioch Komiński. Zaś na Wielkanoc jechaliśmy do Morskiego Oka i tam prowadziliśmy działalność wysokogórską zimową. Chodziliśmy na poszczególne szczyty. Robiliśmy graniówki. To był bardzo dobry wyczyn, bo jest duża ekspozycja i ludzie używają się topografii i wszystkich umiejętności. Nie tylko wspinaczki, ale i wycofu, zjazdów, a to są bardzo ważne rzeczy, bo najczęściej wypadków zdarza się przy zejściu. W tym już uczestniczyli Jurek Kukuczka i Piotrek Skorupa. Poznany na kursie Wojtera powiedział nam wtedy, że jest piękna jaskinia w Alpach Julijskich, nazywa się Triglavska Brezna i ona rokuje rekord głębokości. Pierwsza studnia zjazdowa ma 110 m, czyli jedzie się tyle w powietrzu, nie mając kontaktu ze ścianą.

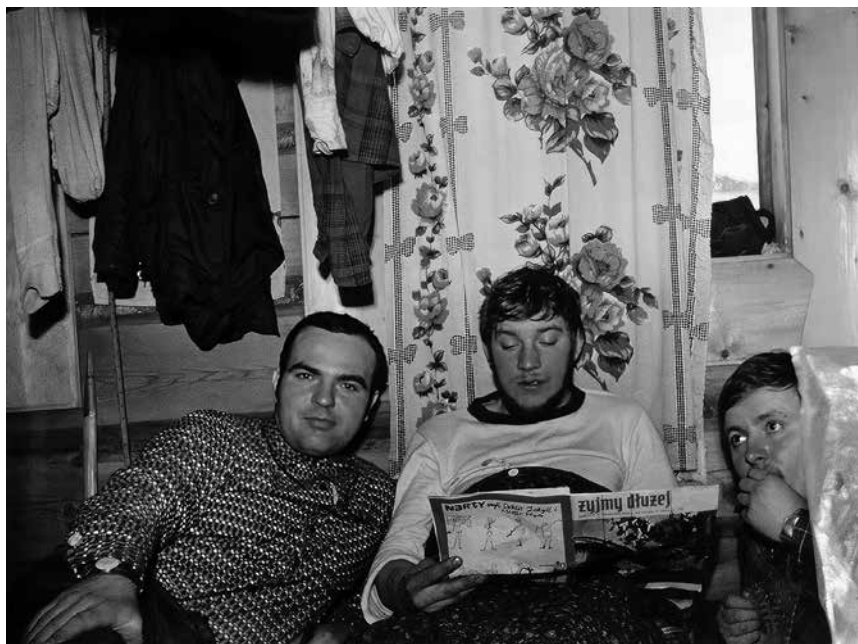
### **To było dla was wyzwaniem?**

Tak! Od 1968 roku zaczęliśmy przygotowania, a rok później pociągami pojechaliliśmy w Alpy Julijskie. Na miejscu został wynajęty dostawczak, który przywiózł sprzęt pod Triglav, a potem przez pierwsze dni

nosiliśmy sprzęt i żywność do góry pod jaskinię i rozpoczęliśmy akcję penetracyjną nie tylko tej, ale i innej pobliskiej jaskini. Zresztą dla tej wyprawy członek naszego klubu harcmistrz Paweł Pallus wykonał wyciąg zjazdowy. To było duże przedsięwzięcie, jak na tak młodą grupę.

### **Był Pan wtedy w wieku poborowym?**

Tak. Moją działalność jeszcze przed wyprawą przerwało wojsko. Służyłem w lotnictwie w Świdwinie w koszańskim, a najpierw w Technicznej Szkole Wojsk Lotniczych w Zamościu. Po dwóch tygodniach wezwał mnie dowódca i kazał iść do sztabu. Tam czekał jeszcze jeden żołnierz. Otworzyły się drzwi i kapitan mówi: druhowie zapraszam do środka. Mamy tu drużynę zuchową i harcerską przy garnizonowym klubie oficerskim, a ci, co ją prowadzili, poszli do cywila i teraz jest kolej na was. Zagrałiśmy w losowanie zapalek i wypadło, że ja mam prowadzić drużynę zuchową, ale nie miałem doświadczenia. Dostałem pięć dni urlopu i pojechałem do domu, do Katowic. Namiestnikiem hufca zuchowego była wówczas Bogusia Lorek. Zrobiła mi szybki kurs, dała materiały i z powodzeniem prowadziłem drużynę zuchową przez półtora roku. Z tego samego powodu na Słowenii nie było z nami Kukuczki. Bardzo rozpaczał, bo dostał się do Niebieskich Beretów, jak na ironię losu nad morze. Kiedy w jednostce było wysłuchanie inspektorskie przyjechał generał i każdy mógł zadać mu pytanie. Kukuczka zgłosił się i mówi: panie generale ja bardzo Kocham góry! Nie dałoby się mnie przenieść do Podhalan albo do WOP–u żebym był bliżej nich? Generał odpowiedział: żołnierzu wszędzie można służyć ojczyźnie nad morzem też! I na tym się skończyło. On tam bardzo działał sportowo. Podnosił ciężary, pływał z oporządzeniem i jakoś te dwa lata przetrwał.



Od lewej Ignacy Nendza, Jerzy Kukuczka, Piotr Skorupa. Tatry Zachodnie, 1969



### Wróćmy do gór.

W Tatrach było wtedy modne połączenie Starej Śnieżnej z Nową, czyli ten system Śnieżnej i Nadkotlin. Atakując je zostaliśmy dostrzeżeni w trójkę: Paweł Pallus, Krzysiek Baraniok i ja. Skutek był taki, że powołano nas w 1973 roku na narodową wyprawę do wówczas najgłębszej jaskini Azji Ghar Parau. Oczywiście udało się zejść na jej dno i spenetrowaliśmy wówczas jeszcze dwie inne jaskinie. W międzyczasie popsuł nam się dyferencjał w aucie i pojechaliśmy do Teheranu, żeby naprawę przyspieszyć, ale nie dało rady i mieliśmy 10 dni wolnego. Postanowiliśmy zdobyć najwyższy szczyt Iranu wygasły wulkan Damavand 5610 m n.p.m. Zajęło nam to dwa dni. Dosyć ciekawe było to, że na wysokości ok. 4800 m n.p.m. są pęknięcia, przez które wydziela się siarkowodor i większość uczestników wymiotowała a ja, jakbym zaczerpnął swojego śląskiego powietrza, na szczycie otwarłem konserwę kętrzyńską i całą z apetytem wrąbałem. Wszyscy patrzyli na mnie jak na wariata. To była piękna wyprawa i wyczyn sportowy. Objechaliśmy jeszcze kawał świata, zajrzeliśmy do Iraku i przez Turcję wróciliśmy do kraju.

### Jaką funkcję Pan na niej pełnił?

No właśnie. Tam się zaczęła jeszcze inna przygoda, bo w trakcie przygotowań, każdy musiał do kierownika wyprawy dać wykaz przejsi i funkcji jakie pełnił podczas wypraw. Jako harcerz znałem się na udzielaniu pierwszej pomocy, byłem ratownikiem medycznym i miałem wszystkie sprawności m.in. ratownika, sprawnego zdrowia itp. W związku z tym robiłem zabezpieczenie medyczne i nosiłem apteczkę. Na wyprawę do Iranu miał jechać lekarz z klubu Bobry Żagań, ale nie mógł i kierownik wyprawy, dr Janusz Śmiałek po analizie tych list zdecydował, że mnie powierzy zabezpieczenie medycznie. Mówił: idź do Kojarsa, lekarza siemianowickiej oparzeniówki, on cię doszkoli i będziesz p.o. lekarza wyprawy. Nie miałem wyjścia. To była moja oficjalna funkcja.

Miałem parę akcji, między innymi ukąszenie skorpiona, a najgorsza była, kiedy jeden z uczestników spadł 4 m i wypadła mu kicha, czyli żyłaki odbytu. Miałem ze sobą Małą Encyklopedię Medyczną i polfowski poradnik dotyczący lekarstw. Zastosowałem nasiadówkę – podziałało i wszystko zakończyło się dobrze. Najbardziej bałem się tych skorpionów, ale Kojars mówił: nie bój się, podaj leki przeciwwuczuleniowe, przeciwgorączkowe i nic się nie stanie. I tak było.

### Jakie były dalsze plany?

Elita naszego klubu wysokogórskiego: dyrektorzy, inżynierowie wybrali się w dwa auta do Maroka w Atlas Wysoki i zrobili trawers. Był z nimi Tadek Wojtera, Tadek Marek nasz prezes klubu oraz Andrzej Popowicz. Kiedy zrobili prelekcję ze swojej wyprawy, my postanowiliśmy także tam pojechać i w 1974 roku rozpoczęliśmy przygotowania. Trzeba było zgromadzić środki, sprzęt, a przede wszystkim wynająć auto. Udało się załatwić Stara wypożyczonego ze Starachowic razem z kierowcą i w 1976 roku pojechaliśmy do Maroka. Najgorzej było przejechać przez Europę Zachodnią, bo w Niemczech nie wolno było takim autem przewozić ludzi, więc musieliśmy uzyskać specjalne zezwolenie. Przez NRD się nikt nie doczepił, dopiero w RFN musieliśmy czekać na zgodę.

### Ile zajęła taka trasa?

Jakieś półtora do dwóch tygodni. Podjechaliśmy w rejon najwyższego szczytu Jebel Toubkal (4167 m n.p.m.) Wyszliśmy na niego, a potem przerzuciliśmy się w tzw. Dolomity Marokańskie w rejon Ahansal i tam odbywaliśmy wspinaczki. Piękna, wspaniała skała, tylko niesamowicie suche góry, wody jak na lekarstwo. Każdy niósł tylko jeden baniak. Zrobiłem dwudniową drogę z biwakiem w ścianie, bo się w ciągu jednego dnia nie zdążyło. Ponad 850 m miał ten filar i biwak był na takiej półce, że tylko poślądki siedziały. Byliśmy przywiązani, haki białe, ale ciągle mi się

wydawało w nocy, że łażą po mnie pająki, bo było ich tam w cholere i cały czas się budziłem. Po nocy wymagające wspinanie prawie do wieczora i już po ciemku wycofa. 850 metrów zjazdu w dół aż do doliny, a tam płynął potok i można już było pić do woli.

W tamtym czasie działając w Harcerskim Klubie Tatarnickim zdawaliśmy się sobie sprawę, że na nas instruktorach ciąży szczególna odpowiedzialność i w związku z tym dążyliśmy do uzyskania kwalifikacji. Kilku z nas zostało instruktorami tatarnictwa. Ja uzyskałem stopień instruktora tatarnictwa w 1972 roku, a obok mnie Paweł Pallus, potem Jurek Kukuczka, Andrzej Bara oraz Krzysiek Błaszczyk – instruktor narciarstwa. Kilku z nas uzyskało także uprawnienia przewodnika GOT-u. W tym czasie równocześnie prowadziłem obozy harcerskie. Sporo działaliśmy w ramach akcji „Klimczok” w Beskidach. Młodzież chodziła na wycieczki i od razu miała weryfikowane książeczki i wyjeżdżała z obozu z Górską Odznaką Turystyczną. Ta działalność była wszechstronna.

### Ciągle podnosiliście kwalifikacje.

W 1973 roku wiceprezes Polskiego Związku Alpinizmu profesor Ryszard Kozioł namówił rektora AWF w Krakowie, żeby zorganizował pierwszy kurs trenerów alpinizmu. Trenerzy byli potrzebni, żeby nas nie włączyć do PTTK tak, jak 1949 roku, bo my byliśmy sportowcami, a nie turystami. Dwa i pół roku trwało szkolenie. Zbieraliśmy się na sesjach od niedzieli do niedzieli. Najbardziej sprawny i najsilniejszy z całego zespołu 30 studentów był Kukuczka. On jako jedyny zrobił wycieczkę na kółkach. W 1976 roku troje naszych członków: Jurek Kukuczka, Paweł Pallus i ja otrzymaliśmy tytuły trenerów drugiej klasy w alpinizmie.

### Powiedział Pan w jednym z wywiadów, że kiedy Kukuczka zobaczył ścianę Lhotse, to się w niej od razu zakochał?

W 1974 r. Andrzej Zawada zorganizował wyprawę na Lhotse, ale do bazy dotarli pod koniec października, kiedy już zaczęła się himalajska zima i niczego tam nie zrobili. Jedynie, co im się udało, to sfotografować ślady Yeti (śmiech). Ja nawet napisałem taką fraszkę: „Gdy góry wloić nie da rady, potrzebne są pilnie Yetiego ślady”. Tymczasem Klub Wysokogórski w Gliwicach starał się o zezwolenie na jakąś górę i dostali na Lhotse na rok 1979. Biorąc udział w tych przygotowaniach byłem w zespole sprzętowym razem z Januszem Barankiem. Myśmy większość tego sprzętu sami projektowali i wykonywali, m.in. zaprojektowaliśmy namiot GAC, który potem obsługiwał wiele, wiele wypraw polskich. Cała konstrukcja była pomysłem Janusza Baranka, a namioty szyte były w Legionowie w zakładzie, który szył typowe namioty biwakowe jak Mazury czy Wigry. Nasz namiot był trójwarstwowy: zasadniczy na



miot, tropik i w środku była jeszcze podpinka z batystu. Ponieważ dwie pierwsze warstwy były ze stylonu, który jest bardzo nieprzyjemny w dotyku i zimny, batystowa podpinka tworzyła wrażenie ciepła. Bardzo dobrze się to sprawowało i świetnie się w tym namiocie mieszało. Idąc pod Lhotse od Lukli widać południową ścianę, która jest bardzo wyeksponowana. Kiedy doszliśmy do rozwidlenia do Pumori i bazy pod Everestem to w prawo leci ścieżka do Chukung. Kilku z nas tam się wybrało, między innymi: Kukuczka, Heinrich, Skorek, ja, Czok, żeby lepiej się przyjrzeć tej południowej ścianie. I Jurek mówi: tu powinniśmy włączyć w ścianę, a nie drogą pierwszych zdobywców (czyli przez kocioł Zachodni Everestu, bo takie mieliśmy zezwolenie). Ale Kukuczka tak naprawdę zakochał się w Lhotse wcześniej, bo kiedy w 1974 roku wróciła wyprawa Zawady, wydano kalendarz górski i na pierwszej stronie właśnie była południowa ściana Lhotse, która od razu wpadła mu w oko i stała się jego obsesją i przeznaczeniem.

### Wróćmy do Pana wypraw.

Jeszcze przed Lhotse Komisja Szkoleniowa PZA zorganizowała dla instruktorów wyjazd w Ałtaj Mongolski na Alpinadę Krajów Demokracji Ludowej. Fajna impreza. Zakosiliśmy parę szczytów pod koniec zimy. Podszkoliliśmy trochę Mongołów. O każdej z tych wypraw w czasie prelekcji gadam mniej więcej dwie godziny. Zdobyliśmy bogate doświadczenie, bo to były lodowe góry, także jeszcze człowiek nabral wprawy przed Lhotse w poruszaniu się po lodowcach i w działaniu w trudnych warunkach. Także kiedy potem przyjechaliśmy pod Lhotse w 1979 roku od razu się zaczęła akcja i udało się to, że w czasie naszej wyprawy, aż 9 ludzi stanęło na wierzchołku. Najpierw czwórka w składzie: Zygmunt Heinrich, Janusz Skorek, Kukuczka i Andrzej Czok. Z tym, że Kukuczka i Czok poszli bez tlenu, jako pierwsi Polacy. Ja miałem pecha, bo po założeniu obozu pierwszego, kiedy zszedłem do bazy, miałem dzień wolnego, ale trzeba było sprawdzić naszego oficera łącznikowego, bo nie umiał się zaaklimatyzować i jeszcze jednego kolegę, który dostał ataku kamicy nerkowej. Odprowadzałem ich i nagle sherpa niosący plecak przewrócił się do wody. Skończyłem, żeby go wyciągnąć ze strumyka i uderzyłem się w łydkę. Kiedy doszedłem do bazy z powrotem okazało się, że mam zakrzepowe zapalenie podudzia, więc byłem wyłączony, ale pod koniec wyprawy udało mi się z Jurkiem zlikwidować obóz pierwszy. Było fajnie. Cały czas miałem coś do roboty, bo byłem odpowiedzialny za sprawy techniczne. Padały kuchenki i trzeba je było na bieżąco naprawiać, bo tak się psuły, że szkoda gadać. Tak samo

lampy do oświetlania. Codziennie była jakaś robota i mimo choroby techniczne sprawy musiałem załatwiać.

Z tą samą ekipą pojechałem w 1982 roku na Makalu w Himalaje i w 1984 roku chcieliśmy jechać do Nepalu w rejon Annapurny. Również jechaliśmy Starem przez całą Azję, ale kiedy dojechaliśmy do granicy pakistańsko-indyjskiej okazało się, że kolejka samochodów ma 50 km. Stała tam już od miesiąca wyprawa Gliwicka, która udawała się na Dhaulagiri. Nie mieliśmy tyle czasu i w związku z tym zrobiliśmy w prawo zwrot i pojechaliśmy do Islamabadu. Tam załatwiliśmy sobie wizy pobytowe i pojechaliśmy w rejon szczytu Diran Peak w Dolinie Hunzy. Udało mi się zaatakować Sumaraya Peak. To była krótka, bo mieliśmy tylko miesięczną wizę, ale bardzo fajna wyprawa, bardzo ciekawy teren. Z grani ujrzałem K2, Broad Peak – przepiękna panorama i wielkie przeżycie.

### Gdzie potem?

W miarę jedzenia – rośnie apetyt. Zaplanowaliśmy na lata 1985–1986 Andy Patagońskie. Aconcagua w Argentynie, a potem przejazd przez Chile i Boliwię do Per. I to się powiodło. Wyprawa trwała 4 i pół miesiąca. Wszedłem tam na szczyt Cerro Solo sąsiada Cerro Torre i innych szpiczastych gór Patagonii. Przepiękna okolica. Jest to perełka górską, którą każdemu polecam do zobaczenia. Oczywiście, żeby to wszystko można było zrealizować, trzeba było zarobić. Tak się złożyło, że w 1975 roku wprowadzono tzw. Fundusz Akcji Socjalnej Młodzieży, czyli organizacje młodzieżowe mogły wykonywać różne prace dla przedsiębiorstw państwowych i różnych instytucji. Za to dostawały pieniądze, z czego 20% szła na organizację, która ich firmowała. W naszym przypadku była to Komenda Hufca Katowice. To co wyrabialiśmy przekraczało czterokrotnie budżet hufca, także byliśmy kurą znoszącą złote jajka. Dlaczego w tym czasie bardzo nas lubili, ale kiedy do władzy doszedł Balcerowicz od razu to skasował jako lewy pieniążek. Kiedy fundusz akcji był likwidowany Jurek pojechał na wyprawę na Annapurnę i mówi mi, że ci, co jeszcze mają jakieś pieniądze, niech się zbierają. Ja was zapraszam do mnie do bazy. Zrobimy trekking dla Harcerskiego Klubu Tatarnickiego. 14 osób ze mną pojechało, z tego 10 doszło do bazy pod Annapurną. Jurek przyjął nas wspaniale. Wiem, że goście musieli płacić 20 \$ na dzień, a od nas nie wziął grosza. Zrobił wielki prezent tym wszystkim członkom naszego klubu, a byliśmy u niego cztery dni. Ostatnią moją wielką i piękną podróżą była Indonezja i wulkany Keli Mutu i Merapi.

### Czym są dla pana góry?

Są treścią mojego życia, ale namiastką były skałki. Kiedy byłem kawalerem co niedzielę byłem skałkach. 3–4 niedziele w roku spędzało się w domu, a resztę tam albo w ja-

skiniach. Gdy się ożeniłem sprawy wyglądały już trochę inaczej, niemniej jednak zawsze dużo byłem w terenie. Przez 40 lat szkoliłem w klubie wysokogórskim w Katowicach, 20 lat byłem szefem wyszkolenia, a 20 lat przewodniczącym Środowiskowej Komisji Egzaminacyjnej Polskiego Związku Alpinizmu i te egzaminy też odbywały się zawsze w terenie.

### Szmat czasu.

Bardzo wielki, kiedy pomyślę jak to jest możliwe, że jeden człowiek wykonał taką robotę i to wielokierunkowo, bo w harcerstwie nie zaprzestałem działalności. Prowadziłem obozy, byłem zastępcą komendanta przez trzy kadencje i dalej działałem! Jestem przewodniczącym Komisji Historycznej Hufca Katowice oraz działa w Referacie Seniorów i Starszyny Harcerskiej Komendy Chorągwi Katowickiej. Wraz z przyjaciółmi z Klubu Wysokogórskiego 21 października 2015 roku odsłoniłszy pomnik Himalaistów Śląskich w Parku Kościuszki. Autorem projektu jest Bogusław Burzyński. Jest na nim ośmiu naszych członków, począwszy od Henryka Furmaniaka, który zginął w Górach Świętego Eliasza przez tych wszystkich, którzy zostali w Himalajach.

### Co góry nam dają?

„Taternictwo szkołą charakteru”. Taki szyld zawieszaliśmy zawsze na walnych zebraniach HKT i faktycznie to była szkoła charakteru. Mięczaki nie miały żadnych szans. Mnie góry dają radość życia, która jest nie do przecenienia.

### Jak góry kształtują charakter?

Jesteś odważniejszy. Umiesz podejmować decyzje i ryzyko. Uczysz się odpowiedzialności za siebie i swoich partnerów. Jesteś cierpliwy, co szczególnie wyrabia się w jaskiniach. Tam czas się bardzo dłuży, kiedy się czeka na resztę zespołu. Człowiek układał sobie wtedy wierszyki, fraszki. Ja zawsze coś wymyślałem, w tym między innymi *Modlitwę wspinacza „Wyzwanie”*, której fragment jest na wspomnianym pomniku. Brzmi ona tak:

Wspinaczka, modlitwa ludzi wybranych  
Intymnych marzeń warowny gród  
Modlitwa słów niewypowiedzianych  
Błogosław Panie nasz górski trud.

W kurniawie, w deszczu, w huku lawiny  
wszędzie widzimy Twoją moc  
Licząc bezcenne biwaku godziny  
Pozwól nam przeżyć i tę noc.

W skalistych świątyni zawieszony cień  
Za chwilę słońca uderzy nas blask  
Pozwól nam przeżyć szczęśliwie dzień  
Niech osiągniemy ze szczytu gwiazd.

Do pisania wierszyków zainspirował mnie pies Heinricha, ale o tym pogadamy, jak się kolejny raz spotkamy.

W roku 845, w Ratyzbonie, powstał dokument zwany „Zapiską karniolską”. Zawiera on m.in. informacje o ludach i plemionach, zachodniosłowiańskich zwłaszcza, żyjących na wschód od Łaby i na północ od Dunaju. Jego autor, anonimowy mnich, zwany w historiografii Geografem Bawarskim, wśród długiej listy plemion i ich grodów jeszcze nie umieszcza pra-Pszowian. Ale już w dokumencie założenia Biskupstwa w Pradze z 973 roku pojawia się łacińska nazwa *Ps(s)ouane* (czeskie *Pšovane*). Część uczonych wiąże to plemię z leżącym w Czechach grodem *Pšov*, położonym nad rzeką *Pšovką*. Ale tacy historycy jak Šafárik, Musioł, Heyne, Henke czy Porwoł wskazują tu na nasz Pszów...

My, Pszowianie, skłaniamy się, rzecz jasna ku tej drugiej hipotezie, czyli że to nasi praprzodkowie pojawiali się w kronikach sprzed przeszło tysiąca lat. Mamy na naszej ziemi ślady prasłowiańskiego osadnictwa. Jest w Pszowskim Lesie tzw. Grodzisko, pozostałość po plemieniu Gołęźców, pochodzące z VII-VIII wieku. Są położone na styku Pszowa i Zawady tajemnicze Ołtorziki, miejsce przedchrześcijańskiego kultu. Są świadectwa późniejszej historii, np. śródleśne wzgórze Kotówka, kryjące ruiny rycerskiej warowni. Jest w końcu nasz najwspanialszy zabytek, licząca prawie 300 lat Bazylika NMP. Główny kościół naszego miasta leży na skraju najwyższego wzniesienia w całej okolicy. To z tego wzgórza moja, nasza, rodzinna ziemia kaskadami pagórków i kotlin faluje, spływa malowniczo w dolinę Odry i w Bramę Morawską, w prastary szlak wędrujących na północ ludów. W *Porta Moravica*. Za nią, na horyzoncie, od zachodu i południa, strzegą nas lilio-we pasma gór.

\*\*\*

Dawni *Psouane* zapewne rzadko dożywali Abrahama. Przed Państwem natomiast siedzi współczesny, późny *Psouane*, 70-letni. To o nim pisał wybitny pszowski poeta, żyjący na przełomie XX i XXI wieku, Jan Kaintoch:

Samtukej miyszkali dziadkowie,  
Samtukej zakochał się w Pszowie,  
Sam poszoł do Piyrszej Komuni,  
Sam wionzoł szczewiki babuni.

Ów późny *Psouane* był, zdaniem poety, nader kochliwy już od wczesnego dzieciństwa:

Jak prziszoł na świat Jurek maluch,  
Zaroz zakochał się we futbolu.  
Poradził kopnąć bal nojdali  
Choby Euzebio z Portugali  
Potem jednak poszło mniej typowo:  
No ale wybroł inkszo droga  
Zakochał się w miłości Boga  
Łoblyk sutanna farorzyczka  
I zbiyroł drobne do koszyczka.  
Ponboczek wzion go w swoje progi  
Zakochał Jurka w teologii:  
Zostoł habitym i doctorym  
A można nawet profesorym.

Chwała poezji! I chwała Poezic z pszowskiego zakątka zwanego Staro Maszyna. A jednak żwawy póki co *Psouane*-Jubilat ani na moment nie zapomina o prawdzie słów Psalmu 90. Brzmią one tak:

Miarą naszego życia jest lat siedemdziesiąt,  
osiemdziesiąt, gdy jesteście mocni.  
A większość z nich to trud i marność,  
Bo szybko mijają, my zaś odlatujemy.

Psalmista szuka więc pociechy i woła do Boga: „W Twoich rękach spoczywa mój los” (Ps 16,5). Tak, istnieje kielich losu i, przynajmniej, bywa on gorzki. Ale trzymają go ręce Boga, mądre, wszechmocne i ko-



fol. Maciej Wrana

## Życie w obfitości

KS. JERZY SZYMIK

chające. Niektórzy bibliści tłumaczą ten werset: „W Twoich rękach spoczywają moje skronie”. Tak, moja głowa i serce, życie i śmierć są w jego dobrych dłoniach.

\*\*\*

Stale nas to obchodzi, wszystkich nas tu obecnych, ta seria pytań najważniejszych z najważniejszych: Co robić, aby moje życie było udane? Jak być człowiekiem i kim ja właściwie jestem? Skąd i dokąd jestem, dlaczego w ogóle istnieję? Jaka jest droga do szczęścia? Jak ją odróżnić od manowców, które mnie kuszą i od dróg ślepych? Jak się uczyć bycia człowiekiem, skąd brać do tego olej i światło? Skąd brać siłę do stawiania czoła życiu?

Podczas wykopalisk wymarłej cywilizacji rzymskiej w Afryce Północnej, w centrum algierskiego dziś miasta Timgada, na rynku, znaleziono inskrypcję z II/III, na której były wyryte słowa: „Połowanie, kąpiel, zabawa, śmiech – to właśnie jest życie”. Wiemy, że to nie jest głupie, wiemy jak cenne są zabawa i śmiech. I jak są krucze, i jak to jednak zbyt mało by wypełnić sensem duszę. I czy na pewno „to właśnie jest życie”? Wyznam Wam, Przyjaciołom moim: na moim wewnętrznym rynku, w moim centrum, w sercu, żłobię całe życie inskrypcję ze słów Dobrego Pasterza, które brzmią „Przyszedłem po to, aby owce miały życie, i miały je w obfitości” (J 10,10b). I po to jest moja opowieść, chcę wam to właśnie przekazać.

Co to znaczy: „w obfitości”? Chrześcijaństwo jest, rzekłbym, witalnym impetem, który niesie nas w górę, wirem mocy Boga, który nas porywa ponad kruchość, jest życiem w obfitości, jest życiem prawdziwym. W tej całej niepojętej i nie do rozplątania po ludzku gmatwaniu, którą jest życie, gdzie spotykają się i przenikają choroby, relacje rodzinne, ciężar i monotonia pracy, zależność od ludzi i historii, marność, wszystko marność, upływ czasu, polityka, ubytek sił, kłopoty z dziećmi, umierający bliscy, nasze i cudze cnoty i grzechy, nietrwałość... I to wszystko pędzi w oszalamiającym tempie i nie da się ze środka tej galopady wyjść ani na moment, żeby to w spokoju „ogarnąć” z wnętrza życia. Źródła spoiwa i sensu muszą być zewnętrzne. „Najpiękniejsze, co mogło się przydarzyć tej ziemi, to chrześcijaństwo”. Wielu z was wie, że tak brzmi ostatni werset mojej „Dziewczynki w żółtych rajstopach, w śląskim kościele”.

\*\*\*

Więc to Bóg jest dawcą życia i jego obfitości. Daje je przez rodziców. Tu miejsce na hołd, który chcę złożyć Salomei i Emilowi, świętemu sakramentowi ich małżeństwa. Jestem im winien miłość i wdzięczność, to jasne, ale tu chcę im i ich wzajemnej miłości, z której jestem, złożyć hołd, oddać cześć, pomny na przykazanie Pańskie „czcij ojca i matkę, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi”. Im i całej mojej Rodzinie, dzięki której jestem tu, gdzie jestem i tym, kim jestem.

To w mojej Rodzinie rozdziły się wszystkie moje powołania: do kapłaństwa, do teologii, do pióra. Jak pisał mój najważniejszy nauczyciel, Benedykt XVI, Bóg stworzył człowieka „w przestrzeni miłości, rodziny, w której miłość staje się wiernością i tym samym staje się domem dla rodziny, w której żyją ze sobą razem pokolenia i przekazują w ten sposób dalej płomień czasów. Rodzina jest przestrzenią, w której uczymy się człowieczeństwa, w której uczymy się tego, co oznacza bycie ojcem, matką, dzieckiem, co oznacza cierpienie i radość, rezygnacja i posłuszeństwo, dar, wolność i dobroć. (...) Walkę o człowieka rozgrywa się dziś w znacznym stopniu jako walkę o rodzinę lub przeciw niej. (...) Stąd też atak na rodzinę jako fundamentalną ostoję wolności człowieka jest od niepamiętnych czasów pierwszą bronią dyktatury i tych, którzy jej pragną”<sup>1</sup>.

To właśnie rodzina i moja ziemia uczyły mnie, że żyć pomyślnie, „żyć w obfitości”, to *peregrinari pro Christo*, iść za Nim, naśladować Go, umieć zostawić dla Niego. Że człowiek nie jest dla samego siebie, ale dla innych. Że tak się żyje. Że na tym polega życie. Że nie jesteśmy samotni w naszych porażkach. Że naśladowanie Chrystusa doprowadzi mnie nieodwołalnie do punktu, w którym pełna harmonia ze światem – bez pęknięć, bez problemów – nie będzie możliwa. I że trzeba to wytrzymać. Że trzeba umieć, jak powiada Psalmista, oddawać Bogu „cześć między poganami” i śpiewać tam Jego imieniu (Rz 15,9; Ps 18,42; 2 Sm 22,50). Że trzeba się uwolnić w życiu – jeśli ma się ono powieść – od tego, co z Bogiem sprzeczne, od własnych mrzonek o życiu, ostatecznie – od samego siebie. Oto recepta: „potrzeba, by On wzrastał, a ja się umniejszał” (J 3,30). Harmonia z Bogiem – czyli udane życie – jest możliwe jedynie na drodze prostoty serca i Maryjnej pokory, tak że pewnego rodzaju wycofania. To tu, w rodzinie, w Pszowie, uczyłem się, że Kościół nie jest klubem wyrafinowanych intelektualistów, ale zrodził się i rodzi z prostych, pokornych ludzi.

\*\*\*

Słowa o Maryjnej pokorze przywołują tę, która uśmiecha się już 300 lat do naszej ziemi ze wzgórza, na którym teraz jesteśmy. W Rzymie, w kościele Santa Maria Maggiore, czczony jest prastary obraz Madonny pod nazwą „Salus populi Romani”. *Salus* to po łacinie zdrowie, dobro, ocalenie, wybawienie, zbawienie. Maryja jest więc czczona jako ocalenie Rzymian. Nasz pszowski obraz jest – z zachowaniem wszelkich proporcji – *Salus populi Psouane*, wybawieniem Pszowian i całej okolicznej krainy, Was wszystkich. Ona, *Virgo potens*, Dziewica potężna, modli się tu za nami i z nami. Ona wciąga nas tu w potęgę swojej wiary, uczy nas zamiłowania do Boga. Bóg chce nas kochać i być przez nas kochany; Ona daje nam przykład jak to działa i jak to robić.

Trzy dni temu oddaliśmy Jej nasze miasto. I „wielka radość zapanowała w tym mieście” (Dz 8,8) – tymi słowami Łukasz opisuje oddziaływanie misji Filipa w stolicy Samarii. Gdzie przychodzi Chrystus, tam pojawia się radość. Ona robi w Pszowie właśnie to, co Filip w Samarii: wprowadza Chrystusa-Radość do miasta. Jedną z większych moich życiowych radości polega na tym, że nasz rynek, który całą moją młodość dźwigał na swoim pochylonym grzbiecie pomnik Armii Czerwonej, „wzwolecieli”, od 9 lat jest „Placem świętego Jana Pawła II”. Ale to sfera symboliczna, ważna, ale jednak tylko symboliczna. Chodzi za to, by taka przemiana dokonywała się realnie i głęboko, w nas. By wyburzać w nas pomniki zła i oddać tę przestrzeń chwale Bożej. Święty Augustyn w epoce barbarzyńskich ataków na Rzym pisał, że miasto nie upadnie, jeśli Rzymianie będą chwalili Boga. Bo chwała Boża jest czymś nieprzemijającym, trwałym; jest mocą, która prawdziwie, realnie podtrzymuje świat. To samo z naszym miastem i każdym innym: oddawanie chwały

1 J. Ratzinger, Kazania. Opera omnia, t. XIV/1, red. K. Gózdź, M. Górecka, tłum. M. Górecka, Wydawnictwo KUL, Lublin 2020, s. 63,190,192.

Bogu, zakorzenianie siebie i kolejnych pokoleń w wierze jest warunkiem stabilności życia, widzenia wszystkich spraw w świetle prawdy.

Wiara jest zawsze nadzieją. „Błogosławiony jest ten, kto we Mnie nie zwątpi” (Łk 7,23), powiada Pan, a wiara w Jego Zmartwychwstanie mówi, że istnieje przyszłość dla każdego człowieka. Także emeryta... Ta właśnie wiara zna odpowiedź na wpisane w człowieka wołanie o nieskończoność. Odczuwamy melancholię a zarazem i otuchę płynącą z przemijania. Melancholię, bo chwila za chwilą, której co dopiero powiedzieliśmy: „jesteś piękna, trwaj” – mija. Otuchę, bo nagle sprawy, które nas okrutnie męczyły, bezpowrotnie mijają i stają się bez znaczenia. Człowiek różni się od zwierzęcia tym, że jego głowa niejako wystaje z rzeki czasu. Zwierzę jest przez nią niesione jak ryba, człowiek ma nad czasem jakąś (jaką?) kontrolę albo mu się tak przynajmniej wydaje. Lecz to Chrystus, Jego śmierć i zmartwychwstanie, uwalnia nas ostatecznie od dyktatury czasu i jego przemijania.

Zdaje się też, że wrażliwość na przemijanie, ból odczuwany z jego powodu, idzie w parze ze zdolnością do miłości. Kto nie przyjmuje cierpienia, ten nie może kochać, to jasne. Choć bez strachu, bo jak pisała święta Teresa Wielka, pierwszą rzeczą, jaką Pan czyni swoim przyjaciołom, gdy słabną, jest to iż zabiera im lęk przed cierpieniem. Zresztą cokolwiek się z nami dzieje, także jeśli i gdy mijamy, nie możemy spaść nigdy głębiej niż w ręce Boga. Bo Jego Syn przyszedł po to, by owce miały życie w obfitości.

\*\*\*

Na koniec raz jeszcze zwracam się do Was, którzy tego wieczoru tu jesteście, ze wszystkich właściwie środowisk mojego życia: rodzinnych, naukowych, duszpasterskich, z Pszowa, z całego Śląska i z wielu stron Polski. Do Was, którzy mnie kochacie. Kochać znaczy sprzeciwić się śmierci, „kocham cię” znaczy „nie możesz umrzeć”. Miłość jest radykalnym przeciwieństwem śmierci, miłość pragnie wieczności. Mówimy za Pieśnią nad pieśniami, że „jak śmierć potężna jest miłość” (Pnp 8,6). Ale przecież chrześcijaństwo – najpiękniejsze co się przydarzyło tej ziemi – mówi coś znacznie większego: że miłość jest potężniejsza od śmierci. To chcę właśnie powiedzieć o naszej wzajemnej miłości: że największa jest, że z nich zaś największa jest miłość (1 Kor 13,13). Pomyślmy teraz o namaszczeniu Jezusa przez Marię w Betanii u progu Wielkiego Tygodnia. Stopy, olejek, włosy. Mówi ona tym gestem: chcę zapobiec Twojej śmierci, nie możesz umrzeć, chcę ci wszystko oddać, byś żył. Czuję się nieraz tak kochany. Nie tylko ja, prawda? Wielka sprawa, największa. „Gdziekolwiek po całym świecie głosić będą tę Ewangelię, będą również na jej pamiętkę opowiadać o tym, co uczyniła” (Mk 14,9b).

\*\*\*

Powtórzę zatem za moim ulubionym Psalmem 71:

Panie Tobie ufam od młodości.  
Ty byłeś moją podporą od dnia narodzin,  
Od łona matki moim opiekunem,  
Ciebie zawsze wysławiałem.  
(...)  
Nie odtrącaj mnie, gdy będę stary,  
Nie opuszczaj, gdy siły ustają.

I powtórzę za świętym Tomaszem z Akwinu, patronem teologów: „Nic, prócz Ciebie samego, Panie”.



for. archidiecezjakatowicka.pl

# Skalpel anatoma (1)

RYSZARD TWARDOŃ

Dawid, coś Panu powiem. Sądzę, że można człowiekowi bez bólu wyrwać ząb lub amputować nogę, jeśli będzie wdychał ten gaz....

Horace Wells

Co zaprowadziło przed wiekami, społecznej niechęci i nieustannych religijnych ostrzeżeń myśl do ciała? Co sprawiło, że wszechobecny lęk przed wszystkim, co somatyczne, przemienił się w czyste zainteresowanie anatomią i samodzielną dyscyplinę medyczną? Dlaczego potrzeba było aż kilkunastu stuleci, aby z aleksandryjskich odkryć i obserwacji anatomicznych uczynić można było naturalną, pozbawioną podejrzeń epistemologiczną przysgodę i scjentyścyczną potrzebę badawczą, zapowiadającą stworzenie nowej wizji i odkrycie nowego sensu korporalnych części i wewnętrznych procesów oraz funkcji, za sprawą których od początku żyjemy, oddychamy, działamy i myślimy? Jaka „niehumanitarna” siła przyczyniła się do zainteresowania się tą mało popularną, przynależną bardziej nocy niż światłu stroną ludzkiego bytu? Jaka moc wyprawiła renesansowy skalpel do zamkniętego odwieczną pieczęcią niechęci i obawy ludzkiego wnętrza, przepelnionego odrażającymi wrażliwością nosa i oka obrazami nieokreśloności, nieczystości i nietrwałości?

Co było tym czynnikiem decydującym, przewyżającym „ponurą somatyczną noc” w poznawaniu, rozumieniu i leczeniu ciała, w której od tysięcy lat zadawanie męczarni i bólu cielesnym „mieszkańcom” było czymś nieuniknionym i na porządku dziennym? Czy przyczyną pojawienia się zainteresowania ciałem było rosnące niezadowolenie płynące z medycznej praktyki, teorii i tradycji? A może była nią naturalna chęć medycznego samokształcenia się „renesansowego człowieka”? Silniejsza, postępująca wraz z rozwojem wrażliwości, nauki i techniki badawcza docieklivość i metodyczność postępowania nowożytnego umysłu wobec cielesnych zjawisk? Nastawionego w pierwszym rzędzie na przydatność i zgodność reguł i norm z badawczą praktyką, na konstruowanie rzeczywistości niesprzecznej z obserwacją i eksperymentem? A może była tą pobudką przypadkowa, grożąca śmiercią dysfunkcja zmuszająca do nagłego otwarcia i dokładniejszego przyjrzenia się problematycznemu, podtrzymującemu nasze życie somatycznemu procesowi?

A może kryło się za tym zachowaniem zwyczajne, ludzkie, czyste pragnienie stawienia oporu niszczyielskiej, entropicznej sile rozkładu zdolnej od początku historii sprowadzać nasze cielesne życie z powrotem do stanu martwego?

Jak wiadomo, do wczesnego Renesansu nie przeprowadzano oficjalnie sekcji zwłok. Przez ponad 1000 lat, od czasów aleksandryjskich, nie uważano za konieczne poznawanie ciała poprzez celowe rozkrawanie i dzielenie oraz kategoryzowanie korporalnych części. Niski status sekcji zwłok w społeczeństwie oraz wśród nauk medycznych, groźne zakazy i ostrzeżenia Ojców Kościoła, tradycyjne społeczne obawy i uprzedzenia, silna wiara w Galenowski autorytet – wszystko to niewątpliwie nie sprzyjało somatycznym badaniom i rozwojowi chirurgii anatomicznej. Oczywiście nie jest tak, powiedzmy od razu, że nie przeprowadzano do czasu Renesansu autopsji w ogóle. Od zamierzchłych czasów za normalne bowiem uważano balsamowanie ciała chroniące od rozkładu. Usuwano przy tym zawsze wnętrzności i zabezpieczano wonnymi środkami konserwującymi zwłoki zmarłego, zanim przetransportowano je w trumnie do miejsca ostatecznego spoczynku, czasem odległego miejsca śmierci. Regularnie przeprowadzono badania ciała „z urzędu”: były to czynności obdukcyjne wykonywane *post mortem* na zlecenie sądów i urzędów przez oficjalną medycynę, w celu ustalenia prawdziwych przyczyn zgonu. Popularne, lecz mniej już nagłaśniane i krytykowane, były nieoficjalne sekcje zwłok przeprowadzane na zamówienie wykształconych i zamożnych osób w prywatnych gabinetach sekcyjnych.

Godzi się przypomnieć, że zanim człowiek ośmielił się w Renesansie badać cielesne wnętrza i pochylił się nad nim energicznie i bez trwogi, zanim rozwinęła się możliwość naukowego badania i leczenia, zanim pojawiły się medyczne środki uwalniające od bólu i nieuniknionych powikłań, od „antyseptycznego strachu” przed zakażeniem i wewnętrznymi ropnymi gorączkami, *lęk przed ciałem* był czymś dominującym w myśleniu człowieka o sobie samym – cielesnym. Mówi się wszak o platońskim lęku ducha przed ciałem. Dzisiaj już wiemy, że odkrywanie w tym okresie prawd ciała, opisanie anatomicznej i biologicznej budowy, jak i fizjologicznego funkcjonowania, pełne zrozumienie znaczenia

roli ciała w społeczeństwie, kulturze i historii, to nie żadna nagła eksplozja wiedzy, lecz końcowy wynik liczącego eony czasu „somatycznego zainteresowania” i „epistemologicznego procesu”, który wnikając w martwe i żywe ciało, starał się na różne sposoby zrozumieć tajemnicze funkcjonowanie wewnątrzcielesnego.

Jeśli chodzi o „badania chirurgiczne”, których historię prześledził Jürgen Thorwald, można powiedzieć, że do XIX wieku jakiegokolwiek cielesne zranienie, wyrażana przez ząb czy wątrobę niedyspozycja i cierpienie – aż do dnia odkrycia przez Horacego Wellsa w 1846 roku likwidującego ból gazu – nie były stanami bezbolesnymi. Starożytna czy nowożytna medyczna myśl, wydobywając bez znieczulenia i w dobrej wierze tkwiący w cielesnym łonie kamień pęcherzowy czy w piersi odłamek metalu bądź kuli – dokonywała tego pośród cierpienia otwieranego gwałtem żywego ciała. Czyniła to przy akompaniamencie wszechobecnego somatycznego skowytu i boleści, przyczyniając się nie rzadko do śmierci operowanego. W najlepszym razie cierpienie to prowadziło do obłędu, w najgorszym – do patologicznych zmian, trwałego okaleczenia i uzależnienia od woli innych. Niedokuczliwe uczucie bólu, niewinne skaleczenie czy bezbolesny zabieg usuwania wewnętrznych zaburzeń pozostawały przez tysiąclecia w życiu każdego człowieka mrzonką, sennym pragnieniem, nie zaś rzeczywistością i realną możliwością. Innymi słowy, do XIX wieku mieliśmy do czynienia ze sposobem poznania i leczenia ciała, które jest wspomnieniem czasu cierpienia i bezowocnego macania w budzącej grozę somatycznej ciemności, w którym ręka starożytnego czy nowożytnego cyrulika wdzierała się do wnętrza bytu w brudzie i po omacku, stając się każdorazowo dramatyczną – jak zaznacza Jürgen Thorwald – „przygodą na śmierć i życie”. Obraz i klimat unoszącego się od starożytności do nowożytności ponad ciałem mrocznego i paraliżującego zatrwożenia i lęku a także opowieści o straszliwym okrucieństwie dawnej chirurgii odeszły na szczęście do przeszłości. Wszystko, co było przedtem i co ukazywało beznamiętną bezwzględność, ignorancję i głupotę medycyny, jak również bezradności samego człowieka i lekarskiej tradycji wobec bolejącego ciała, jest już tylko, z dzisiejszej perspektywy patrząc, mglistym o tych barbarzyńskich czasach wspomnieniem.

„Ciało jest grobem”, otoczonym skórą, pełnym przerażających odgłosów i niepokoju, robactwa, kału i śluzu workiem – platońskie i postplatońskie pojęcie ciała nie tylko przypięcztowuje antropologiczny rozdział na duszę i ciało. Sprowadza na kilkanaście stuleci bytowo zintegrowane cielesne bycie i funkcjonowanie do charakterystyki prostych korporalnych relacji, elementów oraz redukcjonistycznych pojęć – w skrajnych i późniejszych ujęciach – do pozabawionej własnej energii i działającej na wzór kółek zębatych, trybików i przekładni, choć złożonej z kości, mięśni, żył i skóry bezdusznej maszyny. W wiekach średnich porowata powierzchnia ciała budzi u ludzi szczególnie niepokój i obawy. Jej zawodna natura i pełna niezliczonych otworów granica staje się dla nowożytnie myślącego człowieka wyzwaniem, groźbą i prawdziwą udręką. (Zob. Georges Vigarello 1998, s. 15 i nast.) Odkrywając „porowatą powłokę” sądzono, że to przez nią przenikają, jak i kiedy chcą, śmiertelne choroby i groźne dolegliwości. To przez nią wkrada się „morowe powietrze”, zaraźliwa dżuma czy cholera. I to również poprzez nią uciekają na zewnątrz nasza energia i nasze żywotne płyny. Stąd też dla średniowiecznego człowieka rozgrzewanie ciała, kąpiel i dotyk stały się groźne. Trzeba w miarę możliwości ich unikać, aby nie było – powiada się – przykrych niespodzianek i niebezpieczeństw. Takie negatywne nastawienie do ciała nakazuje, aby się za wszelką cenę odgradzać się od jego trujących „miazmatów”. Trzeba stale uszczelniać nieszczelną jego powierzchnię, umacniać porowatą granicę przed atakiem zewnętrznego świata, wody i ciepła oraz zmysłowej rozkoszy. Trzeba, innymi słowy, zaryglować powłokę ciała szczelnie przylegającym ubraniem, oddzielić kokonem koniecznej ostrożności i rygorów, odgradzających zakazów i kar wobec nieposłusznych. Ta obawa przed przenikaniem „złego świata” do ludzkiego ciała przez skórę utrzymuje się do czasów nowożytnych, wywołując u ludzi uczucie bezradności wobec niespokojnego i destrukcyjnego dynamizmu oraz nieobliczalności zachowań cielesnych, którym jednak nie sposób się oprzeć.

Soma, z jej licznymi nie-

doskonałościami i potrzebami do zaspokojenia oraz niespokojnymi popełdaniami, stała się dla poszukującego sensu i wybawienia średniowiecznego człowieka konfliktogennym i problematycznym źródłem oddzielającym życie i istnienie od nieskończoności trwania i dobroci Boga.

Do myślenia człowieka wkradnie się i umocni wraz z chrześcijaństwem pojęcie ciała jako domeny niepokoju, bólu i rozkładu, które stało się ostrzeżeniem dla miłujących Boga jego „mieszkańców”, by nie padali ofiarą iluzji cielesnego piękna, które składa się – gdy mu się dobrze przyjrzyć – z flegmy i krwi, wody i żółci, z boleści i chorób. Ciało,



rys. Andreas Vesalius

postrzegane w pierwszych wiekach naszej ery aż po wieki średnie przez identyfikację negatywną, kojarzone prawie wyłącznie z lekkomyślnie utracaną nieśmiertelnością pierwszych ludzi, z bólem narodzin, z podszeptem do występku i oddzieleniem od boskiego planu zbawienia – wprowadza do wiedzy o człowieku pojęcie „cierpiącego mięsa” (Karol Kerenyi), z którego pochodzi w życiu największej przerażenia i niepokoju. Dla średniowiecznej myśli byt cielesny, jeśli był piękny i godny uwagi, to tylko dlatego, że piękna była, rozświetlająca go od wewnątrz, dusza. Ludzka mądrość w tym czasie polegała na tym, aby nie myśleć o sobie jako o ucieleśnionym śmiertelniku, lecz aby afirmując własne istnienie, rozpoznać w sobie ów pierwiastek niezniszczalny, boski, ową – jak ją określił Jean-Didier Urbain – „wieczność w doczesności”, duszę reprezentującą jego prawdziwą sobotę, która również po śmierci będzie trwała w bezczasie w niezmiennym i rozpoznawalnej formie.

Okres średniowieczny zatem to czas odkrywania cielesnego bytu z perspektywy zakorzenionej w nim kruchości i znikomości, bólu i cierpienia. Jak zwracają uwagę badacze – średniowieczna i wczesnorennesansowa wyobraźnia przepojona była pojęciami i wyobrażeniami ciała związanymi z jego aspektem fizycznej nietrwałości, co łączyło się z napominaniem żyjących, w słowie i w obrazie, o nadchodzącym końcu, nieuniknionym rozkładzie i upadku świata. To tutaj estetyzujący i żyjący kultem zdrowego, pięknego ciała oraz rozkoszy doczesnej świat antyczny ulega naporowi nowej orientacji kulturalnej: chrześcijańskiej kultury cielesnej przestrogi, kontemplacji i wstrzemięźliwości, z jej hasłami ucieczki od doczesności, dystansu do ciała, świata i potrzeby zmysłowej estetyki. Chrześcijańska walka z ciałem pociągnęła za sobą radykalne zmiany, wykształciła odmienne formy obyczajowości i moralności. Piętnujące starożytność, z jej zmysłową bezwstydną i upadkiem obyczajów, wryły się one głęboko w ludzką świadomość, stając się trwałym elementem organizującym zachowanie i postępowanie społeczeństw i jednostek wobec własnego ciała. Unoszące się w społecznej przestrzeni chóralne głosy i przedstawieniowe rozpowszechnione religijne przestrogi przed znikomością ziemskiego i cielesnego życia, uzmysławiają, że w takim klimacie nie można było w cie-

le dojrzeć „innych aspektów śmierci prócz – zauważa Johan Huizinga – rozkładu”. Nakazy i zakazy Ojców Kościoła, wygłaszane przez

lecia z ambon, niszcząc słowem i czynem wszystko to, co składało się na wartości świata antycznego, zwracają się również przeciw ciału.

W stosunku do ciała rozpocznie się skomplikowany i ciągnący się przez wieki w społeczeństwie, kulturze i myśleniu proces jego negowania i wypychania na margines. Każdą zaraźliwą chorobliwością i niepokojące fizyczne różnicowanie traktowano jako gody w same podstawy społecznego, religijnego i politycznego systemu jako takiego. Każdą, by tak rzec, „nieprawomyślność”, anatomiczne różnicowanie i najprzeróżniejsze fizyczne odstępstwa, ułomności i anomalie, gani się i skazuje – z użyciem Administracji i Moralności, Siły i Słowa – na przemilczenie bądź wygnanie. Tylko pod oficjalnym, czyli religijnym, patronatem, za murami zakazów, w społecznie tolerowanych gabinetach osobliwości, w szpitalnych przybytkach średniowiecznego ciała ukazywać mogło jeszcze swoje tajemnicze bycie i sprzedawać bezmiar swej anormalności i nieprzystosowania. I tylko w „domach bez klamek”, w zamknięciu i po odpowiednich cenach sycić mogło i bez zahamowań kusić nieobyczajnymi kształtami i zmysłowymi pragnieniami „płatne oczy” poszukujące żywych wzruszeń, doświadczeń i prawd bliższych spojrzeniu niż opisowi z galenowskiej tradycji.

Lęk przed ciałem był w średniowieczu „lękiem ontologicznym”. Lękiem przed bytem jako czystym zaprzeczeniem nieśmiertelności – „ucieleśnieniem” poniżenia, nieszczęścia i zła. Zła, gdyż w przekonaniu tej epoki właśnie ciało „sprzysięgło się” w tragiczny sposób od początku przeciw „życiu” z siłami zepsucia i przemijania oraz zdeterminowało człowieczą egzystencję poprzez trwogę końca, bólu oraz nieprzewidywalność śmiertelnej choroby. Doświadczenie nieobliczalności i patologiczności oraz skończoności cielesnego bytu zapoczątkowuje, innymi słowy, u średniowiecznych ludzi, poszukujących bezpieczeństwa, trwałości i spokoju życia, ambiwalentne myślenie o ciele. Ciało stało się w tym czasie tą bezwarunkową, choć niejasną co do czasu i przyczyn oraz ze względu częstokroć na brak objawów, zapowiedzią przyszłego cierpienia w formie nagłej utraty zdrowia, zniedołężnienia, starczych chorób i, w końcu, całkowitej utraty ucieleśnionej wolności. Właśnie owa nieuniknioność oraz świadomość nieuchronności końca naszego istnienia, którą wnosi sobą do zadowolonej z siebie ludzkiej egzystencji przemijające ciało, świadomość, iż przyczynowy bieg świata nie troszczy się o nasze racje i wartości, uczyniła, jak się zdaje,

w tym okresie problem ciała tragicznym. Program walki z ciałem obejmował przez wiele stuleci wszelkie cielesne żądze, naturalne przyjemności i radości. Fizyczne ciało nie raz będzie padało ofiarą mistycyzmu, zmuszającego do wyrzeczeń i mającego skłonności do bezprzykładnej makabry. Urządzano boso dalekie wyprawy, umartwiano ciało brakiem snu, samookaleczaniem, brakiem higieny i wysiłkiem fizycznym. Gardzono dobrym jedzeniem i strojem, bogactwem i dobrami materialnymi.

W tak przeciwnym ciału średniowieczu, które, zdawałoby się, wykluczało wręcz jego istnienie, miało ono paradoksalnie i swych obrońców. Św. Franciszek odważył się powiedzieć ginącemu pod ciężarem cielesnych chorób, plag, zakazów, ubiorów i gorsetów światu: „Ciało to nasz brat”. Jest śmiertelne, grzeszne i brzydkie – to prawda, ale: „Każdy (...) musi respektować własną naturę”, tłumaczył, uspokajając udęrczonych ascezą zakonnych braci: „Daj swojemu ciału, co mu jest – powiedział – niezbędne, by wzmocnione mogło służyć duchowi”.

Ostatecznie, nie wchodząc już głębiej w problematykę „średniowiecznego ciała”, powiedzmy, reasumując: dopóki człowiek nie rozumiał wewnętrznych procesów, funkcji i natury somatycznych elementów, dopóty ciało ze swoją kruchością, śmiertelnością i niepokojnymi instynktami objawiało się człowiekowi w przebraniu zależnego od Boga bytu, dopóty też zmuszony był snuć w oparciu o stan cielesnej „powierzchni” mgliste przeczucia, budować bajkowe korelacje i przypuszczenia, wyjaśniające przejście od zdrowia do choroby, od stanu życia do śmierci. Podejmująca problematykę ciała ludzka myśl, chętniej i częściej przez wieki skupiała się, raczej z wygody niż z konieczności, na jego narzucających się bytowych ograniczeniach: na „wadliwej” zmysłowości pożądlivosti, na chorobowych niedomaganiach i śmiertelności. Koncentrowała się – od Platona począwszy – na łatwych do wytłumaczenia, prostych funkcjonalnościach, anatomicznych i morfologicznych strukturach, widzialnych schematach i antytetycznych porównaniach. Innymi słowy, przez kilkanaście stuleci ludzie, nie mając żadnej, czy też mając minimalną wiedzę o organach i wewnętrznych fizjologicznych stanach, zmuszani byli do wyjaśniania tego, co podskórne i wiążące nas z siłami biologii, z pomocą wydobywających się na „powierzchnię” korporealnych oznak w formie obrzęków, plam czy wydzielin, w formie ekspresywnych przejawów zawstydzenia czy złości.

Panujący do epoki Odrodzenia wo-

kółcielesny klimat niechęci, bojaźliwości i cielesnego zatrwożenia, wzmocnianego tabuicznymi zakazami w stosunku do ciała-trupa, nie przyczyniał się do rozwoju anatomicznych badań i metodycznego poznawania bytu. Sytuacja taka nie spowodowała (bo nie mogła obudzić w człowieku czystej woli badania) świadomej konfrontacji między rzeczywistością somatycznej budowy a rzeczywistością przekazywaną o bycie w przekazach tradycji i naukach autorytetów. Musiało upłynąć wiele czasu, aby ciało mogło odzyskać właściwą sobie ontyczną wartość, aby można było zrelatywizować wcześniejsze, ciągnące się przez stulecia negatywne do niego nastawienie. Krótko mówiąc: potrzeba było nie lada wolicjonalnej i moralnej odwagi, badawczej przenikliwości, technicznej precyzji oraz somatycznej orientacji, aby obarczonego zakazami i uprzedzeniami ludzkiego trupa rozdziawiać i anatomicznie studiować.

A jednak, pomimo drwin, ostrzeżeń, wątpliwości i społecznej krytyki, siła i rozległość zainteresowania anatomicznym uprzystępnianiem tajemnic ludzkiego bytu wpłynęła na wytworzenie nowego rodzaju postępowania wobec ciała. To właśnie w Odrodzeniu człowiek, dzieląc niepodzielne bytowo i niepojęte ciało, to tworząc się, to angażując i zastanawiając nad sobą „cielesnym”, rozświetla skalpelem ów groźny i mroczny obszar organicznego życia. Uprzystępnia społecznie zamknięty szczelnie skórą, moralnymi pieczęciami nietykalności i religijnymi zakazami oraz społecznymi uprzedzeniami ontyczny byt. To tutaj, wraz z rozwojem zdolności obserwacyjnych i technicznych, „astrologiczne” i „humoralne” ciało, tracąc metafizyczny grunt w boskim kosmosie, zaczyna przeobrażać się, począwszy od XIV wieku, w interakcyjną i uchwytaną w bezpośrednim doświadczeniu oraz podatną na kształtowanie strukturę, która za sprawą ekspresywności, materialności i wewnętrzności przechodzi pod ludzką jurysdykcję, zorganizowane kształtowanie i społeczne oraz medyczne, techniczne zarządzanie. Innymi słowy, uwieczniane w renesansowych ilustrowanych dziełach anatomicznych, w malarskich i rzeźbiarskich przedstawieniach kawałkowanie ciała coraz mniej zaczyna wyrażać w anatomicznych zabiegach przeniknięte uprzedzeniami i obawami średniowieczne *memento mori*, a coraz bardziej i silniej staje się wyrazem odważnych badawczych i eschatologicznych kwestii oraz pytań stawianych przez ludzi Odrodzenia, a dotyczących natury i funkcjonowania wcielonego życia – ale i problemu sensu ludzkiego istnienia. ■

# Śląska Golgota

MONIKA BŁASZKÓW

Siedzę. Niebo nade mną sinawe, pod stopą kamienie i kabel, i kapsle, i torby w kratę, turystyczne. Krzyki zabawy znad zgnitej kanapy. Świergot ptaków i maki, lalki, EB, studnia. Płynie sobie obok jakaś taka woda, rzeka czy nierze-ka. Niżej żaby, wyżej lasy. Budka stróża w pasy, dwa lu-stra, trzy rurki. Strużki rdzy i napis: *Zakaz wstępu – Dzi-ki Zachód. Vexilla regis prodeunt inferni*. Wokół wstęga biało-czerwona – jak Polska. Na zachodzie ryk trasy.

Widzę tropy dzika.

Soczysta zieloność wylania się z mułu. Popękana łuska podziemnego smoka, czarne rozpadlisko – zły dół. Amo-nity. Mech się tutaj karmi burą folią worka, a spomiędzy błota wyrasta żdźbło trawy. I butelka wódki. Staw z oponą na dnie, kamienne plastiki. Miotła w drzwiach na laubie, plus koszyk z dyskontu. Panorama Gobi upstrzona graf-iti i krzywa klopsztanga na martwym podwórku. Komin z horyzontu. Metafizyka, hałdologia, huby.

Schowałem w pamięci usmolone łachy, stęk skalny dudniący złowieszczo, smród ziemi. Latarki w szybach, wyżej bure wody, co spływały po tarze do miski. I zapach. Niedzielnego obiadu, gdy jak ciepły strumień sunął leniwie zza ceglanych framug. Widzę te wszystkie śnieżne białka oczu, wracające rzędami z czarnej praotchłani. Ognisty deszcz kapie miarowo, w tle kroki. Głośniejsze nawet niż jęki tego, co nie wrócił. Głos księdza, świst pasa.

Pamiętam wciąż niepewny, delikatny dotyk. Ciepły po-całunek obok płonnej skały. Twoje drobne stopy szły wtedy po żwirze, po trawie. Ciągnęłaś mnie za rękę, to zślaś, to opadałaś. Leżeliśmy potem bez ruchu. Skrywały nas przed światem płomienne zasłony. Byliśmy jak grzesznicy w ciasnym, skwarnym grobie i biegliśmy potem jakies pięć zakrętów. Wokół stopy żyta, między nimi chabry. Upojony swądem żulem gumy Donald.

Pamiętam włosy Staszka, gdy tak latał w kółko z pa-tykiem i śpiewał: *U mojego szwagra, zabili sztyrnadla, podzielili po jelicie i po jednej kicie! I był powstańcem śląskim, ze zbocza. Piekliśmy kartofle i były jak węgiel. Chowaliśmy się za dymem. Ukradłem dwa dni wcześniej*

trzy jabłka na drogę. Pływaliśmy czółnem po czerwonej rzece. Pół hanysy, pół Indianie na prerii z lepkiej brei. Na biodrach miał teksasy, a ten jego patyk był zrobiony ze złota. Dziki Zachód.

Ojciec mówił: „Tak było. Od zarania dziejów, synek, ludzie kopią. Człowiek to rozrzutnik, zawsze sięga wy-żej. Widzisz krzyż na szczycie? Kiedy już wypiętrzy, to go tam zostawia. Śląska ziemia święta. Jeśli wydobywasz, to ze świętej ziemi robisz świynto góra”. Pytałem: „Ale brudna? Abfał, resztki? Jakie to *sacrum*, naznaczone gwał-tem? Bóg jest przecież czysty”. A on: „Węgiel manną świa-ta. Niy drąż tak, synek”.

Pamiętam karabiny i pamiętam dresy. Horyzont so-czysty, ale w lesie wojna. Wąskie szpary bunkrów ponad burą ściółką. Pół druta na słupie. Ruch Chorzów i du-chy. Szlaban co nie spełnia żadnej dobrej funkcji, stare mokasyny. Widzę brudne ręce, dłubiące resztki z resztek i ładujące je prędko w barwne reklamówki. Czytałem, że był taki Józek i się nawet spalił. „Człowiek pobocz-ny, skutek uboczny – mówił ojciec – ale jeść i pić trzeba. Niy łaż tam, synek”.

Babka mówiła: „wnusiu, to jest wulkan”. I mówił wujek: „walcz!”. I ksiączę mówił: „kop!”. I stryj powiadał: „rąb!”. I król powiadał: „sadź!”. Europa wydrążona, towarzyszu. Sto procent normy. Technika wyrasta z natury, a natura to sztu-ka boska. Trawa żywi się ołowiem. Ćwir ptaków, słunsko godka, pieśń kościelna, ścieki. Quady, biedaszyby, blask kwarcowy, kwas siarkowy. Wichura. Zakrzywienie czasu, płynna rzeczywistość. Pomieszanie zmysłów.

Zbezpiezczona, przemieszczona. Przetrawiona, wywa-lona. Rozedrgana, rozpalona, tkwi w gorączce przemysł-owej. Wciąż ruchoma. Żywy to relik, nowa to dziedzina. Tęskniąca za dołem, samotna góra. Pomiedzy miejscem a miejscem. Czasem a czasem. Święta i przekłeta, Golgota. Przeszedłem dziewięć kręgów w górę, prosto do podziemi. Zyskałem nadzieję i jestem już na szczycie, bezpieczny. Ławeczka, piwko, stolik.

Siedzę.

Nade mną gwiazdy.



**Bezdech**

chwile przemienienia  
pożądane  
rzadkie

przeglądałam się w starych fotografiach  
blakną  
jak właściwe słowa

ich twarze  
mój ruch  
i bezruch  
ciało nie nadąża za  
/choć przyspiesza zbyt/

pamiętam myśli  
nie czynności  
gwałtownie szukam kontekstu  
zaprzeczonych uniesień

to stanowczo za mało na pewność  
i uspokojenie

chwile przemienienia  
pożądane  
rzadkie  
właściwie niewłaściwe  
mozolne  
były

**Blask**

pachniesz wczesnym wrześnie  
nic nie poradzę  
że budzi to moje późne słońce  
i odmawia snu

choć w mantrę zaklętemu  
twojemu nie wiem  
wtóruje moje chęć  
nie potrafię ogrzać cię wystarczająco

cofane pytania  
nie znikają  
nadzieje, blaski, poranki  
tłą się od wczoraj do nigdy  
choć mogłyby do zawsze

piołunowe słowa nie załatwią sprawy  
ani stygnąca cisza  
która udaje spokój

kurczy się oddech i znika czas

kiedy zasłoni cię horyzont  
już nikt nie wybaczy  
nieprzyjęcia daru

**Nie jestem gotowy**

nie jestem gotowy  
by pożegnać jesień

to stanowczo za mało  
by nasycić czas  
liści migotaniem  
niepiesznie

za dużo we mnie czerwieni  
jeszcze złoto się żarzy  
po brzegi

wiesz  
nie ustrzegłem się tego  
o czym wszyscy  
od zawsze  
drżącym piórem  
pędzłem  
zamyśleniem

przegapiłem znaki

i teraz nie wiem  
jak mam zrozumieć  
jak wytłumaczyć  
że światło otuli inne krainy

nie jestem gotowy  
by pożegnać jesień

nie jestem gotowy  
na biel

\*\*\*

zachłanne palenie papierosa  
gdy nerwowo gaszę  
w zarodku  
niewygodne pytania

nie wychodzi na zdrowie to ciągle  
niewychodzenie  
na prostą

teoria względności prawdy  
nie uwzględnia jednak  
dochodzenia do

już lepiej  
zapiąć się na wszystkie guziki  
albo zamknąć oczy

spać też nie warto  
bo tylko  
gwałtowne przebudzenia  
bo sny ryzykowne

\*\*\*

środek na wymazywanie  
z życia  
potrzebny na wczoraj

bo znów  
bo za szybko  
bo po co

znajoma powtarzalność spraw  
nowy kalendarz znaczy  
choć nowych znaczeń ani na jedną  
kartkę

a teraz?  
zdarzyć się może wszystko  
nic się zdarzyć nie musi

tylko  
co z tym nadmiarem  
i tą czułością  
której ponoć trzeba się wstydić



Ogrody Dźwięków (Garden of Sounds) to jeden ze sztandarowych projektów instytucji Katowice Miasto Ogrodów. Organizowanemu od 2013 roku festiwalowi nie przeszkodziła nawet pandemia. Impreza przeniosła się na chwilę ze świata analogowego do onlajnu, ale ta alternatywa wcale nie była oczywista. Wiele wydarzeń po prostu zostało odwołanych lub przepadło definitywnie.

Większość zapewne kojarzy frekwencyjne i przestrzenne spotkania z folkem, world music, etno pod osłoną czerwcowego nieba w Strefie Kultury. Ale Garden of Sounds zaczynał kamealnie, w podcieniach IKKMO i lubił w podcienia wracać. Jest tu zacisznie, kompaktowo, no i stanowią podcienia naturalną ochronę przed burzliwymi wersjami lata.

W ubiegłym roku program był mocno zróżnicowany, Ogrody powędrowały ku odległym wyspom (Haiti, Cypr), otworzyły się na Bałkany i Ukrainę – tę ostatnią z oczywistych i znanych nam wszystkim powodów. Program był tradycyjnie dwudniowy i już mniej tradycyjnie prezentowany w dwóch lokalizacjach – niedzielny, finałowy koncert odbył się w ogrodzie klubu Drzwi Zwane Koniem.

Bieżący festiwal zmieścił się w jednym dniu – 17 czerwca – (na finał przynosząc się piętro niżej do music hubu) i za cel eksploracji obrał sobie Azję. Organizatorzy podkreślili, że oczywiście nie chodzi kompleksowo o Azję, ledwo tylko zahaczają o kontynent, ledwie Azji dotykają. Azja to cały wszechświat. O czym swego czasu mogli się przekonać Philip Glass, Thomas Merton, Jordi Savall czy Waclaw Zimpel. Jak i artyści, myśliciele, pisarze wyeksportowani z Azji na Zachód.

Na początku, w pełnym świetle dnia, choć w półcieniu, wystartowało Via Trio, instrumentalny, ale również wokalny team z koreańskiego Daegu – tak samo jak Katowice należącego do Miast Muzyki UNESCO – łącząc w jednym koncercie tradycyjne kimono, muzyczną narrację pansori, najbardziej charakterystyczny instrumentalny dźwięk Azji – haegeum i koreańską wersję popu K-Pop – z europejską muzyką klasyczną, europejskimi standardami i instrumentarium. Via Trio w wydaniu outdoorowym (występują w parkach, na ulicach, od Soho przez festiwale w Glastonbury po zaułki Kopenhagi – festiwal kimchi) jest rzeczywiście tercetem (skrzypce, wiolonczela, haegeum), czasem sobie pozwala na rozszerzenie nominalnej reprezentacji do kwartetu, włączając instrumenty klawiszowe. W Katowicach sekcję strunową wsparł jednak gitarzy-



Via Trio

## Radość to forma oporu

RADOSŁAW KOBIERSKI

sta (akompaniament) i ta wersja wydała mi się optymalna.

Można bez cienia wątpliwości powiedzieć, że dźwięk haegeum i pansori robią różnicę, to znaczy bez tego rdzennego wsparcia aranżacje nie wskazywałyby na Azję, nie bezpośrednio – tak dobrze zespół przyswoił sobie muzykę europejską (ale to przecież na melomanów nie nowość, wszak azjatyckie interpretacje klasyki, w tym chopinowskiej należą do spektakularnych i dziś całkiem oczywistych).

Po niedługiej przerwie scenę zajął Francis Tuan, również kwartet, tym razem jednak bez widocznych i słyszalnych związków z Azją (poza dan nguyet, którą frontman na chwilę zastąpił gitarę, historią Fryderyka Nguyëna, która zaczyna się w Wietnamie i zarazem szybko się przenosi do Polski). Tuan to również rodzimy skład, bardzo energiczny i świadomy tego, co chce zrobić w muzyce. Należy zespół, w moim odczuciu, do nowej awangardy muzycznej w Polsce, nie tylko dlatego, że z całkowitą swobodą łączy gatunki i style muzyczne, ale przede wszystkim dlatego, że nie robi muzyki byle jakiej – co niestety od końca lat 90. z niewielkimi wyjątkami charakteryzuje scenę muzyki pop. Jeśli muzyka pop ma mieć takie brzmienie – mawiał Piotr Metz – to ja jestem spokojny o jej przyszłość. Jeśli muzyka pop – dodam od siebie – będzie miała takich tekściarzy jak Nguyen, na dodatek tekściarzy zaangażowanych – też jestem o przyszłość spokojny.

Koncert w podcieniach w pewnym momencie całkiem mnie pochłonął. To był taki rodzaj grania, który nie zostawiał ani chwili na roztargnienie czy znużenie. Minimalna ilość powtórzeń, nieustanna zmiana i oscylacja między brzmieniami gitar i całego zespołu, świetna zabawa stylami, zmiany rytmów, nawet wokal Nguyena nie był taki sam za każdym razem. Można powiedzieć, że Tuan to podręcznikowy przykład całej idei Garden of Sounds: nieoczywistość, międzygatunkowy flow, radość z grania (Nguyen czasem wspomina, że radość to najlepsza forma oporu).

Finał niednodniowego święta rozegrał się w music hubie i należał do Przemysława Strączka i Chiao-Hua Chang, muzyków, którzy zagrali ze sobą drugi raz od festiwalu Czech Music Crossroads. Łączy ich jazz i improwizacja oraz odległe tradycje brzmieniowe, które próbują ze sobą połączyć. Trzeci koncert i trzeci całkiem inaczej zagospodarowany ogród muzyczny. Łkający matoquin Chiao-Hua Chang i efekt stłumionej gitary (bardzo krótki dźwięk), płynna wymiana ról (akompaniament i linia melodyczna). To, że gitara potrafi jedno i drugie i brzmi jazzowo – wiedziałem. Ale że matoquin ma podobne możliwości, a nawet potrafi brzmieć bardzo awangardowo – dotarło do mnie dopiero podczas koncertu. To był chyba najbardziej „narracyjny”, medytacyjny i liryczny występ tego dnia.

Oglądał Pan finał Ligi Mistrzów? Komu pan kibicował?

Manchesterowi City... Ja... ja lubię Angoli.

Ja też. Ale wtedy, w 1970 roku, w czasie pamiętnego finału Górnika z Manchesterem, to w Zabrze na pewno nikt im nie kibicował. W zeszłą sobotę myślałem o tamtych czasach, które przypomina spektakl *Chopcy z Roosvelta...* Spotkałem na widowni kompletnie inną publiczność. Stadionową? Kibicowską?...Niezwykłą! Jak ona chłonęła tę opowieść! Komentowali. Śpiewali... Jak doszło do powstania tego przedstawienia?

Po przeczytaniu książki Pawła Czado [Górnik Zabrze. Opowieść o złotych latach – KW] zrodził się w nas wielki apetyt na to, by pokazać ten temat na scenie, by pokazać nasze miasto. Wszyscy w Polsce wiedzą, co znaczy Górnik Zabrze, tak jak wiedzą, co to jest Coca Cola. Oczywiście pojawiły się pytania, na ile jest w stanie teatr, poprzez formę elitarnej rozmowy, pokazać emocje, które są czasami, przepraszam za określenie, atawistyczne. Ja tego nie oceniam, tylko pytam, jak to połączyć z teatralnym przekazem, którego istotą jest docieranie do tych najbardziej wrażliwych sfer ludzkich: świadomości rozumu, serca, jak to zbudować.

#### Jak się to tutaj zbudowało?

Pojawił się taki wektor, że przecież historia tego wspaniałego klubu to jest historia ludzi. To nie jest martwy szyld Górnika Zabrze. To nie tylko te litery ze starego stadionu, które są u nas na foyer. To są setki ludzi: tych bohaterów z pierwszych stron gazet, czyli tych, których mamy na scenie i całej rzeszy tych ludzi, którzy są dookoła. Rodzi się kolejne pytanie: Czy uda nam się zachować te proporcje pomiędzy opowieścią o konkretnym klubie, a pewną uniwersalnością, na której nam zależy, żeby to nie było tak, że spektakl jest tylko dla kibiców. I pojawił się Jacek Głomb, który jest wybitnym reżyserem, ale również kibicem. I kolejne rozmowy zaczęły dawać nadzieję, że uda się te elementy połączyć

#### A kto był głównym inicjatorem tego przedsięwzięcia?

Pomysłodawcą był Jurek Makselon, dyrektor Teatru Nowego. Potem pojawił się Jacek. No i później zaczęliśmy rozmowy o składzie (*śmiech*)... o obsadzie. I rozmowy o tym, co chcemy przekazać. Moim zdaniem dokonaliśmy trafnego wyboru. Z jednej strony mamy te oparte na faktach pewne historie, które w spektaklu przedstawiamy. Z drugiej strony pokazujemy, jak ciężko ludziom żyło się w tamtych czasach. Takie refleksje jest cudownie w ludziach sprowokować. Ale mówimy i o emocjach kibiców, którzy przychodzą na ten spektakl...

#### Torcida przychodzi?

Byli, byli chłopaki z Torcidy... Ale to nie



fol. Paweł Janiec Janicki

# O wszystkim idzie godać po śląsku

Ze ZBIGNIEWEM STRYJEM, zastępcą dyrektora ds. artystycznych Teatru Nowego w Zabrze, rozmawia KRYSTIAN WĘGRZYNEK

tylko te emocje, kiedy oni skandują nazwę Górnika, czy wspominają konkretny mecz i wynik. To też emocje przy wspomnieniach babci, *kero godo, że te rynkawice musiał sie zrobić z arbajtancuga*.

#### Ja takie wspomnienia i w foyer po spektaklu słyszałem...

Cudownie! Poruszyliśmy strunę... Zawsze rozmowa, która się buduje na wspomnieniach, jest konfrontacją z rzeczywistością. Konfrontujemy się z tym, co było i dochodzimy do wniosku, że mamy lepiej. Oj, mamy lepiej.

#### A nie obawialiście się tej sportowej publiczności?

Mieliśmy pewną obawę, bo my nie mówimy tam w samych superlatywach o Górniku. To nie jest laurka, to nie jest postument fałszywie pozołcony. Mówimy rzeczy gorzkie. Oczywiście, że to jest artystyczna prowokacja. Natomiast ona trafia idealnie w odbiorców. Ci kibice się nie wkurzają, nie wściekają. Bo ktoś tu ze sceny mówi do nas i o nas „Ja, a może łoni majom racja?”, „Ja, a może to tak jest, jak łoni godajom?”. A na koniec słyszą, że nie dasz się przekonać, że to jest złe; po prostu szukasz w sobie tego, jak to powinno być... To jest tak jak bycie Ślązakiem – nasłuchaliśmy się przez lata tylu złych rzeczy o nas, o sobie, o Śląsku. I gdyby tak to wszystko przyjąć jeden do jednego, to już wszyscy powinniśmy się spakować i stąd wyjechać.

#### Sporo już wyjechało.

Sporo wyjechało, ja wiem, ale ci co zostali, mówią o sobie z dumą. Ja też mówię o sobie z dumą, że jestem Ślązakiem. I widzę, jak wielu jest tu ludzi, którzy walczą o to, żeby Śląsk był lepszy... Ostatnio na przykład na planie zdjęciowym, gdzie byli ludzie z całej Polski, słyszałem takie zdanie: „Ale ten Śląsk wam pięknieje. Bo pamiętam, jak wyglądało, kiedy byłem na Śląsku 12-13 lat temu z jakimś spektaklem. A teraz widzę, że miasta coraz ładniejsze!”. A ja im mówię: „Wiecie, co się stało? Do władz miejskich doszli ludzie stąd, którym zależy na tym, żeby miasto było *piykne*”.

#### Piękny jest też zabrzański festiwal teatralny *Rzeczywistość przedstawiona*. W ostatniej edycji znalazły się dwa śląskie spektakle. Obok *Chopców z Roosvelta* pokazaliście *Ucieczkę Stanisława Bieniasza*, która bardzo ciekawie zaistniała w tej nowej przestrzeni, na scenie kameralnej. To powrót do sztuk zabrzańskich artysty?

Na to się składa sporo rzeczy. Po pierwsze: tak, mamy wreszcie kameralną scenę i to jest dobre. Po drugie: Staszek Bieniasz, człowiek, który kochał teatr i był wspaniałym artystą. To właściwie jedyny człowiek z Zabrze, piszący dla teatru, który cieszy się uznaniem i tu, i w Niemczech. Ale w rzeczywistości jest mocno niedoceniony. Pamiętam, jak siedzieliśmy na schodach, tutaj przed teatrem. I Staszek wtedy powiedział: „Wiesz co? Przydałaby nam się kameralna

scena”. A potem odwrócił się w lewo i zobaczyliemy tę całą uliczkę, te rudery wtedy. Tak trochę wywieszczył, że to się może zdarzyć... No i pomyśleliśmy sobie, że byłoby fantastycznie, gdybyśmy na otwarciu sceny zagrali coś Bieniasza.

**Wystawialiście już w Zabrze dramaty Bieniasza. Chociażby *Naczelnika*, w którym Pan zagrał rolę Jerzego Niechcieja. Pojawił się *Transfer* już za Pana dyrektury. A tym razem adaptacja prozy. Dlaczego akurat *Ucieczka*? Cały czas się zastanawiałem, siedząc na widowni.**

Do takiej rozmowy trzeba by zaprosić Krzysia Prusa, reżysera. Bo trochę to jest tak, że jak się weźmie nawet te jego krótsze formy prozatorskie, to one kuszą bardzo, żeby je adaptować i przенosić na scenę. Proza Bieniasza jest dość brutalna, to znaczy ona jest bezlitosna. Ale jest piekielnie szczerą. Staszek potrafił to wyrażać, bo miał świetny warsztat. I znowu, tak jak przy *Chopcach*, historia jest uniwersalna i wspomnieniowa. Pokazujemy, jak to było, kiedy się chociażby poszło do knajpy. Albo spotkałeś tam genialnego malarza, który już jest prawie na dnie, bo nie jest w stanie w bezkompromisowy sposób zrobić wystawy, albo wydać albumu i pije, i umiera. Albo spotykasz ubekę, który się podaje za twojego kumpla. Albo jeszcze po prostu możesz po mordzie dostać od takich szeregowych milicjantów, bo im się nie spodobasz...Bardzo nie lubię, jak ktoś mówi, że za komunę było lepiej, dostają po prostu wysypki. Ja już nie chcę z wysokiego C zaczynać i mówić o ofiarach, o ludziach zabitych. Ale powiedzmy chociaż o opresyjności tego, co było. To trudno sobie dzisiaj wyobrazić, że *de facto* każda twoja decyzja, każdy krok, ba, każda opinia podlegała ocenie ludzi, którzy ten system tworzyli operując go o absurd. I w takim świecie ludzie żyli.

**Ale moim zdaniem spektakl nie pokazuje czarno-białej historii, a opowiada o człowieku, który powoli wsiąka w ten system. O tym, jak zaczyna funkcjonować w tym układzie.**

I tak też jest dzisiaj. To są szalenie trudne tematy i cały czas niewyczerpane. Jak widzimy kogoś, kto powiedzmy jest w jakiejś dziedzinie wybitny. Ja nie mówię tylko o sztuce. O! mamy astronoma, któremu też znaleziono współpracę z służbami. I teraz można zadawać pytania: A gdyby wtedy nie był konformistą? A gdyby wtedy nie zgodził się na pewne rzeczy, nie miał możliwości pracy, prowadzenia badań...? Gdyby się nie zgodził, nie wydaliby mu książki. W związku z tym ten dorobek nie byłby teraz taki, bo pewnie by się załamał, tak jak wielu. No przecież ilu poetów, artystów, malarzy zapilo się z niemocy, bo nie byli w stanie pójść na pewne kompromisy. I podobnie bohater *Ucieczki*, tak jak pan powiedział, w to wsiąka. Ten bohater zaczyna się do tego przyzwyczajać, a zawsze można sobie powiedzieć, że może być gorzej. To jest tak jak mój wujek świętej pamięci, brat mojego dziadka, au-

tor książki *W cieniu krematorium* [Franciszek Stryj – KW]. Kiedy byłem nastolatkiem, to wujek jeszcze żył. I on powiedział na śląskim *fajerze*, kiedy była mowa o komunie: „Wiecie co? Jak się przeszło coś takiego jak Auschwitz, to *naroz* to wszystko, co nim nie jest, wydaje się rajem”. To jest zatem kwestia proporcji doświadczeń. To jest prawda, że wielu ludzi po prostu wsiąkało, chociażby dlatego, że ten system był tak rozbudowany w NRD na przykład kilkaset tysięcy współpracowało ze Stasi. A człowiek przecież pewne rzeczy robi podświadomie albo nieco poza świadomością, tak jakby mózg sam się bronił i szukał jakichś takich bocznych dróg. Mamy coś takiego i w dzisiejszych czasach. No tak jest człowiek skonstruowany: jak jest bardzo, bardzo źle, to pewnym momencie włącza się mechanizm obronny. Pozwolę sobie na taką dygresję... Kiedyś w domu rozmawialiśmy sobie z dziewczynami, z moją żoną, z córkami, o mojej babci świętej pamięci, ukochanej babci z Rudy Śląskiej. I zauważyliśmy, że babcia była kiedyś jakoś chłodna, że nie przytulała. Dla mnie babcia już była ciepła, już przytulała, już głaskała. Moi rodzice pracowali, a ja nie chciałem chodzić do przedszkola. Zatem dziadkowie postanowili wziąć mnie do Rudy. Tam byłem cztery dni w tygodniu, na weekendy przyjeżdżałem do domu. Swoje prawnuczki, czyli nasze córki, ona już witała z otwartymi ramionami. Ja mówię „Dziewczyny, to jest mechanizm, bo patrzcie: Kobieta, która wychodzi za mąż i jej facet idzie na wojnę, przez pięć i pół roku żyje w piekle. Bo przecież codziennie zasypia i wstaje z myślą, czy on żyje. Bo te kobiety nie miały żadnej informacji przez cały czas. Te kobiety musiały tak funkcjonować, one tu musiały żyć. Trzeba wychowywać dzieci, zadbać o dom. Czy ktoś może sobie dzisiaj wyobrazić, co to jest rok, dwa, trzy, myśleć o tym, czy twoja kochana osoba żyje i co robi, gdzie jest? Tu się tak stało

– te kobiety wychłodyły po prostu; musiały odrzucić, odciąć tę wrażliwość, bo by zwariowały; więc one zaczęły funkcjonować zadaniowo. *Jak te chopy wróciły*, to ten proces się przecież nagle nie skończył. Tego ciepła dla swoich dzieci jeszcze nie było. To zaczęło wracać dopiero po jakimś czasie.

***Ucieczka* opowiada o różnych mechanizmach zniewalania i przystosowywania, ale w tej konkretnej lokalizacji. Jak Pan sądzi, czy teatr ma jakieś powinności wobec miejsca, w którym jest? Czy powinien opowiadać historię tego miasta, dzielnicy, ulicy?**

Ja najbardziej! To przecież wynika z sytuacji. Jeśli gdzieś żyjesz, to z ludźmi rozmawiasz. A dobrze się rozmawia o rzeczach, które nas wspólnie interesują. Czyli o tym, co nas otacza, prawda? Banalnie to wszystko brzmi, ale tak jest. No z nikim tak dobrze nie porozmawiasz o Śląsku jak ze Ślązakami. Poza Śląskiem o Śląsku też możesz opowiedzieć, starać się przekonać do pewnych rzeczy. Więc myślę, że tą drogą trzeba iść. Ja zresztą jestem temu wierny od bardzo dawna.

**Właśnie chciałem zapytać o te wydarzenia bardzo wczesne, czyli o Scenę Propozycji przy Stowarzyszeniu Pro Futura, bo to są absolutne początki – jak sobie myślę o takiej śląskiej teatralnej opowieści w XXI wieku – to było jeszcze przed *Cholonkiem* Teatru Korez.**

Byliśmy pierwsi, robiąc z Bartkiem Latoszkim i Gustawem Jurkiewiczem pierwsze przedstawienie zatytułowane *Żywi ludzie*. Niebawem przedsięwzięcie to było wtedy, bo akcja spektaklu rozgrywała się w trzech różnych miejscach w Zabrzu. Widzowie byli wożeni do nich autokarami.

**Widziałem wersję filmową w sieci.**

Tak, zbudowałem z tego w czasie pandemii taki film, teatr telewizji... A ten pierwszy



**ŻYWI LUDZIE**

ZABRZE 2021

foto: Paweł Janiec Janicki



Ucieczka

spektakl, o którym mówię, to było coś niebywałego! Świętej pamięci Andrzej Lipski w tym grał, świętej pamięci Wiesiek Kańtoch. Grali Robert Talarczyk i Marian Wiśniewski. Robiliśmy to z ogromną determinacją i przyjemnością, a przy tym nie mieliśmy żadnych pieniędzy, żadnych dotacji Sponsorzy dawali nam po 300 zł na to, żeby tam kupić jakiś element do scenografii, żeby ludzie dostali za tę pracę jakieś grosze.

### Z tych dawnych czasów przypomnijmy jeszcze *Wampira Wojciecha Tomczyka*.

Doceniany i nagradzany spektakl! On wtedy szokował i widzów, i krytykę. Był oczywiście i Sosnowiec, możemy się troszkę pośmiać, ale generalnie pojawiały się postacie mówiące po śląsku... Mało tego! Pamiętam również pomysł świętej pamięci Andrzeja Lipskiego. Zrobił Wigilię, *tako śląsko wieczorzo*. Na foyer był taki ogromny stół. Tu też byliśmy jednymi z pierwszych na Śląsku...

### Do tego Marian Gerlich napisał tekst?

Tak... I to było bardzo pięknie zainscenizowane. Po prostu widzowie siedzieli z nami przy stole. Ogromny stół, wszyscy siedzieli *my godali sam przy ludziach*, tam się ktoś kompotu *nalywoł*, ktoś coś *zjod*. Prowadziliśmy dialogi między ludźmi. To było coś bardzo pięknego. Ja zrobiłem kilka spektakli na Śląsku w miejscach nieoczywistych. Borykali się z Bartkiem Latoszkim, moim przyjacielem scenografem, z niebywałymi przestrzeniami. Zrobiliśmy na przykład spektakl w zdesakralizowanej kaplicy ewangelickiej w Biskupicach. To nie była forma umowna, a akcja faktycznie była wpisana we wnętrze tej kaplicy. Głównym bohaterem był kościelnik, a treścią jego z ludźmi spotkania, dramatyczne zdarzenia, które działy się na granicy polsko-niemieckiej przed wojną: Biskupice-Ruda. I to była opowieść o tym, że coś się dzieje i już jesteśmy wrogami: „Chopie, jo cie znom, ty u mie robisz”; „Teraz już cie nie znom”. To był spektakl, na który Anna Solecka-Bacia, która była współproducentką tego spektaklu, zaprosiła ludzi z tego osiedla, z Borsigwerku; ludzi, którzy nigdy nie byli w teatrze. I pamiętam tylko jak dziś: siedzimy z Bartkiem na widowni, jest na niej publiczność stamtąd, a Bartek

mi do ucha mówi: „Stary, jak oni płaczą!”. I tak kątem oka widzę, jak te lzy kobietom tak lecą. To było o nich, o Biskupicach, o ludziach i o *tyj pierońskiej wojnie*.

### Bo to nareszcie ktoś powiedział w ich imieniu.

Dokładnie. I tak samo jest, choć w trochę innej skali, ze spek-

takami autorskimi, które robię w Rudzie Śląskiej, w Śląskim Teatrze Impresaryjnym. To jest misyjne miejsce, bo tam nie ma teatru. Ja tam zrobiłem trzy spektakle. I tam są fulle, z balkonami. To są dwuaktowe komedie, pisane przeze mnie sylabotoniem. I proszę sobie wyobrazić, że ci widzowie zawsze na nas czekają przed tym teatrem, jak wychodzimy. I nos pytajom: „Ale skond wy to wszystko znocie po śląsku? Te ausdruki? Jo to już dawno zapomniała”. A to jest przecież prosty mechanizm, my mówimy z nimi jednym językiem o naszych sprawach. I co najważniejsze, oni oglądają ten Śląsk, „kaj nikt z tych Ślonzoków gupków nie robi”, po prostu. Nagle się okazuje, że o wszystkim „idzie godać po śląsku. My zrobili tam western, my tam zrobili sztuka o latach sześćdziesiątych. My tam zrobili sztuka o heksach na holdzie”. A teraz? Teraz chcę robić pogodny teatr. Po prostu.

### Nie chce Pan rozdrapywać ran?

Pogubiły się sensory rozdrapywania ran. Dlatego, że przy szczerej intencji twórczej nagle okazuje się, że jest to odbierane z jednej czy z drugiej strony tak zewnętrznie. W tak mały sposób, że to generuje kolejne konflikty, a to nie o to chodzi. Czekam aż choć trochę wypuścimy powietrza i zaczniemy ze sobą rozmawiać. Konkludując: ja lubię robić spektakle o Śląsku, które są wspomnieniowe, ponieważ ja tęsknię za Śląskiem, którego nie ma. Bardzo za takim Śląskiem tęsknię, jak go jeszcze dotknąłem. Ja go doświadczyłem. Ja doświadczyłem tych rodzinnych „fajerów”, tych „familiji, kere były” spółdzielniami, bo tam „koždy coś umioł. Koždy koždyemu pomogół. Te łogródkki, te lauby, tyn rytm. Te robienie za bozna” po śląsku. *Te* „chopy, co som nojważniejsze, wszystko wiedzom, ale rządzi baba”. Ja tego dotknąłem i żałuję, że tego nie ma. Mądrości tych ludzi. Takiej, nie wiem, od Boga danej? Ci ludzie czasami mieli „ino szkoła powszechna skończono, kóniec. Jak tyś mioł problem, to ci ino powiedzieli dwa zdania”... I dlatego te moje śląskie spektakle są takie. Trochę wspomnieniowe, choć oczywiście się łączą ze współczesnością, bo pewne rzeczy się nakładają. Tak właśnie pokazuje *Musi przyjść*: obraz rodzącej się nie-

nawości z dnia na dzień. Ktoś za nas podejmuje decyzje, a nasz świat się kończy. I pewnie takich spektakli jeszcze kilka zrobię. Da Bóg i natchnienie. Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa. Tak myślę.

**Jak pan o tym opowiadał, to sobie przypominałem. Synka Marcina Gawała, zresztą opartego między innymi na Pana tekstach. Tam jest ten sam klimat – takiej silnej fizycznej tęsknoty za tamtym Śląskiem. I w jego spektaklu wybrzmiało coś podobnego do tego, o czym Pan mówi. Zgodzi się Pan, że to są podobne artystyczne artykulacje..?**

To chyba ja zaraziłem Marcina teatrem, bo on jeszcze był w technikum, kiedy go wzięłem do *Wampira*. Grał jednego z milicjantów. Wciągnąłem go, kiedy prowadziłem w jednej ze szkół teatr młodzieżowy. Kiedyś mu mówię: „Chcesz zagrać? Potrzebujemy młodego chłopaka na milicjanta. No i potem wszedł w spektakl. On z nami całą Polskę z tym *Wampirem* objechał. I pamiętam, że kiedy coś po śląsku mówiłem, to on wtedy prosił: „Momynt. Tego nie znom”. „Jo godom: heft, blajsztift i notuj! Mistrz bydzie godoł, to ty notuj i sie pytej, co znaczy” (*śmiech*). I długo my to wspominali: „Aha? Wpisać?” „Ja, wpisać i zapamiętać”... Tak, tęsknoty, to są tęsknoty... Ktoś mnie zapytał, czemu tęsknisz. Ja mówię, że to jest prosta relacja, że mnie tamten Śląsk ukształtował. Z dzisiejszej perspektywy widzę, że to co dostałem, to procentuje u mnie, to się u mnie sprawdza. Ten piekielny nacisk na to, żeby mieć tę rodzinę szczęśliwą. Piekielny nacisk na to, żeby być uczciwym w robocie. Bo nie godzi się „cyganić. I pamiyntej, żeś nigdy nie jest som”, bo tam u góry ktoś nad Tobą czuwa. To są te trzy wektory.

### Czyli ta triada Bóg – rodzina – praca się sprawdza?

Nawet się rozszerza. To jest tak z regułą benedyktynow: *ora et labora*. Głębia tego: praca, modlitwa, duchowość, byt... Rozwiń to!

**Próbowałem to sobie wyczytać z Pana poezji. Szukałem w niej też Śląska. I w tych czterech tomikach, do których dotarłem, Śląsk jest pokazywany poprzez zdjęcia Arkadiusza Goli, a pana słowo jest często słowem właśnie sięgającym do tych wartości, o których mówimy. To są bardzo często wiersze religijne.**

Podjąłem, w pewnym momencie, decyzję, że chcę wydać te wiersze, gdzie kłócę się z Panem Bogiem, albo zadaję trudne pytania, a czasem dostaję odpowiedzi... Akurat tu są dwa tomiki firmowane przez Wydawnictwo świętego Jacka [*Adresy, Czasem do Pana piszę*]. To są rzeczywiście teksty sformatowane i bardzo konkretne. Natomiast do tej książki [patrzmy na okładkę *Nie muszą wracać*] Gola mnie zaprosił. My prywatnie bardzo lubimy się z Arkiem. Uważam, że to jest jeden z wybitniejszych artystów Śląska, co ja mówię

– Polski – i jest kapitalnym facetem. I on mnie do tego zaprosił. Jest jeszcze taka książka, której tu nie ma, *Tramwaj nr 3*. Mój debiutancki tomik. I nie ma tu erotyków *Wiersze z kobietą w tytule*. Natomiast nie wiem, jak pan odebrał to [tomik *Niedowidnokrąg*], ale wszyscy którzy czytali ten poemat mówią, że to jest tak straszne i tak mroczne, że nie chce się tego czytać.

### **Najbardziej zapamiętałem frazę: „Ustalimy cenę zła”. To zdanie we mnie zostało.**

Powiem Panu, jak ten tekst powstał, ale muszę zacząć szerzej. Wiadomo, że w pewnym wieku ma się sporo znajomych, ma się mnóstwo koleżanek i kolegów, których się po prostu bardzo lubi. Nie mówię o przyjaźni, bo to jest trudne słowo w dzisiejszych czasach, a ja parę razy już weryfikowałem, co to słowo znaczy. Ale ma się mnóstwo znajomych, których się lubi, bardzo bliskich kolegów, koleżanki. I już jak człowiek się spotyka, każdy coś opowiada. Opowiada o ważnych rzeczach, czasami granicznych. W jakimś momencie to przyjmujemy, chodzimy z tym, a po dwóch tygodniach tego nie ma. I miałem taką tygodniową samotność: pojechałem gdzieś w góry. Ale to nie była jakaś tam wyprawa medytacyjna. Ja tak nie mam, ja przed premierami nie medytuję, nie chodzę w skupieniu, nie uczęszam w domu, nie. Normalnie po prostu wyjechałem. Zacząłem myśleć o tych moich kumplach, jak im się to potoczyło. I pomyślałem, że każda z tych historii to jest film, a po tym nie ma śladu, bo tu się udało, tam się już zapomniało. I takie strzały. Takie te impulsy i potem czujesz, jak pojawia się taki wewnętrzny rytm. Historie wracają w rytmie. I zacząłem pisać. I ten poemat pisałem dwa tygodnie.

### **Chcę zapytać o tę osobę mówiącą w Pana poezji. W teatrze i filmie kreuje Pan wiele różnych ról. W liryce też?**

To jest świadoma twórczość. To jest przepuszczone przeze mnie, to jest suma opowieści, które burzą krew, które buzują gdzieś tam pod czaszką. W tym wypadku wiedziałem, że to będzie poemat. Inaczej powstały tomiki, wiersze krótkie, powstałe z impulsu, flesze chwil. Ja zawsze wożę dyktafon w samochodzie. Gdy pojawia się myśl, nagrywam, żeby nie zapomnieć. Podobnie jest z piosenkami, choć wtedy znaczenie ma, dla kogo piszę i kto komponuje muzykę.

### **Jest pan artystą niezwykle aktywnym. I to od trzydziestu lat. Znosi się na jubileusz?**

Mam pewien pomysł, ale on wymaga tylko jednego – czasu. Tak się złożyło, że lada moment ukaże się książka Hanny Grabowskiej-Macioszek, dziennikarki „Gońca Górnośląskiego”, która zrobiła ze mną wywiad-rzekę. Nie miała ze mną łatwo, bo mnie ustrzelić na godzinę... Trwało to dwa lata... To będzie książka trochę jubileuszowa.

### **Jak pan patrzy dzisiaj z perspektywy trzydziestu lat, to co pan widzi przede wszystkim: jakiś obraz panu zostaje w pamięci, czy raczej seria różnych migawek?**

Seria, oczywiście. Ale na pewno takim obrazem, jednym z najważniejszych, jest ten: Pierwsza moja premiera i na widowni moja żona. Tak mam szczerze mówiąc do dziś. Jak się tak zdarza, bo czasami się tak zdarza przez jakieś tam spłaty, że moja żona albo moje córki nie mogą być na premierze, to wtedy patrzę na nie i pytam: „To do kogo ja mam grać?” (*śmiech*). No tak mam! Jeszcze to widzę, tu na pierwszym piętrze, kiedy tu była kameralna scena. Grałem *Kreację* Iredyńskiego. I nie zapomniałem tego, jak ją tam dostrzegłem w drugim rzędzie. I wtedy pomyślałem: „Stryj, jaki ty jesteś szczęśliwy człowiek. Robisz to, o czym marzyłeś. Jesteś pierwszy rok na scenie, skończyłeś szkołę, wyreżyserowałeś spektakl, pan Grabarczyk ci na to pozwolił, otwarłeś scenę [II Forum – KW], a na widowni masz swoją piękną, mądrą, cudowną, wymarzoną żonę.

### **Jako aktor, który zaskarbił sobie sympatię milionowej widowni rolami filmowymi i serialowymi bywa pan niezręcznie w stolicy, w innym regionach, spotyka pan różnych ludzi. Nasłuchują się Pan tam o Śląsku?**

Słyszę tylko dobre rzeczy o Śląsku... Na przykład niechący słyszą rozmowę szwenkiera z mistrzem oświeceniowym. Gadają. Ten mówi: „Musisz go znać, stary, no to jest taki, wiesz. On robił w tym... Słuchaj taki wysoki. Nie pamiętam, jak on ma na imię, ty, no taki porządny, taki pracowity, nie wiem... Jakby był Ślązakiem”. On opisywał faceta najbardziej pozytywnie jak umiał. Inna sytuacja... Kiedy robiłem bajkę dla dzieci, współpracowałem z artystką, która jest aktorką w Białymstoku i wykląda w Akademii Teatralnej. Była tu kilka dni. Podoba jej się tu. I pojechaliśmy do Rudy Śląskiej, bo w tym dniu graliśmy ten śląski spektakl. Mówię jej „Chodź, zobaczysz śląski spektakl”. Więc po pierwsze, poszliśmy do jakiegoś baru na obiad. Pokazuję jej: „Tam dostaniesz *śląsko karmiadła*, rolada, kluski”. Siadam do stolika, a ona mi mówi: „Ta pani mówiła tak jak ty, znaczy tak po śląsku”. Szok. Dobra. Zjedliśmy, idziemy po coś do picia, wchodzimy do sklepu. „Dobry! Dobry!”. „Czy macie coś fajnego do picia?”. „Ja, mam coś dla was”. Ona mówi: „To jest piękne!”. Ja:

„Czekaj! Teraz zrobimy jeszcze jeden eksperyment”. *Biera jom na tyn główny plac na Frynie. Wchodzimy do Urzędu Miejskiego*. Jest tam sala obsługi klienta. *Idymy do pierwszej pani urzędniczki*. „Dobry!”. „Dobry!”. „*Słuchajcie, kaj jo mom iść, bo jo dostał takie pismo, że mom coś do zrobienia przy chałpie*”. „*Ja, to idźcie na drugi sztok, pokój sztyrysta sześć*. *Ale wyście co, przyjdźcie sie jutro rano, to nie bydziecie tela czekać*”. Moja koleżanka miała po prostu oczy wielkości spodków. Ale ja jej mówię „*Żebyś sobie nie myślała*. Pani mówi też poprawną polszczyzną”. Ona słucha, jak ja się witam i już wie, że *bydymy godać*.

### **Dowiedziała się, że śląski staje się językiem urzędowym. A tę wersję pisaną Pan lubi?**

Opowiem panu o takiej sytuacji. Czasami dostaję zaproszenia na dyskusje, debaty, panele poświęcone śląskiej kulturze. Ja bardzo szanuję świat nauki. Szanuję naukowców, którym zawsze zazdroścę wiedzy, bo ta moja wiedza to jest czteroletnia szkoła zawodowa, teatralna. Zazdroścę wiedzy, zazdroścę umiejętności, ciągłych poszukiwań. I dostałem pytanie od jednego z profesorów o to, dlaczego ja nie stosuję zapisu z tymi wszystkimi znakami. I mu odpowiadam: „Pan jak gdyby trochę mnie dyskryminuje i nie zostawia mi obszaru wolności w sposobie pisania. Bo Pan mówi, że kto nie używa alfabetu śląskiego, to nie pisze po śląsku. Wie pan co? *Jo mom listy od mojego dziadka z II wojny światowej do babci i listy mojego pradziadka z I wojny światowej*. *I one som pisane tak, jak jo pisa*: intuicyjnie, fonetycznie. *Koždy rozumie*. I moja babcia, i moja starka to rozumieli. Wie pan, to nie na tym polega. Ja zadam panu jedno pytanie. *Godo pan w doma po śląsku? Pytom: godo pan czy niny? Bo my godomy*. *I moje dziołchy godajom*. *Som wykształcone*. *Dorośle, wykształcone dziołchy*. *I to jest ta różnica*. To jest tak jak z kopalniami. Napisałem piosenkę do muzyki Grzegorza Spiry. I tam jest taki fragment: „*Tak długo się będą kółka szybu kręcić, jak długo łostanom w sercu i pamięci*”

**Niech się kręć!**



Chopcy z Roosevelta.

fol. Paweł Janiec Janicki

# Drzwi

Funkcjonalność drzwi jest powszechnie znana i, choć nie mówi się o tym zwykle, szanowana. W końcu dobra para drzwi, co przewrotnie oznacza drzwi wyłącznie jedne, pozwala nie tylko na wchodzenie, ale również na wychodzenie przez nie. Za zamkniętymi drzwiami można też coś, dajmy na to, ukryć. Jedynym warunkiem, który należy spełnić, aby z funkcjonalności drzwi korzystać w pełni, jest otwarcie ich. Otwarcie drzwi. To już decyzja.

Otwieram drzwi, a tam ciągnące się korytarze zwięzających się ścian setek tysięcy języków. Jeden pod drugim, a nad drugim kolejny, ciasno utkane mięśnie jamy gębowej. Mokra krąży, wolno ociekają, podążają za każdym ruchem ręki, cała fala języków wywołana gestem dłoni. Z sufitu zwisają długie nogi, setki nóg połączonych w niejednostajnym chodzie. W powietrzu stawiają kroki. Kroki krótkie i na palcach, wolne i delikatne. Zamykam.

Drzwi mogą również oddzielać przestrzeń. Klatka schodowa przestaje być klatką schodową w momencie, w którym przejdziemy przez drzwi, uprzednio je otworzywszy. W zależności od rodzaju drzwi znajdziemy się wtedy bądź to w mieszkaniu, własnym lub czyimś, bądź to na dworze. W toaletach, w miejscach takich jak korporacje, szkoły, uniwersytety, tylko cienkie ścianki i właśnie drzwi tworzą poszczególne kabiny. Metr za metrem, co każdy metr siedzi ktoś i oddaje kał, oddzielony dyktą, wszyscy jak jeden mąż (i żona) wypróżniają się tuż obok siebie. Największe stężenie ludzkiego braku intymności w jednym miejscu. W zamknięciu człowiek może ukryć na chwilę swój wstyd, podczas gdy tylko kawałek dalej czułby się obnażony. Całe szczęście są drzwi. Tworzą coś na kształt zagrody dla bydła. Być może, żeby przypomnieć człowiekowi, że wcale taki różny od bydła nie jest. A i konotacja taka, że jakoś bardziej to „bydło” czasem do człowieka pasuje.

Otwieram drzwi, a w toalecie, choć zadbanej i stosunkowo czystej, to siedzi człowiek z całym swoim gównem, niepokojami, niepewnością, upokorzeniami, sytuacjami i wspomnieniami sprzed lat, które od dawna kiszą się w trzewiach, żeby dopiero teraz powoli i stopniowo wydalą je na światło dzienne. Człowiek z całym swoim strachem, poczynając od tego, który napada go, gdy ktoś pociągnie za klamkę jego kabiny, kończąc na tym, który pyta go, co będzie jutro. Zamykam.

Co ciekawe funkcjonalność drzwi można przenieść na inny przedmiot bez zachowania oryginalnej formy drzwi. Weźmy na przykład – głowa. Do głowy może nam coś wpaść, żeby już chwilę później wylecieć tylnym wyjściem. Jakąś myśl można ukryć za drzwiami i z nikim się nią nie dzielić. Wstaję rano i jak co dzień wychodzę, oczywiście przez drzwi, do szkoły. Moja mama zwyczajowo odprowadza mnie wzrokiem, stojąc nie byle gdzie, bo w progu. Nawet się nie obejrzałem, gdy ktoś zapukał do jej głowy.

– Puk, puk.  
– Kto tam?  
– Pan Glejak.  
– W jakiej sprawie?  
– ZEŻRĘ CI MÓZG I POZBAWIĘ RESZTEK ŚWIADOMOŚCI, ROZUMIESZ?

Właściwie to wcale nie Pan, bo przecież bardzo bezpośredni był, a na imię mu Nowotwór. Właściwie to też wcale nic nie powiedział, bo przecież ust nie miał. Ale gdyby miał, to mógłby tak powiedzieć, w końcu taka była prawda. Aż się ma ochotę trzasnąć drzwiami. Pierdolnąć z całym kurwa impetem.

Będę musiał zadowolnić się kropką.

# Łóżko

Autobus zwalnia i zatrzymuje się na moim przystanku. Gdy z niego wyskakuję i obracam się w stronę naszego bloku, oślepia mnie słońce. Jest wczesny poranek, a ja właśnie wracam z domówki. Świetny humor mam. Pewnie resztki alkoholu jeszcze krążą w moim krwioobiegu. Wbijam kod do domofonu i szybko, choć z zadyszką, pokonuję schody. Będę musiał kiedyś rzucić to palenie. Przekręcąc klucz w drzwiach, wchodzę do przedpokoju, ściągam buty i ruszam do salonu. Będąc już krok za progiem dużego pokoju, zatrzymuję się na widok tego, co dzieje się na balkonie.

Tata stoi tam i trzyma pionowo materac. Niecodzienny widok. Daje odpocząć wyrobionym sprężynom zapakowanym w pokrowiec. Żeby rozciągnęły się i w słońcu wygrzały. Tacie niewygodnie jest chyba, przechodzi z lewej strony materaca na środek i teraz dwiema rękami podtrzymuje go przed sobą. Pozwala odetchnąć miejscu



spoczynku, zaznać trochę świeżego powietrza. Ojciec stoi tak przez chwilę, po czym przesuwa się w prawo, łapie za bok i wypycha materac w pełne słońce. Scenę potencjalnych aktów nierządu na światło dzienne wywleka.

To niemożliwe, żeby to na tym łóżku mnie poczęli. To było już jakieś 20 lat temu, pewnie parę razy zmienili materac. Na przestrzeni tych 20 lat nigdy nie przyłapałem ich na seksie. Nie wszedłem do pokoju, gdy ci siłowali się pod kołdrą. Nie zauważyłem, by ręka ojca powędrowała na pośladek mamy, gdy krzatali się po domu. Nie widziałem rumieńca na jej policzku. Ani szminki na jego szyi. Nie zauważyłem nawet, żeby wymieniali się wymownymi spojrzeniami. Nie usłyszałem, żeby rzucali w swoją stronę dwuznacznymi hasłami. Nigdy nie przyłapałem ich na seksie, choć pewnie czasem go uprawiali. Zawsze całowali się na przywitaniu i na do widzenia. Zawsze na spacerach za ręce się trzymali. Wieczorami zawsze obejmowali się, siedząc w rogu kanapy i oglądając film. Kochali się bardzo, to na pewno.

Nie wiem, kiedy mogli uprawiać seks po raz ostatni. Na miesiące, na lata przed śmiercią mamy? Przeszali po pierwszej operacji? Czuli do siebie pociąg w ogóle? Czy ojciec pod koniec życia mamy chodził sfrustrowany? Czy taka myśl nie przebiegła nigdy przez głowę zrozpaczoną, strapioną umieraniem żony? Czy siedząc w szpitalnych korytarzach, obracał się za pielęgniarkami, czy zaczął się rozglądać za kimś jeszcze przed odejściem mamy? Nie wiem. Wiem, że ostatnie miesiące spędził przy jej łóżku. Wiem, że był z nią zawsze. Pamiętam, jak zawył w momencie, gdy po raz pierwszy już jej nie było.

– No, masz rację. Niech też coś ma od życia ten materac, trochę światła zobaczy – mówię, wchodząc na balkon.

– A weź spierdalaj... – odpowiada mi tata, niby z podniesionym kącikiem ust, jakby zaśmiać się chciał, ale jednak inna emocja przeważała.

– Co się stało?

– Materac suszę. Mama się w nocy posikała.

Niedługo później przestali spać razem. Mamcią przenieśliśmy do mojego pokoju. Tam miała większe łóżko, tylko dla siebie. Wygodniej jej było. Na łóżko założyliśmy grube, nieprzemakalne prześcieradło.

## Fiszki

„Patr, mrużusiu, węgle wiozą. To mi się podoba” – powtarzali wielokrotnie moi dziadkowie, wspominając dzieciństwo mamy. To chyba fragment rymowanki, której nauczyła się jeszcze w przedszkolu. Gdy ją cytowali, próbowali imitować brzmienie jej dziecięcego głosu i specyficzną artykulację. Szczególnie bawiło ich błędnie wypowiedziane słowo *węgiel*. Dziadek za każdym razem przywołując ten fragment wierszyka, z dumą i uśmiechem na ustach mówił „WEGLE”.

Ponoć była bardzo grzecznym dzieckiem. Nie rozrabiała, mówiła „dzień dobry” i „dziękuję”. Potem stała się pilną uczennicą. Miała same piątki, każdy rok kończyła z czerwonym paskiem. Alkoholu nie piła, a jeśli już wypiała, to tylko kieliszek wina. Papierosów nie paliła. Raz na wycieczce szkolnej babcia ją przyłapała ze szlugiem w ręku. Ale ona tylko jednego bucha ściągnęła. To chyba nawet nie był jej papieros.

Po maturze poszła na studia. Skończyła oligofrenopedagogikę i zaczęła pracę w szkole specjalnej. Trochę czasu tam spędziła, nie wiem ile. Gdy moi bracia byli mali, pomimo że już od lat tam nie pracowała, tłumaczyła im wszystko, jakby mieli Aspergera. „Kup KOSTKĘ MASŁA” – mówiła wyraźnie, wyciągała przy tym przed siebie ręce i palcami obu dłoni rysowała w powietrzu prostokąt. Chłopcy patrzyli na nią zdziwieni.

Maciek i Grześ na pewno mieli dobre oceny w szkole. Wojtek chyba trochę gorsze, ale też w porządku. Głównie się na koszykówcę skupiał. Ja byłem bardzo pilny, przynajmniej w podstawówce. Nie opuściłem ani jednego dnia, do każdego dodatkowego zadania się zgłaszałem. Za to wszystko robiłem na ostatnią chwilę. O tym, że mieliśmy zadany wiersz do nauczenia się, przypominało mi się na dzień przed.

Późnym wieczorem przybiegałem do mamy ze łzami w oczach i z podręcznikiem do języka polskiego w ręce. Zawsze pół nocy siedziała ze mną i pomagała mi w zapamiętywaniu kolejnych wersów. Zwykle trochę po dwudziestej czarnej już wszystko mi się mieszało. Uspokajała mnie i mówiła, że w trakcie snu tekst ułoży mi się w głowie. Rano przed wyjściem do szkoły recytowałem jej jeszcze ostatni raz. Nigdy nie patrzyła już wtedy do książki, pamiętała wiersz w całości. Gdy ja szedłem do gimnazjum, ona poszła na studia podyplomowe.

Teraz prawie nie chodzi. Leży w szpitalnym łóżku, z delikatnie podwyższonym zagłówkiem, tak by mogła patrzeć przed siebie. Kołdrę ma podciągniętą wysoko, niemal pod szyję. Po lewej stronie siedzę ja, na taborecie. Po prawej Maciek siedzi na krześle. Łokcie ma oparte na skraju łóżka. W dłoniach, niedaleko przed twarzą mamci trzyma talię kolorowych, niewielkich kartoników. Na jednej stronie jest narysowany przedmiot, a na drugiej zapisana jego nazwa.

„No, jak się na to mówi?” – pyta spokojnym i takim pozytywnym głosem, pokazując mamie obrazek czerwonego samochodu. Ona przygląda się ilustracji, lekko mruży oczy, przygryza wargę z lewej strony. Potem przyciska jedną do drugiej, niemal jakby miała zrobić dziubek i tak przytrzaśniętymi ustami kręci kółka. Dłońmi trzyma kurczowo skraj kołdry i mam wrażenie, że powoli unosi ją coraz bliżej twarzy, jakby chciała się pod nią ukryć. Nie wie. Nie pamięta, jak mówi się na samochód. „Samochód. Albo auto” – mówimy jej, a Maciek wyklada kolejny kartonik. Tym razem na karcie widnieje komórka. Mama znów kręci ustami, chowa się coraz bardziej pod kołdrą. Nie wie. Nie pamięta. „Komórka” – wypowiadamy powolutku, a spod palców Maćka wychodzi karta z butami, szpilekmi konkretnie. Mamcia patrzy na kartkę, a potem nerwowo zaczyna rozglądać się po pokoju. Usta ma już niemal całe zakryte kołdrą. Nie pamięta.

A ja siedzę i zastanawiam się, co ona myśli, patrząc na te kartki, na te przedmioty narysowane. Czy pamięta, ile setek tysięcy kilometrów przejechała, trzymając za to coś w kształcie koła? Czy pamięta, jak lubiła jeździć tym czymś, czego nazwa nie przychodzi jej teraz do głowy? Czy pamięta, jak lubiła to prowadzić? Czy przypomina sobie, jak przykładając to coś do ucha, setki godzin rozmawiała, załatwiała biznesy, plotkowała, dyskutowała i się śmiała? Czy pamięta, że czasem już po 5 minutach rozmowy, nawet do nieznanego osoby, mówiła per „kochanie”? Czy pamięta, że zawsze nosiła buty na wysokim obcasie? Czy pamięta ten stukot, który zawsze roznosił się po mieszkaniu, gdy wracała z pracy?

„Nie przejmuj się kochana” – Maciek podnosi się z krzesła i całuje ją w czoło – „Jutro będzie lepiej”.

## Schody

– To co, kładziemy się do spania? Hej, no, chodź, bo widzę, że już przysypiasz.

Mama na zawołanie taty wypada z jakiegoś letargu, półsnu. Jakby była wpatrzona w coś, skupiona tylko na tej jednej rzeczy w oddali i nagle ktoś jej przerwał. Wybita z tego stanu spogląda zdziwionym wzrokiem na mojego ojca, by dopiero po chwili w jej oczach pojawiło się zrozumienie. Następnie powoli przytakuje dwa razy.

Wtedy chyba już nie mówiła. A przynajmniej rzadko. Prawie w ogóle.

– To ja mogę odprowadzić mamcię na górę, a może Ty ogarniesz trochę po kolacji?

– No, jak masz ochotę, to jasne. Jak coś to wołaj.

No więc ruszamy. Jedną ręką łapię mamę za wyciągniętą w moją stronę dłoń, drugą wkładam jej chyba pod pachę i pomagam wstać. Jesteśmy już w pionie. Pierwsze kroki wykonuje w zasadzie sama. Dwoma rękami opiera się o podłokietnik kanapy. Z każdym krokiem niepewnie przekłada jedną z rąk dalej. Powoli zbliża się w kierunku progu pomiędzy salonem a przedpokojem. Zaraz nie będzie miała się o co oprzeć. Po raz kolejny przekłada rękę, tym razem z kanapy na ścianę. Jest w progu. Teraz muszę jej już pomóc.

Idziemy razem, mama jedną ręką opiera się o mnie, drugą o ścianę, potem o drzwi do toalety, a zaraz o komodę. Jej małymi, rozchwianymi kroczkami powoli przemierzamy korytarz, żeby dostać się na schody na górę.

I tak idąc, w pewnym momencie, w przerwie pomiędzy kroczkami, patrzę jej w oczy. I widzę w tych oczach miłość. Patrząc na mnie, zaczyna się uśmiechać i ja odpowiadam jej tym samym. Kładzie rękę na komodzie, żeby się przytrzymać, gdy ja podtrzymuję ją pod drugie ramię i prowadzę. I myślę sobie, że to jest właśnie moja nowa codzienność. Że ona kocha mnie ponad wszystko, choć już nie jest w stanie tego wyrazić, przynajmniej werbalnie, i ja ją kocham ponad życie. Ona kiedyś nosiła mnie na rękach, karmiła, przewijała, później pomagała w lekcjach, rysowała ze mną na konkursy plastyczne, a wieczorem kładła mnie spać i siedziała przy mnie, gdy nie mogłem zasnąć. Doprowadziła mnie do tego momentu życia, w którym jestem.

Teraz ja pod rękę prowadzę ją do łóżka. Wiedziałem przecież, że kiedyś ten moment nadejdzie, że to ja będę musiał się zająć nią. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że stanie się to tak szybko, ale to przecież nic takiego. To nieważne.

– PTTTRRRRTTTTTTKKKKKKKK...

Nagle moją gonitwę myśli przerywa dźwięk jakby bulgotu i trzaśnięcia. Coś pomiędzy pluskiem i sykiem kipiącego mleka a pyknięciem otwieranego po raz pierwszy słoika. W sekundę spojrzenie mamy zmienia się, na jej twarzy pojawia się grymas, z oczu znika miłość i nadzieja, a w jej miejscach pojawia się połączenie wstydu i smutku.

– Jezus, no Beata, przecież musisz mówić, jak musisz do toalety. Chodź, idziemy – woła tata jakby wkurzony, poirytowany.

Podchodzi szybko, łapie mamę i prowadzi ją do małej łazienki, którą przed chwilą minęliśmy.

– Musisz mówić kochanie, jak czegoś potrzebujesz, jak musisz do toalety. Albo jak nie mówić, to pokazać przynajmniej, dać znak jakiś – słyszysz zza drzwi, jak kontynuuje dialog sam ze sobą, teraz już tonem bardziej łaskawym. Następnie sam prowadzi ją na górę.

Tego wieczora przeszedłem z mamą jakieś trzy metry.

## Muszla

Jesteśmy w pokoju mamy, do niedawna moim. Ja siedzę na kanapie stojącej wzdłuż pomieszczenia i patrzę na nią. Ona, w piżamie, spoczywa na fotelu obrotowym na środku, twarzą skierowana prosto w stronę drzwi. Zaraz wejdą przez nie dziadkowie.

Gdy tylko wchodzą, zaczynają jej się przyglądać i zadawać pytania: „Jak się czujesz?”, „Wszystko w porządku?”, „Jadłaś coś?”. A gdy nie dostają odpowiedzi, pytania szybko kierują do mnie:

– Jadła?

– Odrobinę zjadła, ale więcej teraz tych nutridrinków pije.  
– Mhm, mhm.

Ich głowy obracają się znów w jej stronę i coraz wnikliwiej analizują. Chyba dopiero teraz zauważają, jak wygląda. Rozwalona jak na tronie siedzi w fotelu dużym i policzki ma napęczniałe. Z rękawków błękitnej koszulki z nadrukowanym pieskiem Snoopyem wystają dwie ręce, też jakby bardziej masywne niż kiedyś, a z nogawek cienkich granatowych spodni wychylają się dwie napuchnięte stopy. Widząc to babcia, zaczyna gładzić dłonią mamę po tym policzku nadętym i mówi: „No, przytyło Ci się trochę, ale nie przejmuj się, jak tylko wyzdrowiejesz, to schudniesz od razu. Weźmiemy się za ciebie, prawda? Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze. Jeszcze trochę i staniesz na nogi. Kochamy Cię bardzo, wiesz?”

Mamcia w odpowiedzi uśmiecha się, jakby skrępowana była, patrzy na babcię trochę nieswojo i przytakuje. Ja nie wiem nawet, czy mama rozumie, ale babcia ciągnie dalej: „No i widzisz, już za niedługo święta, to przyjedziemy też tutaj do Was, żebyśmy wszyscy razem byli. Ja coś przygotowuję, Januszek też coś zrobi, jak go znam. I zaraz nowy rok będzie, na pewno jakiś taki bardziej przychylny, na pewno wszystko wróci do porządku, na pewno wszystko będzie dobrze. Może nad morze znów pojedziecie? Dawno nie byliście, a kiedyś co chwilę jeździliście. Jak byłaś małeńka to tak lubiłaś muszle zbierać, pamiętasz?”. I jeszcze dziadek za rękę mamę trzymając, dodaje: „No! Głowa do góry!”

Nie wytrzymuję już i wychodzę, wybiegam niemalże z pokoju i zmiierzam do toalety tuż za ścianą. Drzwi za sobą szybko zamykam, ale bezgłośnie raczej, bez trzaskania. Zamek przekręcam. Siadam na zamkniętej muszli klozetowej i do przodu się pochylam, łokcie na kolanach opieram, a głowę na otwartych dłoniach kładę. Opuszki palców w skórę wpijam i zgarbiony tak wszystkie mięśnie napinam, ściskam powieki kurczowo, gębę do granic możliwości otwieram i tak bezgłośnie piłować głos zaczynam, w nadziei, że organizm oszukam. No bo jak na nogi stanie, jaki nowy rok, jakie „no głowa do góry”, no kurwa, no? Kto tam kogo, kurwa, pociesza? Kto czego nie rozumie?

I tak w markowanym krzyku, z tymi ustami rozdziawionymi, na chwilę staję się tylko głową z dłońmi do czoła przyklejonymi. I tak drę pizdę w ciszy, tak napinam się uporczywie ku ziemi, aż w końcu przedramiona z łokci wyrrywam. I tak kikutami do glacy przyczepionymi wymachuję i trzepocę długo i nieustępliwie, aż szyja puszczać zaczyna. Głowa kołysze się na wszystkie strony i już zaczyna odchodzić, aż w końcu udaje mi się ją wytargać, ze skóry wydrzeć, mięśnie i kręgi przerwać.

Na tych dwóch kikutkach z ramion wyrwanych nad ziemią się unoszę, miarowo trzepocę i gdy tylko opadam za nisko, silnym machnięciem znów w górę wzlatuję. Przefruwać przez łazienkę, prześlizguję się przez drugie drzwi uchylone i kieruję ku oknu. Dobrze, że otwarte zostawiłem, bo bym kikutem klamki nie przekręcił. Szybuję tak nad blokowiskiem, nad chodnikami, nad ścieżkami, którymi od miesiocy już o własnych siłach nie chodziła, nad lasem przelatuję i o korony drzew szoruję brodą. Za zagajnikiem w górę drogi frunę, a tam za rogiem widzę budkę, gdzie ją za niedługo spalimy, a dalej pole nagrobków, gdzie potem skondensowaną do ozdoby puchy schowamy dwa metry pod ziemią. I jeszcze miejsce zarezerwujemy, żeby lata później dziadka obok położyć.

Po takim krótkim przelocie wracam, ukradkiem przez okno przemykam, przedramiona w łokcie wkładam, głowę starannie z szyją łączę, dłonie od czoła odrywam, gębę zamykam i ślinę z podbródka wycieram. Jeszcze spuszcza wodę, żeby się przypadkiem nikt moją długą nieobecnością nie dziwił, i ręce myję. Idę pogadać z dziadkami.

Tak wydzierać się bezgłośnie będę przez jeszcze dwa następne lata.



# Kawa

Robię kawę. Otwieram szafkę nad zlewem i sięgam dłonią do półki prawie na samej górze. Wyciągam tekturowe pudełko z kapsułkami. Biorę dwie czarne, a pudełko chowam z powrotem. Robię dwa kroki w stronę ekspresu. Wyciągam podajnik i wkładam kapsułkę. Iгла, przez którą zaraz przeleje się wrzątek, wydaje specyficzne pyknięcie, gdy przebija plastik. Wstawiam podajnik na swoje miejsce. Sprawdzam, czy jest woda. Nie ma. Biorę pojemnik i wracam do zlewu. Nalewam. Znowu dwa kroki do ekspresu. Filizankę dla taty wziąłem czystą, ale moja leży na stole w dużym pokoju, po poprzedniej kawie. Idę po nią. Dziesięć kroków w jedną. Łapie filizankę. Dziesięć kroków w drugą. Kładę filizankę na podstawce, puszczam ekspres. Wydaje głośne bzyczenie. Gdy kawa sięga trzech czwartych pojemności kubka, przesuвам małą wajchę. Cisza.

Nagle słyszę jakieś dźwięki w przedpokoju. Jakby ktoś coś kombinował przy zamku. Zdziwiony ruszam szybkim krokiem w tamtą stronę. To tylko parę metrów, przy drzwiach jestem w sekundę. Otwieram je, a ciemne pomieszczenie zaczyna rozświetlać światło zza właśnie otwierających się drzwi wejściowych.

– Macia? Siemka, co ty tutaj robisz? – uśmiecham się delikatnie, gdy widzę brata.

– Siema! – zbija ze mną piątkę, wydając przy tym głośne klaśnięcie – Przywiozłem papiery do podpisania dla rodziców. Starzy w domu?

Marszczę brwi i przez ułamek sekundy patrzę na niego zmieszany.

– Hahahahaha! – obaj wybuchamy śmiechem.

Mama od dwóch tygodni nie podniosła się z łóżka.

– Właśnie robię kawę. Chcesz?



# Barszcz

Na wigilię ubraliśmy mamę w granatową sukienkę. Nie to, żeby nie miała wyboru – gdy podnieśliśmy ją z tatą tak, by usiadła na łóżku, pokazałem jej dwa wieszaki. Na jednym była ta granatowa. Była z materiału grubego niemal jak sweater, z takim dużym kołnierzem, który lekko zakrywał jej szyję i opadał na ramiona. Na drugim wisiała różowa, taka z jakimś kanciastym, niewielkim dekoltem. Może nie różowa, może fuksja bardziej, nie wiem.

– Co powiesz na tę ciemną? W tej na pewno będzie ci cieplej. Mama spojrzała zamglonym wzrokiem na wieszak. Przytak-

nęła. A może tylko mocniej mrugnęła obojgiem oczu na jej widok. A może sami sobie wmówiliśmy, że to tę chciała założyć.

Z ubraniem jej i sprowadzeniem na dół czekaliśmy do ostatniej chwili, nie chcieliśmy jej męczyć. Posadziliśmy ją na wózek i popchnęliśmy do schodów. Za rączki z tyłu złapał tata, dół wózka podniósł któryś z moich braci. Szedłem za nimi, gdy nieśli ją na dół.

Mama siedzi u głowy stołu, ja tuż obok. Tata podaje barszcz. Mamci nalewamy jako pierwszej.

– To ty nalewaj, a ja nakarmię mamę – mówię do ojca i biorę się za zadanie.

To chyba pierwszy raz, gdy rzeczywiście ją karmię. Naberam łyżką małą ilość zupy. Uważnie podnoszę ją do ust i dmucham. Następnie przysuwam do buzi mamy. Otwiera usta, ja ładuję końcówkę łyżki do środka i przechylam. Mama delikatnie zwięża wargi i wypija barszcz. Powtarzam procedurę. Tym razem na łyżce ładuje też uszko. Gdy sączy zupę ze sztućca, czerwona kropelka spływa jej po brodzie. Kapnęła na kołnierz sukienki.

– Kurczę, przepraszam. Już cię wycieram.

Łapię za serwetkę i wycieram jej brodę. Gdy zniżam dłoń, by wytrzeć też ubranie, kropła barszczu ginie już w morzu granatu. Nie widzę jej. Przecieram kołnierz, chyba tylko dla własnego spokoju. Z pozostałej części stołu słychać rozmowy.

– Podasz mi uszka?

– Nie no, ten barszcz z przepisu babci Czesi to się chyba z tą fasolą białą je.

– No daj to uszko, już nie bądź taki cwany.

– A może jednak? Fasolki?

– No dobry ten barszcz, ale chyba jednak wolę ten nasz klasyczny. Ten to jest kwaśny strasznie.

– Patrz no, chłop się stara, buraki kisi już na dwa tygodnie przed, a i tak się znajdują malkontency.

– O ja cię, rzeczywiście kwaśny.

– No już ci leje tego drugiego.

– U nas w domu to się zawsze rybną jadło.

– A z czym?

– Z grzankami zawsze jemy, no, i pietruszką sypimy.

– A tę rybną to na głowach karpi robicie?

Wychodzę do kuchni. Łapię za gar z czerwonym płynem. Zamierzam utopić w nim moją rodzinę. Wbiegam do dużego pokoju z blazowanym wiadrem pełnym zupy, potykam się chyba i pierwszy chlust wylewa się tak, jakby to była siła wyższa, jakby ten barszcz był specjalnie do tego przeznaczony. I czerwony bełt pada na biały obrus i odpryskuje na boki. I łapię gar pod ramię i leję im barszcz całymi chochlami prosto do otwartych ust. Czerwone krople spływają im po brodach, zatrzymują się na zarostach, spływają po twarzach, kapią na białe koszule, zostawiając wyraźne ślady. Jeden po drugim, wypełniam po brzegi usta wszystkich członków mojej rodziny, aż płyn wylewa się na boki, na sukienki, na garnitury, na obrus biały. I słyszę, jak się krztuszą, jak pluja, jak próbują powietrze łapać haustami, a zamiast tego łykają barszcz litrami. Wylewam go na braci, na ich żony, na wujka i ciotkę, na dziadka i babcię, na tatę. Próbuję utopić w nim moją rodzinę.

Za to, że rodzą dzieci, że planują chrzciny, że mówią gdzie nowe miejsca parkingowe, a gdzie leżącego policjanta postawili. Za to, że nie drzemymy mordercy, że nie kurwujemy na czym świat stoi, że na ulicach nie skandujemy – że nie mówi, że nie chodzi, że nie wiem, czy mnie rozpoznaje, że umiera, że dlaczego ona, że dlaczego my. Za to, że bezczelnie żyją, za to, że nic nie robią i ja też nie. No bo co można? Nic nie można, kurwa. Można się utopić w morzu zakwasu buraczanego wodą rozcieńczoną.

Dziadek, krztusząc się, łapie obiema dłońmi za boki stołu, tak jakby ostatkami sił próbował wykaszleć resztki barszczu z gardzieli i tak chlerająca głowa opada mu na stół usiany czerwonymi plamami. Leżąc tak i miarowo mrugając, wyszeptuje cicho:

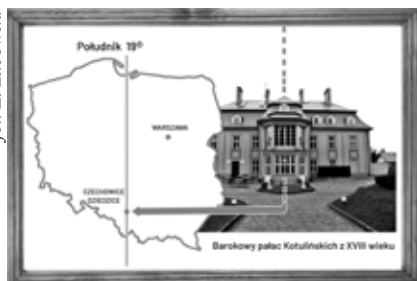
– Dobry, tylko cebulki trochę mało.

# Południkowe miasto

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Czechowice-Dziedzice mogą się poszczycić nie lada atrakcją turystyczną. 35-tysięczne miasto Śląska Cieszyńskiego jest przecięte 19. południkiem długości geograficznej wschodniej, rozdzielającym Polskę na dwie równe części. Przebiega on dokładnie przez środek barokowego pałacu Kotulińskich z XVIII w., arystokratycznej rezydencji wzniesionej we wsi Czechowice Górne, stanowiącej część współczesnego miasta (historyczny obiekt nie należy do czechowickiego samorządu).

fol. Z. Lubowski



Niezwykłe usytuowanie tego pałacu na mapie Polski (mozaika graficzna Tomasza Janowskiego) jest bez wątpienia geograficznym atutem, o którym nie wiedzą jednak w ogóle liczni przybysze i poszukiwacze ciekawych miejsc i zakątków na terenie naszego kraju. Pisaliśmy już o tym przed trzema laty na łamach „Śląska” (nr 3/2020), ale niedawno odsłonięto w mieście specjalną tablicę, dokumentującą przebieg południkowej „dziewiętnastki”.

Znajduje się ona na skwerze obok nowoczesnej siedziby Miejskiej Biblioteki Publicznej (przedtem mieściła się w starym i zaniedbanym budynku w innej części miasta). Przylegający do skweru uliczny chodnik jest od kilku lat ozdobiony charakterystyczną mozaiką graficzną w postaci tzw. „róży wiatrów” (oznaczenie stron świata).

fol. A. Rucińska



## Patron, jakich mało

Wybór miejsca lokalizacji geograficznego symbolu wizerunkowego Czechowice-Dziedzic nie wydaje się przypadkowy. Gdyby w obecnych czasach żył patron ulicy sąsiadującej ze skwerem, to być może zostałby sądowym mediatorem. **Ignacy Jan Paderewski** posiadał bowiem niezwykle dar jednoczenia wrogich sobie obozów – prawicy z lewicą.

A może byłby znanym youtuberem – od wczesnej młodości uwielbiał mówić do ludzi, a jego słowa miały wiel-

ką moc. Historycy zgodnie twierdzą, że jedno zaledwie przemówienie Paderewskiego stało się zarzewiem Powstania Wielkopolskiego. Z powodzeniem mógłby również robić to samo, co 100 lat temu.

W jego długim życiu (1860–1941) muzyka przeplatała się z polityką. Zwolennik wytrwałej pracy i żmudnego wysiłku, w obu tych dziedzinach osiągnął szczyty – na jego koncerty fortepianowe przychodziły zawsze tłumy, w tym m.in. koronowane głowy, a jego politycznym najwyższym osiągnięciem była funkcja premiera i jednocześnie ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej. Całą swoją działalnością promował interes Polski na świecie, aktywnie zabiegając o niepodległość i stając się jej nieformalnym ambasadorem. Jednak dopiero 50 lat po śmierci jego prochy sprowadzono z Arlington do Warszawy, gdzie spoczęły w krypcie Archikatedry św. Jana.

Prawie 30 lat temu jego twarz zdołała banknot dwumilionowy (ówczesna inflacja), a dziś – butelkę luksusowej wódki. Jest patronem wielu szkół, uczelni i setek ulic w polskich miastach. Czechowicka ulica Paderewskiego jest jednym z licznych przykładów hołdu należnego wspaniałemu polskiemu patriocie.

## Pamiętkowe fotki

Warto jeszcze dodać, że wiele samorządów w kraju zadbało już o popularyzację „południkowych” ciekawostek geograficznych. W nadmorskich miejscowościach (**Chłopy** w gminie Mielno, **Trzęsacz** w gminie Rewal itp.) nie brakuje – dla przykładu – tablic wizerunkowych z uwidocznionymi na nich liczbami oznaczającymi istnienie przebiegających tamtędy różnych południków. Turyści chętnie robią sobie pamiątkowe zdjęcia pod geograficznymi tablicami. W Czechowicach-Dziedzicach jest to już także możliwe.

W przyszłym roku życie dostarczy kolejnych okazji do pstryknięcia w mieście atrakcyjnych fotek. W marcu mają być ukończone trwające obecnie prace przy rewitalizacji historycznego budynku dworca kolejowego w Czechowicach-Dziedzicach. Oddanie do użytku odrestaurowanego obiektu będzie – jak można przypuszczać – istotnym wyda-

rzeniem w dziejach miasta, zasługującym z pewnością na fotograficzne upamiętnienie.

Dworzec został udostępniony pasażerom jeszcze pod koniec 1855 roku. Był to wówczas dworzec w Dziedzicach, największy kubaturowo budynek kolejowy na obszarze Śląska Cieszyńskiego. Przyjeżdżały tam pociągi z Wiednia przez Bohumin, a także ze Lwowa i Krakowa oraz z Berlina. Obiekt leżał na trasie tzw. Uprzywilejowanej Północnej Kolei Cesarza Ferdynanda.

## Nowe oblicze cesarskiego świadka

Dworzec był niemy świadkiem pobytu znanych monarchów, polityków i wojskowych. Tłumnie zgromadzeni mieszkańcy Czechowic, Dziedzic i okolicznych miejscowości witali owocnie w tym miejscu m.in. cesarza austriackiego Franza Josepha I (1880), cesarza niemieckiego Wilhelma II (1917), marszałka Francji, Wielkiej Brytanii i Polski – Ferdynanda Focha (1923), prezydentów RP, Stanisława Wojciechowskiego (1923) i Ignacego Mościckiego (1927), a także marszałka Józefa Piłsudskiego (1927).

Archaiczny i wyjątkowo zaniedbany obiekt wymagał pilnej renowacji. Wykonania kompleksowych robót remontowo-modernizacyjnych podjęło się Bielskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego. Realizacja przedsięwzięcia pochłonie blisko 48 mln zł. Po zakończeniu prowadzonej aktualnie inwestycji – trójkondygnacyjny dworzec ma pełnić nie tylko typowe funkcje kolejowe (poczekalnia, kasy, nowoczesny sanitariat itp.). Będzie też służył potrzebom miasta.

– *Znajdą tam swoje siedziby dwie czechowickie instytucje – Muzeum Miejskie oraz Ośrodek Pomocy Społecznej. W tym celu zostania zawarta odpowiednia umowa między PKP a miejskimi władzami samorządowymi* – wyjaśnia Jacek Cwelter, czechowicki radny, a zarazem kustosz Izby Regionalnej.

Muzealnej placówki z prawdziwego zdarzenia nigdy w Czechowicach-Dziedzicach nie było. Taki przybytek cennej wiedzy o historii miasta pojawi się za kilka miesięcy. Wówczas już nie tylko dziewiętnasty południk będzie atrakcją dla czechowiczian!

# Przeegrany talizman

RYSZARD JASNORZEWSKI

**P**ragnienie – i niewątpliwie nałóg – wygrywania przeobraża ludzi w bestie. Być może dlatego Belg Eddy Merckx, jeden z najsłynniejszych kolarzy w dziejach, nazywany był Kanibalem. Nie tylko bowiem połykał w znakomitym tempie kilometry najważniejszych wyścigów, ale zdawał się bezlitośnie pożerać rywali. Merckx zaspokajał swoje głody sportowe w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Jego losy interesująco przybliżył brytyjski dziennikarz Daniel Friebe. Biografia nosiła tytuł (a jakże): *Kanibal*. Niemiec Jan Ullrich jest bohaterem najnowszej (ofiarowanej polskiemu czytelnikowi krótko po premierowym wydaniu angielskim) opowieści Friebe'a. Opowieści znakomitej – mimo że nie tyle (jak zachęca rekomendacja na tylnej okładce) „porywającej”, ile raczej wciśkającej w fotel bądź krzesło.

Autor i jego agent uznali, że książce dobrze uczyni prosty tytuł: *The best there never was. Jan Ullrich* (w polskiej edycji: *Jan Ullrich. O tym, który mógł być najlepszy*). Pomyślałem (trochę inspirowany fotograficznym wizerunkiem kolarza w żółtej koszulce), że zdecydowanie ciekawsza byłaby gra słów. Gdy ją podjąć, Merckx pozostałby co prawda Kanibalem, ale Ullrich nosiłby imię Kaliban. Nie tylko bowiem literackim i teatralnym postaciom przydarzają się – jak Kalibanowi z „Burzy” Szekspira – utracona wyspa, upadłe nadzieje i odebrana przedwcześnie dziakość, która w istocie była niewinna, własna i naturalna. Oczywiście, gdyby Friebe urzeczywistnił podobny pomysł, książkę należałoby sprzedawać z przypisami na okładce (nie czyni się tego z powodów higienicznych, gdyż łamiągłównki intelektualne nie służą potencjalnym nabywcom książkowych utworów o sporcie).

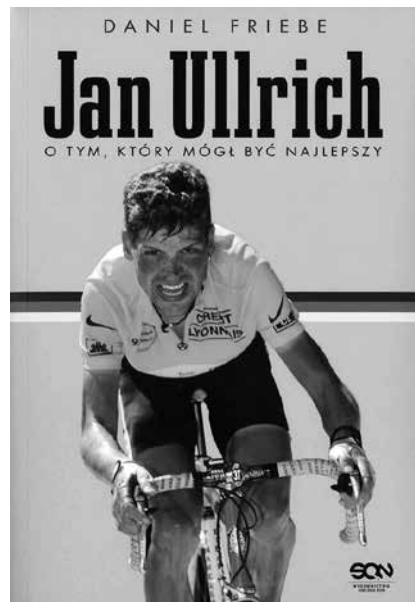
Jan Ullrich to jedyny niemiecki zwycięzca Tour de France, Wielkiej Pętli, najważniejszego kolarskiego agonu na świecie. Trafne spostrzeżenie Rolanda Barthesa – „Tour de France zna tylko cztery ruchy: prowadzić, ścigać, uciekać, zostawać w tyle” – można co prawda odnieść do życia jako takiego, ale tylko egzystencję sportowców (i kreowane przez nich epizody widowiskowe) komentują media i obserwiają miliony gapiów przed telewizorami (lub ekranami komputerów). Ullrich triumfował w 1997 roku, po drodze miażdżąc (połykając?) przeciwników na etapie z Luchon do Arcalis w Pirenejach. Autor jego biografii był wówczas jeszcze licealista: „z każdym przekręceniem pedałów przez Ullricha nachodziło mnie silne przeczucie, że oto czas przeszedł i terazniejszy zamieniły się miejscami albo zwały się w jedną, nieodróżnialną i niepodważalną prawdę, że od tego dnia kolarstwo

będzie należeć do Jana Ullricha z Team Telekom, chłopaka z Rostocku”.

Nostalgia za przeżytym niegdyś zachwytem nie była jednak najważniejszą motywacją do komponowania biografii Ullricha. Nie chodziło też o kronikę dokonań kolarza. Friebe'a zaintrygowało to, co niedokonane, co mogło być, a nie stało się, co stało na drodze, a właściwie wykluczyło z bycia na drodze do wielkości tego, „który mógł być najlepszy”. Johan Bruyneel, belgijski kolarz drugiego planu, bardziej znany jako dyrektor grupy U.S. Postal (i jeden z reżyserów skazyjących dopingiem popisów Lance'a Armstronga), jest przekonany, że „Tour de France od zawsze wydobylał z ludzi to, co w nich najlepsze i najgorsze”. To nie do końca prawda, w epoce Ullricha i jego współzawodników, nie dałoby się odnaleźć nie tylko tego, co najlepsze, ale nawet odrobinę przyzwoite. Owszem, najgorszego było aż nadto.

W żargonie sprawozdawców sportowych zadomowił się nieszczególnie udany frazeologizm – „ile tylko fabryka daje” – wskazujący na wydatkowanie (lub potrzebę uszczelnienia) maksymalnego wysiłku. Ullrich i jego rywale w peletonie dawali wszystko, co zdolna była dać może nie fabryka, ale na pewno hurtownia farmaceutyczna. Jedynie kilku kolarzom ze ścisłej czołówki przełomu wieków nie udowodniono stosowania dopingu. Dla niektórych – jak dla Ullricha – było to równoznaczne z zakończeniem kariery, innych napiętnowano w jakiś czas po zakończeniu kariery. Za arcyministra czarnej magii kolarskiej zgodnie uznaje się Armstronga, siedmiokrotnie najlepszego na mecie Tour de France. Mimo szeregu sankcji (w tym odebrania części tytułów wywalczonych na szosie), zasadniczego uszczerbku nie doznał ani samopoczucie, ani konto bankowe Amerykanina. Zdecydowanie wyższą cenę za sztuczne wspomaganie zapłacił zmarły w 2004 roku Włoch Mario Pantani, który gry dopingowe łączył z zażywaniem antydepresantów i uzależnieniem od kokainy.

Ullrich zgłębiał przepisy kolarstwa jeszcze w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdzie z chemicznego wzmacniania sportowców uczyniono sprawę wagi państwowej. Nie ma jednak żadnych dowodów, że już wówczas sięgał do zakazanych metod podnoszenia wyczynowych standardów. Z dopingowym „systemem” – skrupulatnie zorganizowanym we współpracy z lekarzami – bliżej zapoznał się już po zjednoczeniu Niemiec, jako kolarz zawodowej grupy Telekom. Zapewne nie miał czystego ani sumienia, ani organizmu już podczas Tour de France 1997, zakończonego jego błyskotliwym triumfem. Brak jednak na to dowodów. Żadnych wątpliwości nie



było w 2006 roku, gdy kolarza wykluczono z Wielkiej Pętli. Dopingowa wpadka Ullricha była jednym z najgłośniejszych przyczynków do niesławnej popularności hormonu EPO, który diametralnie poprawiał wytrzymałość sportowców, podnosząc poziom czerwonych krwinek i zwiększając stężenie hemoglobiny. Zawodowcy na rowerach sięgali ponadto po testosteron i ludzki hormon wzrostu, nie gardzili również insuliną, wyciągiem z krwi cieląt, a nawet specyfikami o nazwie oxyglobin, zalecanym przez weterynarzy psom cierpiącym na anemię.

Ponad dekadę trwała „Ullrichomania”. Sportowca mianowano symbolem zjednoczenia i „talizmanem narodowym”, zaś Deutsche Telekom uznał go za swój „produkt premium”. W chwili dopingowego upadku – w 2006 roku – miał trzydzieści dwa lata. I całkiem sporo życia do wypełnienia. Stało się byle jakie, niezbyt mądre, często spędzane w towarzystwie alkoholu lub amfetaminy. Chyba najbardziej sympatycznie powiodło się Ullrichowi, gdy w ramach gry o nowy wizerunek zdecydował się zostać twarzą kampanii reklamowej producenta szamponów mających zapobiegać perspektywie przedwczesnej łysiny. Wiarygodnie, z głębokim przekonaniem promował kampanię pod hasłem „Doping dla włosów”.

**Daniel Friebe: *Jan Ullrich. O tym, który mógł być najlepszy*. Przełożył Bartosz Sałbut. Wydawnictwo SQN, Kraków 2023, s. 557.**

# Dziennik zdruzgotanego życia (13)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

...uświadamiamy sobie, że dla wolnego narodu strategią przetrwania nie jest milczenie, lecz mówienie. Dziś ukraińska literatura łamie sobie głowę, jak ubrać w słowa najbardziej palące ludzkie doświadczenie na Ziemi – rzeczywistość wojny.

Oksana Zabużko, *Ukraina własnym głosem*  
[w:] *Planeta Piołun*. Tłum. J. Majewska

**12.05.2023.** Pytasz, co te wszystkie ruchy wojsk znaczą. My także, bo trudno powiedzieć. Wczoraj prezydent, o czym wiesz, powiedział, że na razie kontrofensywy nie będzie, bo życie ludzkie jest zbyt cenne, ale wygląda na to, biorąc pod uwagę to, co właśnie dzieje się w Bachmucie, że to „na razie” było wczoraj, a dziś właśnie operacja się rozpoczęła. W każdym razie w rosyjskich mediach histeria i to na taką skalę, że aż chce się powiedzieć, że po prostu narobili w gacie ze strachu. Niektórzy widzą już naszych w Biełgorodzie i wołają: już po nas! Pomocy! Tymczasem wiadomo jedynie, że odepchnęliśmy najeźdźców na niektórych odcinkach w Bachmucie. Z tą paniką to nie jest żadna przesada, opuścili lub poddali kilka kolejnych pozycji w tamtej okolicy. Pytasz, co w powietrzu – głównie drony, raket jakoś na szczęście nie widać.

Problem polega na tym, że nie bardzo wiemy, jak takie natarcie powinno wyglądać; czy powinno się rozpocząć od tradycyjnej nawały artyleryjskiej, od zmasowanego nalotu i ataku raketowego, czy też wojsko ma wybiec z okopów z jakimś okrzykiem w rodzaju znanego nam, aczkolwiek trochę już przeterminowanego „hurra!”? Na każdej wojnie, także i na tej, obowiązuje zasada brydżowa „karty do ordełów”. Kto jej nie przestrzega, słono za to płaci.

**13.05.** Rano wspaniała nowina. Nasi pogonili orków 17 kilometrów na kierunku bachmuckim! Oby tak dalej. Czy to jest początek czegoś większego? Obawiam się definitywnej odpowiedzi, ale nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym, żeby tak było, żeby to był początek ich końca. W każdym razie to najlepsza wiadomość, jaka do nas ostatnio dotarła.

**15.05.** Co ja mam dziś pisać? Od 24 godzin nic się w mieście nie dzieje. Tylko na froncie, ale o tym wiem tyle, co i ty.

Są odcinki frontu, na których Ukraińcy odnoszą tzw. taktyczne sukcesy, ale są i takie, gdzie Rosjanie trzymają się mocno. Co z tego wyniknie? Trudno przewidzieć, choć należałoby podzielać ukraińskie nadzieje, iż jest to wstęp do czegoś bardzo poważnego. Na razie każdy, nawet minimalny sukces Ukrainy, wywołuje ataki Rosjan na cywilną infrastrukturę, nie zawsze, na szczęście skuteczne. Zmasowany atak raketowy na Kijów zakończył się kompletnym fiaskiem; wszystkie pociski zostały zestrzelone. Jednak inne miasta nie miały takiego szczęścia.

**17.05.** Dzień dobry, kochany. Dziś wszystko dobrze. Oby tak dalej, ale nie bardzo wierzę w cuda. A co ty tak nagle z tym czytaniem? Pewnie, że czytam. Może nie tyle, co ty, bo mam mniej czasu, a poza tym mamy wojnę i wszystko staje się jakies takie fragmentaryczne, zastępcze. Sięgasz po to, co ci właśnie wpadnie w ręce i robisz to, kiedy możesz, a nie kiedy rzeczywiście czujesz taką potrzebę. Nie muszę ci chyba tego tłumaczyć. Nie mamy wielu dobrych współczesnych

pisarzy – moim zdaniem, ale Żadan to prawdziwa perła wśród nich. Uwielbiam go. Lubię także książki Lubko Dere-sza; jego powieści traktują głównie o współczesnych nastolat-kach i ich problemach. Przedstawia życie i sprawy dla nich ważne w niezwykle realistyczny sposób. Najbardziej podobała mi się jego powieść „Kult”. Była to jego debiutancka powieść, a miał wtedy siedemnaście lat. Wydawał się wtedy cudownym dzieckiem literatury, ale potem przyszły słabsze utwo-ry, a za książkę „Hołowa Jakowa” otrzymał literacką anty-nagrodę i ostre ciągi od krytyki. O ile wiem, kilka jego rzeczy było tłumaczonych na polski. Max Kidruk także jest intere-sujący. Największe wrażenie zrobiła na mnie jego opowieść zatytułowana „Tam, gdzie nie ma Boga”. Jest na prawdę świetna. Poza książkami podróżniczymi, wydał także publi-cystyczną, która ukazała się w Polsce („Ja, Ukrainiec”). Do-konuje w niej przeglądu relacji ukraińsko-rosyjskich od cza-sów powstania Chmielnickiego do Euromajdanu. Zawsze cie-pło tłumaczy się o Polakach i o Polsce. Bardzo popularna jest Irena Karpa. Jednak prawdę mówiąc, nie przepadam za nią. Dla mnie, mimo całej jej popularności, to amatorszczy-zna. Ale być może nie mam racji. Możesz sam przekonać się, co warte jest jej piarstwo, bo jej powieść „Freud by płakał” ukazała się kilka lat temu w Polsce.

Kiedy przerywamy naszą konwersację, ja powracam do Oksany Zabużko, tym razem jednak do „Planety Piołun”. Zbiór esejów pokazujących duszę Ukrainy w szczególny spo-sób. W ciele Europy? To za mało – na tle świata. Niezwykle wciągająca lektura. Szczera do bólu. Wiele niebezpiecznej sympatii dla Polski.

**19.05.** Dziękuję za życzenia. Wczoraj Dzień Wyszywanki tak był w Dniro obchodzony, że niemal wszyscy je założyli. Wyglądało to bardzo pięknie.

**20.05.** Nie jestem zbyt rozmowna, wiem. Moja najmłodsza córeczka znowu chora. Temperatura, niespokojny sen i trud-ności z oddychaniem. Znowu czeka nas wizyta u doktora. Stąd też mój kiepski nastrój. I czekają nas zakupy kolejnych lekarstw.

Słoneczna niedziela. Nareszcie. Córeczka Ani czuje się le-piej, a my... trochę o mleczakach u dzieci, trochę o pogodzie, a także o historii. Dla Ukrainki i Polaka to zawsze pasjonu-jący temat, choć nieraz nie brakuje kontrowersji.



**21.05.** *Mała czuje się dziś znacznie lepiej. Okazało się, że problem dotyczył wymiany zębów. To miło, że macie wreszcie piękną pogodę i ciepło. U nas wczoraj był taki upał, że miałam wrażenie, iż asfalt rozplywa się pod moimi stopami. Dziś pochmurno i jest mi z tym lżej. A ty na taras i nos w książkę? O Chmielnickim? Jestem ciekawa, czego się dowiesz. To dość skomplikowana postać. Kiedy chodziłam do szkoły, uczono nas, że był wielkim bohaterem, hetmanem, wyzwolicielem. Jego portret był niemal w każdej klasie. Nie mówiono nam jednak o tym, że był okrutnym dyktatorem, że wymordował tysiące Żydów, zasiał nienawiść pomiędzy ukraińskimi chłopami i polską szlachtą. Jeśli jednak zapytasz na ulicy przeciętnego Ukraińca, to powie ci, że był hetmanem i stał na czele ukraińskiego powstania narodowego. I to będzie wszystko, co usłyszysz.*

Mówiąc, Aniu, prawdę, to polska szlachta, a właściwie magnateria była dość wdzięcznym obiektem do znienawidzenia.

*Zapewne, ale nawet nie w tym rzecz. Kochany, ja dopiero niedawno uświadomiłam sobie, że my o historii Ukrainy wiemy bardzo niewiele. Problem polega na tym, że uczono nas w sposób bardzo selektywny i stosowano wygodny filtr.*

To oczywiście problem i zarodek kolejnych problemów, ale to nie tylko ukraińska bolączka.

**22.05.** *Boże drogi, co to była za noc! Dawno już nie byliśmy tak przerażeni. Spadło na nasze miasto do 15 rakiet. Niektórzy twierdzą, że więcej. Mnie się wydawało, że wystrzelili wszystko, co mieli i nie będzie temu horrorowi końca. Czas jakby zatrzymał się w miejscu i wybuchy, niekończąca się seria wybuchów. Nam, dziękować Bogu, nic się nie stało. Cześć tych rakiet została zestrzelona, za co dzięki wielkie naszym sprzymierzeńcom i naszej obronie przeciwlotniczej. Gdyby nie ta nowoczesna technika i sprawność naszych chłopaków, to nie wiem, czy byś dzisiaj ze mną rozmawiał. Był to najcięższy atak od dnia wybuchu wojny. Mieszkamy na wzgórzu nad Dnieprem w centralnej części miasta i akustyka jest idealna, zwłaszcza w nocy. To było przerażające i wciąż jeszcze nie mogę dojść do siebie. Teraz u nas spokój, bo oni uwielbiają noc. Ale ludzie w mieście nadal są przerażeni.*

Późnym popołudniem sms:

*Wygłąda na to, że Rosja wzięła się za siebie. Legion Wolna Rosja atakuje Białgorod, blisko naszej granicy. Ponoć zajęli już dwie miejscowości.*

Media potwierdzają wiadomość od Anny. Pojawia się także informacja o balonach z godłem Legionu nad Moskwą.

**23.05.** *Noc minęła spokojnie. Rosyjski chaos propagandowy, jaki teraz zapanował, pozwala sądzić, że nieco się pogubili. Wygląda na to, że nie bardzo wiedzą, komu teraz przyłożyć, a poza tym w okolicach Białgorodu trwają walki. Są doniesienia o wybuchu pocisku na terenie tamtejszej siedziby FSB. Wczesnym popołudniem ukazała się informacja, że już cztery miejscowości znalazły się pod kontrolą „ukraińskich sabotażystów”.*

Niewątpliwie walki na terytorium Rosji są tematem dnia. W mediach informacje i komentarze. Informacje często sprzeczne, a komentarze... Jedno jest pewne – wojskom rosyjskim na froncie z pewnością to nie pomoże, a wręcz przeciwnie. I o to chodzi, chciałoby się powiedzieć. Jeden z niezależnych rosyjskich portali przytacza wypowiedzi mieszkańców Białgorodu. Jedni popierają wojnę, inni

przeciwnie, ale we wszystkich niemal wypowiedziach po-brzmiewa silna nuta rozczarowania; nie było wojska, nie było policji, brak było podstawowych informacji. – *Nie czuliśmy się bezpiecznie, raczej pozostawieni samym sobie.* – Mówi jeden z mieszkańców miasta.

**25.05.** *Dziś wagnerowcy zaczynają wycofywać się z Bachmutu. Jak dotąd żadnych nowych wieści z Białgorodu. Natomiast to, co media piszą o nastrojach tamtejszej ludności, to prawda. Akcja Wolnej Rosji spotyka się z poparciem wielu osób. W sieci pełno jest wpisów w rodzaju: „chwala Ukrainie”, „chcemy referendum”, „młodzi ludzie czekają na was”, „chcemy być Ukrainą”. Zauważyli, że cała ta wojna to dla Rosji porażka. Chcieli nas uwolnić od faszystów, a zrobili z nas jeden z najsilniejszych narodów, chcieli nas rozbroić, a niesamowicie wzmocnili naszą armię. Mówi o tym nawet Prigożyn. Tutaj mówi się o tym, że ta akcja w Białgorodzie i okolicach odbyła się nie bez jego wsparcia. Jego sytuacja wygląda tak, że jedynie przewrót może go uratować. Inaczej zostanie zabity, kiedy tylko wróci do Rosji. Sądzę, że właśnie przewrót jest jedyną szansą, żeby coś się w tym baraniu kraju zmieniło. Choć gwarancji oczywiście nie ma. Mieli już rewolucję, która, jak słusznie zauważyłeś, tak naprawdę niczego nie zmieniła – jedno samodzielnictwo zastąpiła innym. Niestety. Wiadomość z ostatniej chwili: akcja w Białgorodzie trwa, w oparciu o zdobyczny sprzęt bojowy. Kto wie, czy nie został przez kogoś podarowany. Tymczasem vleпки ochotników pojawiły się na murach Soczi. Robi się coraz ciekawiej.*

Od rana w mediach doniesienia o nocnych atakach dronów i rakiet. Część zestrzelono, ale kilka dotarło do celu, także w Dnipro.

**26.05.** *Co to była za potworna noc! Byliśmy cały czas ostrzeliwani. Nieustanny huk i trajkotanie dronów. O cholera, teraz znowu wybuchy! Wydaje mi się, że część rakiet zestrzelono, ale jedna uderzyła na pewno. Jestem względnie bezpieczna w pracy, a dzieci są przez cały czas w piwnicy. Ale i tak można zwariować od tego wszystkiego. No i teraz kolejne trafienie. Nie dają nam spokoju ani w dzień, ani w nocy. Córka obudziła się dziś po wybuchu, usiadła na łóżeczku i powiedziała „mamusiu, bum!”. Aż się popłakałam. Zaraz spróbuję się dowiedzieć, co się stało. Tylko się nie denerwuj. Zaraz się odezwę. Już coś wiem; tym razem skurwysyny trafili w szpital. Są ofiary, ale nie wiadomo jeszcze, ile osób, bo trwa akcja ratownicza. W sieci już pojawiły się filmiki; dwa ci przesyłam (ratownicy wynoszą z ruin szpitala rannego i wyprowadzają zakrwawioną od stóp do głów lekarzkę). Niestety, są też zabici. Oczywiście, ogłoszą trafienie w tajne nazistowskie laboratorium. Nie mogę oglądać tego nie płacząc. To jest ta ich pierdolona „święta Rosja”. Niech ją zslag. Muszę się teraz uspokoić i wrócić do pracy.*

Inna, niepokojąca nie tylko dla Ukrainy wiadomość, to rozmieszczenie na terenie Białorusi rosyjskiej taktycznej broni jądrowej. W Dnipro zakończono akcję ratunkową w zniszczonej przez raketę klinice. Bilans ofiar – 33 rannych i dwie osoby zabite. W mieście dzień żałoby.

**29.05.** *Witaj, mój drogi. U mnie wszystko ok., ale noc i dzisiejszy poranek były straszne. Mnóstwo rakiet i dronów w całym kraju, zwłaszcza w Kijowie. Jednak nasza obrona nie zawiodła, ale odłamki zrobiły swoje. Uszkodzone budynki, zniszczone samochody. Zmienili taktykę. Dawniej walili głównie nocą, a teraz także za dnia, kiedy ludzie są w pracy i na ulicach. Jak minął mi weekend? Pracowicie, ale w sobotę jedna z moich córek, Marusia, obchodziła urodziny i udało się wszystko tak zorganizować, że*

wyglądała na bardzo szczęśliwą. W końcu nawet w tych ciężkich czasach należy się dziecku odrobina radości. Ale żeby nie było nam zbyt wesoło w tej chwili, 12 rakiet leci na Kijów. Także wybuchy w Czernichowie. Najwyraźniej starają się znaleźć pozycje wyrzutni Patriot. No, ale mają niewielkie szanse, bo to są mobilne systemy.

Dziś wczesnym rankiem drony w Moskwie. Nie ma ofiar i niewielkie zniszczenia.

**30.05.** Najzabawniejsze jest to, że nie odezwała się ich obrona przeciwlotnicza, a dronów było podobno aż dziesięć. Wykluczono udział Ukrainy w tym zdarzeniu. Dziwne, nie? Aż się prosiło, by nazwać to prowokacją; w końcu nie takie robili. Prowokacja czy nie, ich obrona nie zadziałała. Może trochę głupio byłoby w tym kontekście oskarżyć Ukrainę. Bo co – jesteśmy w stanie głupimi dronami zaatakować skutecznie świętą stolicę? Jednak jakieś to wszystko dziwne, nie wydaje ci się?

W Kijowie atak za atakiem; drony i rakiety. Obrona działa bardzo skutecznie, ale są także ofiary. Natomiast Anna w Dnipro korzysta ze spokojniejszych dni i urządza dzieciom uroczysty Dzień Dziecka.

**2.06.** Rano poszliśmy na spacer nabrzeżem Dniepru. Było bardzo pięknie i było wiele atrakcji dla dzieci. Zebrało się mnóstwo ludzi. A wieczorem zrobiliśmy sobie grilla koło domu. Nareszcie dzieci miały trochę radości. A dziś wszystko zwyczajnie – jestem w pracy i nasłuchuję syren.

**4.06.** Witaj, mój drogi. U mnie wszystko dobrze, ale w nocy nasze miasto znów zostało ostrzelane. Są zabici i ranni. Rakietą spadła na dwupiętrowy budynek mieszkalny. Ranne dzieci, a mała dwuletnia dziewczynka nie żyje. Powiedz mi, skąd mamy brać siłę, by to wszystko wytrzymać?

Rosjanie wysadzili zaporę i elektrownię wodną w Nowej Kachowce. Poziom wody w zbiorniku na Dnieprze gwałtownie opada, natomiast wiele miejscowości, z Cherso-niem włącznie, znajduje się już pod wodą. Wiele innych zostanie niebawem zalanych. Trwa ewakuacja ludności na wielką skalę, ale Rosjanie także „strzelili sobie w stopę”, ponieważ woda zalewa także miejscowości na brzegu Dniepru, który jest okupowany przez nich. Pojawiają się informacje o ostrzeliwaniu przez wojska rosyjskie z moździerzy ewakuującej się ludności.

**8.06.** To, co się dzieje w Chersoniu i okolicach, jest przerażające. Wiele osób przebywa wciąż na dachach zalanych domów. Także wiele osób zginęło. Zwłoki pływają w Dnieprze. Są ogromne problemy z ewakuacją, która odbywa się pod nieustannym ostrzałem. Krótko mówiąc rozpętał się koszmar. Znów jestem w depresji. Te sukiny wpadły w szal i są kompletnie nieprzewidywalni. Nikt nie wie, co może wydarzyć się za chwilę. Nie jestem w stanie nic zjeść od dwu dni. Wiem, wiem – myślisz o mnie i nie jestem sama, ale nie mogę. Dobrze, obiecuję – dziś postaram się.

**11.06.** Witaj, mój drogi. U mnie wszystko w porządku. Jestem w pracy, ale bardzo niewyspana przez te cholerne drony, które nękają nas nocami. Na szczęście nasza obrona przeciwlotnicza spisuje się na medal. Poza tym Rosjanie wykazali się ostatnio niezwykłą skutecznością: przeprowadzili atak raketowy na kwaterę główną własnej Rossgwardii. Gratulacje. Ogółem straty Rosjan w ciągu ostatniej doby to 980 żołnierzy. Natomiast wciąż odczuwamy i zapewne jeszcze długo będziemy odczuwać skutki wysadzenia tamy w Kachowce. To naprawdę dramat.

Już jakiś czas temu Ania pisała, że sytuacja wokół tamy i elektrowni w Kachowce wzbudza niepokój. Przekonywałem ją, że nikt, kto ma odrobinę oleju w głowie, nie zrobi czegoś takiego.

No cóż, pomyliłeś się. Skąd mogłeś wiedzieć, że aż do tego stopnia są chorzy na głowę. Sami sobie także narobili wiele bardzo poważnych problemów, ale co tam! Wojna bez ofiar to dla nich nie wojna. Niech sobie popatrzą ci, którym tak podoba się „ruszski mir”, rosyjski świat. Ja wiem, że na Zachodzie są tacy, ale gdyby pojechali do Rosji i zaczęli żyć tamtejszym życiem, to prędko by im przeszło. No i dobra wiadomość – Nieskuczne to co prawda mała miejscowość w okręgu donieckim, ale taktyczny sukces naszej kontrofensywy. Dziś zostało wyzwolone.

Wiele się w ostatnich dniach na froncie dzieje. Opór Rosjan, ale i sukcesy Ukraińców. Wszyscy mają nadzieję, że przeciwuderzenie nabierze niebawem tempa. Sytuację ludności na terenach zalanych po wysadzeniu zapory pogarsza fakt, iż rosyjskie wojska utrudniają ewakuację na różne sposoby, także ostrzeliwując ewakuujących się.

**12.06.** A jednak wczorajszy dzień był dla nas dobry. W ciągu 15 godzin nasze wojsko wyzwoliło 5 miejscowości i posunęło się naprzód w obwodzie Donieckim. Ponadto udało się wymienić jeńców i do domu powróciło z niewoli 95 naszych żołnierzy. Natomiast tragiczne jest to, że te tchórzliwe sukiny strzelają w plecy naszym ludzom, którzy próbują się ewakuować z zalanych podwozią terenów. Jest wielu rannych, a także są zabici.

Postanowiłem zaprosić Annę do Polski i dać jej możliwość spotkania czytelnikami „Śląska” i osobistego przekazania choćby tylko krótkiej relacji o życiu i sytuacji cywilnej ludności Ukrainy, przede wszystkim kobiet. Zaproszenie zostało przyjęte. Współautorka naszego serialu przyjedzie do Katowic we wrześniu. Opowiemy także o planach związanych z naszą wspólną książką.

**13.06.** Dziękuję, Witku. Bilety dotarły i w najbliższy piątek będę mogła je wydrukować. Do września jeszcze sporo czasu, ale nie chcę tego odkładać na ostatnią chwilę. Nie ukrywam, że mam już okropną treść przed tym przyjazdem. No, trochę się boję, jak to będzie, ale mam czas, żeby się z tą myślą oswoić. A tutaj jak zwykle – rakiety i drony, ale nasza obrona w Dnipro dobrze sobie z nimi radzi. Natomiast w Krzywym Rogu, niedaleko od nas, rakietą spadła na budynki mieszkalne i są ofiary, 11 osób. A teraz potężny wybuch. Nie było syreny. Nikt nie wie, co się stało. Nie denerwuj się. Nie odzywałam się, bo jestem w drodze do domu i nie wszędzie mam zasięg. W dalszym ciągu nie wiadomo, co to było. Media informują tylko, że doszło u nas do wybuchu. ■



# Rosji nie można objąć rozumem...

TOMASZ SŁUPIK

Słynne słowa Tiutczewa: Rosji nie można objąć rozumem, Rosję można tylko pokochać, brzmią jak groźne *memento*. W kontekście najnowszej odsłony wielowiekowej tradycji autokracji rosyjskiej, czyli putinizmu, pierwsza część tiutczewowskiego szlagwortu pozostaje absolutnie aktualna. Kontynuując tę myśl, agresja Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 roku, w sposób jeszcze bardziej dobitny ukazuje rosyjski irracjonalizm.

Jednak historia przyciągania Zachodu przez Rosję ma swoją długą tradycję. Można ją datować co najmniej od epoki Oświecenia i nazwiska Woltera czy Diderota są tu symptomatyczne, wraz z ich fascynacją dla tamtejszej odmiany monarchizmu samodzielnego. Wywołanie mieszkańca Europy Środkowej uruchamia w głowie od razu ciąg skojarzeń związanych z często ślepym uwielbieniem dla Rosji ze strony elit Niemiec, Francji, czy Wielkiej Brytanii. Wystarczy przypomnieć wizytę Bernarda Shawa w Związku Radzieckim w szczytowym momencie głodu na Ukrainie, wywołanego opętańczą, stalinowską polityką uprzemysłowienia, który z całym przekonaniem stwierdził, że ZSRR jest modelowym krajem socjalistycznym, a jego mieszkańcom żyje się nawet lepiej niż w wielu krajach zaawansowanego kapitalizmu. Oczywiście ten wybitny autor został poddany klasycznej, sowieckiej manipulacji. Pokazano mu modelową, stworzoną przez tajną policję wieś, w której nie brakowało niczego, a mieszkańcy byli dobrze ubrani i odżywieni. Choć atmosfera terroru przenikała wszystkie aspekty ówczesnego życia i trudno uwierzyć, że izolowany podczas wizyty pisarz nie usłyszał lub zobaczył czegoś, co mogło wzbudzić wątpliwości i poruszyć jego sumienie.

Kategoria paputczika, czy jak to pogardliwie określał Lenin: użytecznego idioty, ma również długą, szczególnie w XX wieku intensywną tradycję. Świetnie opisuje to Boris Souvarine, porewolucyjny uciekinier z kraju proletariackiej szczęśliwości w swoich pamiętnikach. Pokazuje manipulacje tajnej sowieckiej policji politycznej Czeka. Werbowanie agentów spośród emigrantów rosyjskich we Francji, pozyskiwanie agentów wpływu,

którzy mieli przekonywać o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem, zaprzeczanie zbrodniom i terrorowi komunistycznemu w czasach rządów Lenina i Stalina. Czekiści wykonywali swoją robotę nader skutecznie. W latach pięćdziesiątych XX wieku (wtedy już kagiebiści) mogli zapisać na swoim koncie olbrzymi sukces. Udało im się zwerbować najbardziej wtedy znanego francuskiego intelektualistę Jean-Paul Sartre'a.

Zresztą Francois Furet, autor znakomitej książki „Przeszłość pewnego złudzenia” o uwodzeniu zachodnich intelektualistów przez sowiecki komunizm, sam musiał paść ofiarą takiego właśnie uwiedzenia, nim stał się jednym z najbardziej przenikliwych analityków i krytyków komunistycznej utopii. Rosyjskie ukąszenie, czy to w wersji heglowskiej, czy to w formie fascynacji silną władzą, czy wyjątkową kulturą ma się ciągle dobrze. Jego najnowsza odsłona miała miejsce w pierwszych dniach po rosyjskim ataku na Ukrainę. Nerwowe telefony prezydenta Macrona do Putina, zafasowana twarz kanclerza Scholza, któremu kilka tygodni zajęło przyznanie, że dotychczasowa polityka wschodnia Niemiec w kontekście agresywnej polityki rosyjskiej była kardynalnym błędem. To tylko najnowsze przykłady zachodniej fascynacji matuszką Rosją. Manipulacja, przekupstwo, kiedy potrzeba brutalna siła, czy bardziej subtelne techniki stosowane przez rosyjski wywiad GRU, pokazują skuteczność metod, które rosyjskie państwo, często w swym charakterze terrorystyczne stosuje wobec świata zewnętrznego od czasów opryczniny Iwana Groźnego.

Pewien mechanizm stosunku Zachodu do Rosji opisuje wydarze-

nie dosłownie sprzed kilkunastu dni – bunt Prigożyna. Określa się go mianem walk rywalizacji o władzę między różnymi odłamami tamtejszych elit, w momencie gdy państwo rosyjskie osłabione przeciągającą się, z punktu widzenia politycznego przegraną wojną z Ukrainą, może wejść w etap wewnętrznych turbulencji grożących jego rozpadem. Interpretacje tego zdarzenia na Zachodzie były najróżniejsze: od rychłego upadku Putina po klasyczną maskirowkę, gdzie Prigożyn miał posłużyć gospodarzowi Kremla do rozliczenia z nieudolnymi generałami, odpowiedzialnymi za klęskę rosyjskiej armii, w celu wzmocnienia jego władzy. Jak widać Putin przetrwał, choć bardzo osłabiony, państwo rosyjskie się nie rozpadło, krwawa wojna w Ukrainie nadal zbiera żniwo. Jednak w uszach uporczywie brzmią złowieszcze słowa Tiutczewa: Rosji nie można objąć rozumem... ■



# Lęk jako gatunek literacki (V)

PIOTR ZACZKOWSKI

*Skoro niebyt jest najlepszym spoczynkiem, bo najlepszym, idealnym brakiem wysiłku, to warto się dla niego męczyć z umiarem.*

Miron Białoszewski (*Tajny dziennik*)

**263** Wcześniej należy męczyć się pisaniem. Tym samym zdobyć się na pozory wierności sobie. Mimo że pogłoska o bólu z każdym dniem bardziej boli.

**264** Myśl o konieczności myślenia przeraża. Próbuje to przerażenie przyjąć jako znużenie, gotowy jest wykorzystać wszystkie dostępne skargi i lamenoty, lecz doskonale wie, że to nic nie da. Umiejętność odróżniania jednej formy nieobecności od drugiej (podobnie jak zdolność odczuwania samotności) zawdzięcza postępowi w ewolucji ssaków, od której wyroków nie ma odwołania.

**265** Dziennik miewa dużo zmiennych nastrojów i nawet jego lęki są niestabilne. Co pewien czas przechodzi z rąk do rąk, głosi sezonowe prawdy lub ukrywa je przed światem, a często, zrezygnowany, twierdzi, że wszystkie przebrane ze sobą da się odnotować jako zwycięstwa nad sobą.

**266** Jest się tylko tak znudzonym, zmęczonym i chorym, jak ostatnia nienapisana książka.

**267** Ze wszystkich cytatów zatrzymuje spostrzeżenie Viktora Klemperera, że dziennik to balansjer linoskoczka. Zdać sobie sprawę, że sentencji, zaproszonej do rozmowy, nie można już u progu pozabawiać pewnością siebie. Nadal jednak z niechęcią myśli o kaskaderach, którzy twierdzili, że każdy autor – bez obaw, dzielnie, wręcz brawurowo – poradzi sobie z ostatnią kartką w zeszytce.

**268** Prywatny, intymny katalog znaków, który formułuje zarzuty literackie, jeszcze nie jest literaturą. Śmierć fabuły zawieszono, rozłożono na tygodnie, miesiące i lata. Nie można mieć pretensji, że w końcu oderwie od czcionki Arial w połowie zdania, przed postawieniem kropki, wielokropka, przecinka, znaku zapytania (lub przed zamknięciem tego nawiasu).

**269** Zapiski autobiograficzne i samowystarczalne, upublicznione w miejsce dzieła, którego nie było, są (jako dar dla publiczności) śmiertelnym ryzykiem autora.

**270** Włoką się za nim niewyraźne cienie. Noszą maski z papieru, którzy zaczernili przedwcześnie. Jest przekonany, że najważniejsze to zapisać chorobę na siebie. W tym celu zapala wszystkie światła, rozbiera się do naga i zaprasza sąsiadów na herbatę.

**271** Ogłoszono wyprzedaż. Na stoisku z towarami dla dzieci można za bezcen kupić małe buty, ciasne plecaki, książeczki z obrazkami i wspomnienia, które straciły termin ważności.

**272** Ma dosyć, chce porzucić posadę w urzędzie, przegląda ogłoszenia o pracy. Wpisuje do wyszukiwarki: dziennikarstwo. Zwrotna oferta (z Gliwic) brzmi zachęcająco: „Wydawca magazynowy”. Przyszły zakres obowiązków: „obsługa wózka widłowego / dostarczanie komponentów operatorom maszyn na produkcji / prace magazynowe”.

**273** W nocy przychodzą nienapisane lęki i skrawki metafor, którym dłuży się czekanie na sen.

**274** Jak potoczy się strach? Czy strach w ogóle może się toczyć (jak strach Syzyfa)? Strach Syzyfa to lepszy tytuł niż na przykład notatki o lęku. Ale to jeszcze nie jest dobry tytuł.

**275** Wybierając styl pisania, wybiera się styl bólu. Kto tego nie wie, jest naiwny, głupi i mięczak.

**276** Świadomość wdzięczy się do zapisanych stronom o konkretnej liczbie znaków, a więc stron odpowiednio obciążonych i – jak z pychą świadomość opowiada – również wysoko wycenionych. Kiedyś z tej wyceny się nie podniesie.

**277** Dzień do przeżycia to nie polecenie wyjazdu i daleko mniej niż krótka notatka na odwrocie biletu.

**278** Wpatruje się w tarczę zegara. Chciałby, aby była jego tarczą i obroną, aby dzień po dniu, godzina po godzinie, chroniła dobre z natury, ale bardzo słabe uczynki. Chciałby, aby trwały rytuały i przesady. Komu da ostatnie wskazówki?

**279** Czyjaś ciekawość, naiwność i głupota podejdzie do grobu. Kreślę między dwiema datami nazwie pauzą albo nawet myślnikiem.

**280** Chłopiec, dla którego zabrakło śmierci, siedzi pod biurkiem, roni obfite łzy, a reszta wilgoci kapie mu z nosa. Ma zbyt dużą głowę i jeszcze wpakował do niej aż nadto kiepskich wierszy. Będzie pozbywał się ich z trudem i przez resztę życia, którego na to nie wystarczy.

**281** Już na pierwszej lekcji uczono nienawiści – nie pozwolono mu siedzieć z najlepszym kolegą – a stara kobieta w okularach źle wymawiała jego nazwisko.

**282** Szkoła to znużenie, które sprawdza obecność, ośmiesza i wymierza dotkliwe kary.

**283** Koleżanki planowały karierę matek, żon lub pielęgniarek. Większość rówieśników chciała grać zawodowo w piłkę. Lepiej zorientowani wiedzieli, że (jak ich ojcowie) pójdą do kopalni lub huty. Chłopiec, który zabił się pierwszy, marzył o ucieczce do dużego miasta, gdzie każdy prowadzi dziennik i pisze wiersze.

**284** Nie wie o sobie niczego. Jeżeli żaden brulion go nie odepchnie, wytrzyma tę niewiedzę do końca.

**285** Wódka jest lekiem o wielu tajemnych właściwościach. W spożywaniu pomaga zarówno pogodzenie się z eksperymentalną naturą życia, jak i skrupulatność oraz systematyczne zapisywanie efektów odkryć na arkuszach papieru. Wskazane jest zaskakujące, sprytnie, a nawet czułe dawkowanie, połączone z umiejętnym odliczaniem sobie czasu.

**286** W agonię trzeba wejść bez obrazy i jak do wnętrza obrazu.

**287** Co pewien czas wystarczająco pokorni, najbardziej zdolni urzędnicy otrzymują szansę awansu i trafiają na aukcję dyrektorów do uboju.

**288** Hipochondria – podobnie jak depresja – pozwala hodować własne nieprawdy i uczestniczyć jedynie w osobistych bólach. Jednak wmiawianie sobie chorób będzie w pełni skuteczne i widowiskowe wyłącznie wówczas, gdy nie zrezygnuje się z reżyserowania rzeczywistości. Cierpienie należy zadedykować publiczności, a jej współczucie można obserwować przy szeroko otwartej kurtynie,



odnosząc przyjemne wrażenia estetyczne i ulegając krzepiącym złudzeniom. Mimo wszystko osiągniętych efektów nie da się porównać z sukcesami pisania niedostępnego za zamkniętymi drzwiami.

**289** Są marzenia, które okaleczono przedwcześnie. Komu wystawią rachunek?

**290** Umieranie specjalizuje się w urządzaniu wnętrz mieszkań, które od nas odchodzą.

**291** Wprowadzono zarządzenie nakazujące wyposażyc każdą placówkę oświatową w gilotynę. Ceremonię uroczystego zakończenia roku szkolnego połącz się z egzekucją uczniów, którzy uchwałą rady pedagogicznej nie otrzymali promocji do wyższej klasy, wcześniej systematycznie wagarując, paląc papierosy i pijąc tanie wino. Zaszczyt uruchomienia noża przypadnie prymusom lub jednostkom wyróżniającym się aktywnością sportową, artystyczną, czy społeczną. Dyrektor zadba, by skazańcy przeprasili w ostatnim słowie nauczycieli, personel administracyjny i rodziców. Za szczegółowy harmonogram, dystrybucję zaproszeń i promocję wydarzenia odpowiedzialne będzie szkolne koło przedsiębiorczości.

**292** Kto nie doświadczył przebudzenia o trzeciej lub czwartej nad ranem i zwątpienia, z którego nie dałoby się podnieść, gdyby nie wódka, wypijana do nerwowo poganianej kawy lub herbaty?

**293** Gościniec to droga, szeroki trakt – brukowany, piaszczysty lub bity, a zatem odpowiednio ubity, utwardzony, wzmocniony. Wskazywanie, że drogą jest coś, co wcześniej drogą nie było, to gest ze sztuki przemiany świata i nadawania mu bardziej ludzkiego porządku. Gościniec będzie również przydomkiem podarunku, który przywiezie się z podróży i wręczy komuś – u kresu wędrowania bądź na progu domu. W pewnych jednak określonych wypadkach, po zwiedzeniu różnych światów, coś warto ofiarować nie innym, lecz sobie. Może lustro, w których przejrzymy się przez chwilę, utrudzeni, zdrożeni, więc jacyś inni, a przecież nadal niepewni, a jednak spokojni, bo bardziej wytrwali. Może fotografie, którym przyśniła się droga i teraz już przebudzone długo w nas się wpatrują, jakby na coś jeszcze czekały.

**294** Konwojenci bólu w jego głowie wybrali drogę w ciemności, wąskimi i zimnymi schodami. Nie umie

pojąć, po co schody w ciasnym labiryntcie.

**295** Ścianę wyklejono fototapetą. Kiedyś opowiadała o bezpiecznych wodospadach i bezczelnych kolarach. Po wielu latach posługi odpadają z niej ostatnie argumenty. Zanika linia podziału na dobre i smutne opowieści tej samej treści.

**296** Chciałby bać się strachem dedykowanym Bogu. Chciałby uwierzyć, że umierając uczyni światu dobrze.

**297** Nauczyciele byli jak dzieci. Na wszystkich lekcjach bawili się z dziećmi w wojnę.

**298** Na rumowisko płyt chodnikowych, krawężników, kostek, wrzucano pogięte tablice z nazwami ulic: Rynek, Korfantego, 3 Maja. Na złom zawędrowała także plakieta ulicy św. Jana. W każdym miesiącu naprawia się miasto, a święci patroni ulic dostają nowe wdzianka.

**299** Coraz więcej zdezonizowanych i zamurowanych okien. Nie wiedzą tego – bo nikt im nie powie – że mogą wreszcie odpocząć. Nie ruszając się z miejsca, otrzymały przywilej odwrócenia się od ludzi.

**300** Przebudził się z koszmaru, w którym był uczniem szkoły i równocześnie czegoś, może tej samej szkoły, dyrektorem. W obydwu rolach giął się od ukłonów przed życiem. Najwyraźniej z obawy, żeby nie dało po mordzie.

**301** Obrzydzenie do świata całymi dniami leżało w łóżku. Często tęskniło za tym szczęśliwym czasem, gdy zagryzało zęby i podejmowało pracę w manufakturze bólu.

**302** Czy jest wyobrazalna euforia, która nie spiskuje z depresją?

**303** W cieniu domów snują się smutni, zasępieni, niedożywieni ludożercy.

**304** Nie odciął pępowiny lęku. Pomyliła mu się z życiem, pracą i przygodą.

**305** Kreacja aktora powinna być pogłębiona nie tylko o gesty, ale i detale: ogień zapalniczki, papieros, palony bez pośpiechu, z rozmysłem. Jeżeli gra go znuży, niech rozluźni krawat, rozwiąże buty lub odrzuci własne ciało.

**306** Zmęczenie z rozmysłem podszywa się pod coś, czym nie jest. Co sobotę zszywa podarty tydzień. Dzięki temu kostiumów nie zabraknie do

końca życia lub przynajmniej do najbliższego poniedziałku.

**307** Nocna fotografia przypominała geometryczną abstrakcję. Gotów był uwierzyć, że to plan miasta, które na dłużej przyśni się przy bardziej sprzyjającej okazji.

**308** Gdy potkniemy się w drodze, nie okazujemy ani zmieszania, ani zniechęcenia. Niech nie poruszy się ukryta w sercu ucieczka. Zachowajmy powagę i zimną krew, sprawiajmy wrażenie, że wszystko jest w porządku, że straciliśmy rytm marszu z przyzwyczajenia lub dla zabawy, a być może nawet celowo, aby coś ważnego sobie udowodnić. Nie rozglądajmy się na boki. Nikt jeszcze nie wie o naszym wygnaniu. Warto wyregulować oddech, odmówić kameralną modlitwę, powtórzyć na głos tabliczkę mnożenia, zacytować kilka krzepiących aforyzmów bądź zanucić wesołą melodię. Wyglądajmy na zdecydowanych i bezwzględnie przekonanych o swoich racjach, na takich, którzy mocno stąpają po ziemi, a ona nie pali im się pod nogami. Którzy od dawna wiedzą, że strach ma wielkie oczy. Nie dajmy się sprowokować. Przepaście tylko na to czekają.

**309** Odłożono trąby i megafony. Nikogo nie wzywano. Aniołowie zesłi na ziemię, kontrolowali każdą dużą i małą nekropolię, nie pomijając beziemiennych mogił. Zmartwychwstańcom oddawali ciała i uczyli tańca utraconej śmierci.

**310** Zmęczenie jest słowem, które nigdy nie trwa wiecznie. Można w to wierzyć lub nie. Nauczycielowi, który wyrzuci wszystkich uczniów z klasy, będzie to obojętne.

**311** Już nigdy nie nawróci się na dzieciństwo – choćby każde słowo raz jeszcze potrafił pojąć i zdążył odowiedzieć wszystkie rozstania.

**312** Nauczyciel zetrze pot z czoła i zdejmie mundur konduktora. Już nie trzeba niczego odpisywać z rozkładu jazdy. Nie będzie więcej odpytywania z żadnej stacji. Można umrzeć naprawdę.

**313** Nieudani samobójcy wrócili nie wiadomo po co. Nic już nie przypomina tego, co było wcześniej (lub przynajmniej się wydawało). Co prawda dalsze poznanie siebie będzie ponownie umową bezterminową, ale ograniczoną jedynie do okresowych przeglądów technicznych.

# Ostatni akord sezonu artystycznego Opery Śląskiej

Operę Giacomo Pucciniego *Madama Butterfly* Opera Śląska zakończyła 78. sezon artystyczny. Był to niełatwy czas dla zespołów artystycznych i solistów, bowiem kapitalny remont sceny w macierzystej siedzibie zakończy się dopiero jesienią tego roku. Dlatego też na ostatnie w tym sezonie przedstawienie miało miejsce w jak zawsze gościnnym, Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach.

W spektaklu, który odbył się we wtorek 20 czerwca można było podziwiać znakomitych solistów m.in. w tytułowej roli Annę Wiśniewską-Schoppę, Annę Borucką, Łukasza Załęskiego – który z końcem sezonu artystycznego dołączył do zespołu solistów Opery, Stanisława Kuflyuka, Bogdana Kurowskiego, Jarosława Bieleckiego, Kamila Zdebla, Martę Huptas, Adama Woźniaka, Janusza Wenzę oraz Chór i Orkiestrę Opery Śląskiej pod dyrekcją Tomasza Tokarczyka – nowego kierownika muzycznego Opery.

Dodać trzeba, że Łukasz Załęski współpracę z Operą Śląską rozpoczął już w 2014 roku rolą Edgarda w *Lucji z Lammermoor* oraz Ruggera w *La Rondine* Pucciniego. Uznawany jest za jednego z najaktywniejszych polskich tenorów młodego pokolenia. W swoim repertuarze posiada ponad dwadzieścia pierwszoplanowych partii operowych i operetkowych. Regularnie występuje na niemal wszystkich

scenach operowych w Polsce, kreując role protagonistów. Latem 2022 roku zadebiutował na Bregenz Festival 2022 jako Pinkerton w premierowej produkcji *Madama Butterfly* G. Pucciniego i powróci do tej roli w 2023 roku.

*Madama Butterfly* to jedno z najslawniejszych dzieł w repertuarze operowym. Opowiada dramatyczną historię związku japońskiej gejszy Cho-Cho-San – tytułowej *Butterfly*, która wychodzi za mąż za Pinkertona, pułkownika stacjonującego w Nagasaki wojsk amerykańskich.

Spektakl pokazany na finał sezonu w Teatrze Śląskim przed laty wyreżyserował Henryk Konwiński, a scenografię zaprojektował Jan Bernas.

Podczas ostatniego w tym sezonie wieczoru po raz 13. zostały rozdane Statuetki Opery Śląskiej, które są wyrazem szczególnego wyróżnienia i uznania. Otrzymują je osoby, bądź instytucje m.in. za wyróżniającą się działalność na rzecz Opery Śląskiej, promowanie jej wizerunku, współpracę organizacyjną i artystyczną z Operą, długotrwałe wspieranie wydarzeń kulturalnych, a także upowszechnianie oferty kulturalnej. W tym roku nagrody zostały przyznane siedmiu laureatom. W kategorii Przyjaciel Teatru – za współpracę oraz pomoc w prezentacji wydarzeń artystycznych podczas remontu sceny Opery Śląskiej w ramach projektu Opera on tour – statuetki otrzyma-

li: Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego (w imieniu dyrektora Roberta Talarczyk statuetkę odebrał zastępca dyrektora Bogusław Jasiok); BECEK Bytomskie Centrum Kultury i dyrektor Małgorzata Kamińska-Gola); Teatr Miejski w Gliwicach i dyrektor Grzegorz Krawczyk); Chorzowskie Centrum Kultury i dyrektor: Tomasz Ignalski; Pałac Kultury Zagłębia i dyrektor Grzegorz Drygała.

W kategorii Meloman Roku nagrodę otrzymał Dominik Zdebek za promocję repertuaru oraz regularne uczestnictwo w wydarzeniach artystycznych Opery Śląskiej.

Nagroda specjalna została przyznana prof. Janowi Ballarinowi za blisko 60-letnią działalność artystyczną, wybitne osiągnięcia pedagogiczne oraz godne reprezentowanie Opery Śląskiej na scenach operowych.

Nagrody są przyznawane od 2010 roku. Statuetki powstały wg projektu Magdaleny i Jacka Wichrowskich z galerii Stalowe Anioły.

Wielkimi krokami Opera Śląska zbliża się do końca remontu, aby już jesienią zaprosić na wielkie otwarcie i rozpoczęcie kolejnego sezonu. Tymczasem w okresie letnim artystów bytomskiego teatru będzie można oglądać na licznych festiwalach m.in. na 25. Międzynarodowym Festiwalu Tańca im. O. Sawickiej w Łądku-Zdroju, 56. Festiwalu Jana Kiepury w Krynicy-Zdroju oraz XVII edycji Festiwalu BRAVO MAESTRO w Kąsnej Dolnej. (wk)



fol. Opera Śląska/Karol Tatyga





# Don Pasquale, Malicki i Nawrot w Busku-Zdroju

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Wybrałem się na 2 dni na XXIX Międzynarodowy Festiwal Muzyczny im. Krystyny Jamroz w Busku-Zdroju na zaproszenie dyrektora Artura Jaronia. Mam do tego wydarzenia duży sentyment, ponieważ przez wiele lat przyjeżdżaliśmy do Buska z zespołem Gliwickiego Teatru Muzycznego, prezentując tam operetki i musicale, zawsze przy pełnej widowni. Warunki były siermiężne, ponieważ spektakle odbywały się w hali sportowej, ale nikogo to nie zrażało.

Tym razem zasiadłem w wygodnym pluszowym fotelu w czerwonym kolorze na widowni Buskiego Samorządowego Centrum Kultury. Trudno było tylko wytrzymać, siedząc 2 lub 3 godziny w dusznej sali. Brakuje tam klimatyzacji. Pozytywną sprawą jest natomiast orkiestron. Dzięki temu można prezentować na buskiej scenie przedstawienia teatralne i muzyczne ze sporą scenografią i obsadą. Strzałem w dziesiątkę była prezentacja na inaugurację festiwalu opery komicznej *Don Pasquale* Gaetano Donizettiego. Był to operowy debiut reżyserski Jerzego Stuhra. Poradził sobie z tym niełatwym zadaniem znakomicie, wydobywając wiele zabawnych, wręcz farsowych sytuacji z libretta Giovanniego Ruffiniego.

Na scenie oglądamy komiczne postacie z tytułowym *Don Pasquale* na czele. Stary lubieżny bogacz postanawia ożenić się z młodą dziewczyną. Intryga jest dość zagmatwana, ale żwawo zmierza do optymistycznego finału. Podziwiałem wy-

marzoną wręcz obsadę do tego przedstawienia. W tytułową postać wcielił się brawurowo znakomity śpiewak Grzegorz Szostak (pochodzący z województwa świętokrzyskiego). Świetny był również Adam Sobierajski jako chwilami sentymentalny, ale pełen dobrej energii Ernesto. Znakomita wokalnie i aktorsko była Paula Maciołek jako jego ukochana Norina. Michał Kutnik zaprezentował się jako pełen temperamentu Doktor Malatesta, nakręcający całą intrygę jak sprężynowy zegarek. Jerzy Wójcik jako Notariusz stworzył też sympatyczną rolę. Orkiestra Opery Krakowskiej pod dyrekcją Vladimira Kiradijewa brzmiała nadzwyczaj dobrze. Wielkie wrażenie zrobiły sceny zbiorowe z udziałem chóru i baletu. Warto pochwalić także dobrze dopasowane do tematu i akcji dekoracje Alicji Kokosińskiej (córki Małgorzaty Walewskiej) oraz imponujące kostiumy Marii Balcerek.

Kolejny wieczór należał do Waldemara Malickiego. Przyznaję, że nie odpowiadały mi jego kabaretowe „szoty” pokazywane w telewizji i eksploatowane komercyjnie w dużych salach koncertowych. Dobrzy znajomi z prezesem Zbigniewem Napierałą na czele przypomnieli mi jednak o jego wyjątkowych osiągnięciach i wspaniałej biografii artystycznej z okresu wcześniejszego. Współpracował z plejadą gwiazd: Stefanią Toczyską, Teresą Żylyś-Garą, Andrzejem Hiolskim. Grał też z Konstantym Andrzejem Kulką i Kwartetem Śląskim. Otrzymał 3 nagrody Fryderyk. Wspaniała była jego

płyta z muzyką Karola Szymanowskiego i współudziałem Piotra Pławnera.

W radiowej Dwójce trafiłem na świetny cykl jego porannych sobotnich audycji (od 10.00 do 12.00) *Upiór w eterze – Waldemar Malicki Show*. Artysta ma niesamowitą wiedzę z zakresu historii muzyki i specyficzne poczucie humoru, czasami absurdałne. Dlatego z ciekawością przyjechałem na jego recital zatytułowany przewrotnie *Waldemar Malicki Show*.

Artysta biegle i ekspresyjnie gra na fortepianie, równocześnie z łatwością i precyzją. W pierwszej części nie było utworów pod publiczność, lecz pojawił się wysublimowany repertuar: Rameau, Mozart, Grieg w przeróbkach Cunhy, Liszta i Ginzburga, a do tego trzy utwory Saula Cosentino i Philippa Glassa. Festiwalowi melomani powinni być usatysfakcjonowani. Po przerwie był interesujący „show”. Malicki zabawiał się własnymi przeróbkami utworów i wspaniałą improwizacją, aby pokazać ewolucję muzyki od renesansu, poprzez barok, klasycyzm, romantyzm, aż do współczesnej muzyki sonorystycznej. Słynnym przykładem tej twórczości, polegającej na odkrywaniu dźwięków zamiast konstruowania melodii i harmonii, był *Tren. Ofiarom Hiroszimy* Krzysztofa Pendereckiego. Pianista otrzymał wielkie zasłużone brawa i udowodnił, że nie musi mieć dodatków ludzkich i scenograficznych, ponieważ sam broni się na scenie znakomicie.

Miłe popołudnie spędziłem w pięknym parku w Busku-Zdroju, którego centralne miejsce zamieniono w imponujący ogród różany. W muszli koncertowej blisko sanatorium Marconi wystąpiła Buska Orkiestra Zdrojowa, którą prowadził zza fortepianu Paweł Korepta. Repertuar był bardzo urozmaicony. Zachwyliła publiczność młoda, wspaniała sopranistka – Joanna Nawrot, pochodząca z Buska-Zdroju, a obecnie mieszkająca w Gdańsku. Zabrzmiały nieśmiertelne utwory Straussa, Kalmana i Lehara oraz takie hity jak *La Spagnola*, *Przełtańczyć całą noc* i *Time to Say Goodbye*. Orkiestra zagrała walc *Nad pięknym modrym Dunajem*, polkę *Pizzicato*, *Trisch-Trasch*, a także wspaniałe tango *La Cumparsita* Rodrigueza. Duże emocje wzbudziło wykonanie utworu *Ragtime Vabank* obecnego na widowni kompozytora Henryka Kuźniaka. Tegoroczny festiwal miał bardzo rozbudowany program, składający się z 28 koncertów w Busku-Zdroju oraz innych miastach województwa świętokrzyskiego. Za rok przyjadę tam na dłużej. Ciekaw jestem, kiedy uda się zbudować salę koncertową przynajmniej na 800 miejsc. Myślę, że miasto z taką wspaniałą muzyczną tradycją na to zasługuje.

fot. Krzysztof Korwin-Piotrowski



Opera komiczna *Don Pasquale* Gaetano Donizettiego - debiut reżyserski Jerzego Stuhra



## ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

# „Kieby nie te kieby...”

Przywołany już w tej rubryce prof. Andrzej Pisowicz z Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybitny armenista i iranista, kolega ze szkolnych tarnogórskich lat, przypomniał mi niedawno temu zabawną śląską rymowanekę: „Kieby nie te kieby, mieliby my złote łeby”.

I choć dźwięczą nam w uszach słowa znanej pieśni „Gdybym to ja miała skrzydełka jak gąska” – zwłaszcza jej wersji w opracowaniu Stanisława Hadyny i wykonywanej przez Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” jego imienia, dobrze wiemy, że typowym śląskim odpowiednikiem standardowego, ogólnopolskiego *gdyby*, *jakby* jest właśnie *kieby*: „Kiebyś prziszoł wczoraj, dostołybś świżyże krupnioki ze świniobicio”, „Kieby niy tyn twój szac, tobych prziszoł do ciebie na zolyty” – czytamy na s. 100. „Małego słownika gwary Górnego Śląska” z roku 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec. Leksykon ten rejestruje także warianty owego *kieby*, a mianowicie *keby* i *keć*.

Znajdujemy *kieby* także na s. 153 „Podręcznego słownika dawnej polszczyzny” z roku 1968 Stefana Reczka – w cytacie z XVII wieku: „Kieby m stąd odjechawszy, dopiero się mściła”. Możemy zatem umieścić to słowo na jakże długiej liście staropolanizmów.

Dopisujemy również do niej obecne w „Małym słowniku...” na s. 100. charakterystyczne śląskie *kiej*, *kijj*, *kie*, *kej* – „kiedy, gdy” („Kiej już dorosna, to się kupia fajfka”) oraz *kiej indzi*, *kej indzi* – „kiedy indziej” („Kiej indzi do

wos przida, bo dzisiaj niy moga”).

W tej serii morfologicznej mieszczą się także śląskie *kiela* – „ile, wiele” („Kiela my się nanosiyli za młodu kartofli z pola, a teraz ci przywieszóm na plac i jeszcze śniesóm do pywnice”) i *kielanoście*, *kielanołście*, *kelanoście*, *kelanołście* – „kilkanaście” („Kelanoście fur słomy my wymłóciyli”).

Z przytoczonych zaś wyżej zdań z ciekawymi formami leksykalnymi można też wyłowić bardzo charakterystyczne dla naszego regionu postacie gramatyczne.

I tak w przywołanej na początku żartobliwej rymowance mamy mianownikowe pluralne łeby, oczywiście – rytmicznie zgrane z *kieby*, ale będące zarazem wiernym odtworzeniem codziennych śląskich zachowań gramatycznych. Odzywają przecież w mojej pamięci – tak jakby to było wczoraj – chociażby pełne ekspresji okrzyki kierowane przez rodziców z okien do bawiących się na podwórku dzieci: „jak się spóźnicie, to wóm łeby pourywón!”. Czasem – zwłaszcza w czasie zmagania piłkarskich – koledzy „łebami się strzaśli”, a i w formach liczby pojedynczej to „e” nie zniknęło: łeba, łebem, w łebie.

Tylko dla porządku dodam, że w języku ogólnym, standardowym rzeczownik łeb w odmianie samogłoskę „e” gubi: łba, łbem, we łbie, łby („łby wam pourywam”), łbów, łbami, we łbach.

Ale muszę dopowiedzieć i to, że w mowie śląskiej obok męskiej postaci łeb można spotkać wariantowe brzmienie rodzaju żeńskiego

(*ta*) łeba – tak jak w parach (*ten*) łógórek – (*ta*) łógórka czy (*ten*) szalot – (*ta*) szalota.

Na koniec wróćmy do zdania zacytowanego za „Małym słownikiem gwary Górnego Śląska”: „Jeszcze śniesóm do pywnice”, czyli – w języku ogólnym – „jeszcze zniosą do piwnicy”. To prawdziwa perełka historycznojęzykowa! – nie waham się, by tak powiedzieć. Można by ją śmiało wykorzystywać w czasie egzaminu z gramatyki historycznej języka polskiego. A dlaczego?

Zacznijmy od czasownikowej formy śniesóm – „zniosą”. Dzisiejszy dźwięczny przyimek i przedrostek „z-” był najpierw bezdźwięczny i takim pozostał w innych językach słowiańskich, por. np. czeskie *s tebou*, rosyjskie *s tobój*, rosyjskie i słowackie *s nami*, czeskie *seszkrabat*, *setržit* – odpowiedniki polskich form z *tobą*, z *nami*, *zeskrobać*, *zetrzeć*. W śląskich brzmieniach typu śniesóm, *sniesom* – tak jak *słozyc*, *słazić*, *sleżć*, *slecieć*, *ślecieć*, *sjechać* („zniosą, złożyc, złazić, zleżć, zlecieć, zjechać”) – ta bezdźwięczność trwa do dziś!

Z kolei miękkotematowe rzeczowniki rodzaju żeńskiego miały na początku w dopełniaczu końcówkę „-e”: ze *ziymie*, z *prace*, do *ciocie*, od *babcie* (współczesne z *ziemi*, z *pracy*, do *cioci*, od *babci*). Przykłady te zasilamy przywołanym wyrażeniem *do pywnice* („do piwnicy”), by w ten sposób wypełnił się rejestr opisanych dziś śląskich skamielin leksykalno-gramatycznych. ■

# Didaskalia do rodzinnego portretu

– Wiecie co, nasz syn Janusz jest niewątpliwie zdolnym człowiekiem – mówił wuj Dolek do moich rodziców. – Ma dopiero trzydzieści lat, a zalicza już pierwszy fakultet i niezmiernie lubi jeść.

– Ależ Dolu – ciotka wydawała się skonfundowana.

– On jest również genialny – nie dawał się zbić z pantałyku wujek Dolek. – Będąc ostatnio w Warszawie, spotkałem Andrzeja, który jest przecież znakomitym pracownikiem naukowym. Pożyczył ode mnie pięć tysięcy złotych i stwierdził ponad wszelką wątpliwość, iż Januszek jest genialny.

– Dolciu – próbowała mitygować ciotka – nasz kuzyn Andrzej jest przecież w szkole rolniczej, a Januszek w SGPiS-ie.

– Melu, to przecież nie ma żadnego znaczenia. O ludziach genialnych zawsze jest głośno. Nawet w stolicy.

– Jedzcie, jedzcie – zachęcała Mela – korniszony, szynka. Zaraz podam coś na gorąco.

– Dolciu, nalej kuzynostwu wina.

Siedziałem zgębniony. W oddali za oknem pojawiały się rude dymy pełzające nad hałdami. W pokoju wąskiej, secesyjnej kamienicy panowała niczym nie zmącona atmosfera rodzinnej szczerości. Wujek Dolek przyglądał lekko nawoskowanego węża, wyciągnął z kieszonki zegarek na złotej dewizce, który zaczął wycinać kuranty.

– Anzelmie – powiedział do ojca wuj Dolek. – Twój syn będzie niewątpliwie kimś, byle tylko szybko odbył te egzystencjalne kłopoty. Na stół podano gołąbki pod beszamelem.

– Wiesz co, Anzelmie – kontynuował wujek Dolek pomiędzy kawalkami gołąbków – jestem człowiekiem skromnym, a popatrz, twój syn, Januszek, się wybił. To kosztuje, ale to nie jest przecież najważniejsze. Coś tam jeszcze zostało. Ciotka Mela niecierpliwie poruszyła się na stołku.

Chwilę jedliśmy w milczeniu.

Oczki wuja Dola umieszczone za cwikierami nagle zabłyśły dziwnym blaskiem.

– Może wasz przebrzydły, gruby synalek coś jeszcze zeżre – zawarczał.

Tak zwykle kończyły się imieniny ciotki Meli. Wuj Dolek dostawał podwójny zastrzyk uspokajający, po czym był kładziony spać. Pokażny brzuch Dola podnosił się miarowo. Ciotka Mela mówiła zdławionym głosem: – To od Verdun, jak mu pikielhaube zerwało z głowy, potem popadł na tumor mózgowy. I tak już do dziś ...

Moja siostra zapamiętała biła mnie w łeb. Zegar ukryty w kamizelce wuja Dola cicho wydzwaniał kuranty.

Następnie pojawił się wuj A., tak go nazywałem, bowiem był pierwszy na liście ze względu na systematycznie uzyskiwane osiągnięcia. Co prawda, kiedy go poznałem miał podarte gacie i wytartą jesionkę, ale coś z wielkości w nim było. W domu przy cichej uliczce sąsiedzi mówili do niego szeptem: Panie ministrze. Chodził, jak już wspominałem, w podartych gaciach, które preraźliwie wisiały na jego czterdziestu kilogramach nie za bardzo żywej wagi. Mimo to uznawał się za ostoję demokracji. W pięknej dębowej szafie wisiał czarny żakiet, sztuczkowe spodnie, lakiery, biała koszula ze sztywnym gorsiem i stosowny krawat. Ciotka D. mówiła w przepływie szczerości, iż ten fragment szafy przejdzie do historii rodziny. Bowiem wedle przekazu ciotki, cała ta prześliczna garderoba znalazłaby się na wuju A. a teka z kolejącej skóry zawierająca jeden dokument – nominację na ministra.

Wuj A. zmarł. Szafa została zamknięta, ma być otwarta zgodnie z jego wolą i brytyjskimi ciągotami wuja – za lat trzydzieści od daty zejścia A.. Ma również zostać otwarta teka, w której zamknął nie długo przed śmiercią swój polityczny testament.

Ciotka D. była nieszczęśliwa poznawszy rotmistrza E. z drugiego pułku strzelców konnych. Nie, przepraszam, był z pierwszego

szwoleżerów, czego dowodem była okrągła czapka, a nie rogatywka. Rotmistrz E. zaważył na życiu ciotki D. w sposób niebagatelny. Ten utalentowany i na niczym nie znający się człowiek w niespełna średnim wieku zakochał się w ciotce D. na zabój. A miał w kim – zwłaszcza, jeżeli chodziło o sprawy podstaw egzystencji. Zakupienie przez ciotkę pakietu akcji w połowie lat trzydziestych okazało się niezwykle korzystnym pociągnięciem. Dywidendy od wspomnianych pozwalały utrzymać na niezłym dom w R.. Była to piętrowa willa posiadająca dwanaście pokoi. Na zapleczu ogrodu stał obszerny dom dla służby. Był również garaż wypełniony prześlicznym cadillakiem, model bodajże 25: ostro chromowane części, kryształowe popielniczki oraz Ignacy (szofer) w ciemnopopielatej liberii (bez szamerunku w okrągłej czapce, sztybletach i rękawiczkach). Ignacy był niezwykle istotnym nabytkiem, posiadał bowiem niezwykle zmysł handlowy. Prawdę mówiąc, wszelkie operacje na giełdzie on załatwiał. Ciotka D. miała z nim układ, na podstawie którego Ignacy wchodził równocześnie z ciotką w posiadanie pakietu akcji, oczywiście proporcjonalnie mniejszego.

Tak więc rotmistrz E., człowiek romantyczno-praktyczny, został kandydatem na męża D.. Jednakże rotmistrz musiał być zaakceptowany przez rodzinne gremium, składające się z hieratycznej matki, brata, siostry, dwóch kuzynów – właścicieli ziemskich. Burzliwe to forum zebrało się w obszernym biedermeierowskim salonie na parterze. Twarze antenatów, których portrety wisiały na ścianach salonu, nic oprócz znamienitej bezmyślności. Podobne spoczywały na korpusach obecnych usadowionych wygodnie w fotelach.

Przyszłego sukcesu erotycznego ciotki D. upatrywano w jej długim nosie. Anzelm, brat D., widział go raczej w nagniotkach na prawym śródstopiu D., co miało związek z pewnymi perwersyjnymi skłonnościami rotmistrza E.. Ta ostatnia sugestia została odrzucona w sposób jednoznaczny, zwłaszcza przez matkę i kuzynostwo ziemiaństwo.

Głośna, burzliwa dyskusja w salonie wykazała, iż istnieją przesłanki, żeby traktować propozycję rotmistrza jako nie pozbawioną cech merkantylnych. Ciotka D. poinformowała E. o decyzji gremium rodzinnego, grając na niezłym fortepianie kameralnym.

Po powrocie do kwatery szwoleżer E. wygarnął do siebie z pistoletu. Chciał niewątpliwie zakończyć życie strzałem w głowę, jednakże na skutek podniecenia kula przeszła mu gardło, w wyniku czego doznał uszkodzenia strun głosowych. Tembr komend wydawanych przez rotmistrza miał jeden ton: było to wysokie C.. Po jednej z rewii przed marszałkiem, w Ministerstwie Spraw Wojskowych stwierdzono, iż wydawanie komend dzielnym szwoleżerom przynosi ujmę kawalerii i rotmistrz został przeniesiony na stan spoczynku. Ciotka D. w jakiś czas potem wyszła za mąż z A. i wniosła go na ręce do błękitnej sypialni z kaukaskiej brzozy.

Podlaskie błota nie są tak wielkie i niezmiernie jak poleskie, ale babcia K. urodziła się właśnie wśród nich. Był to czas o pozytywistycznym raczej nastawieniu. Pradziadek W. człowiek o szerokich koligacjach na tych laskach i błotach, płodził Polaków w ilościach wystarczających do zaludnienia dość sporego terytorium. Babcia K. była bodajże szesnasta z kolei. Nie przelewało się w domostwie, które nie przypominało schludnych poznańskich dworców. Sytuacja zmieniła się dramatycznie. W związku z tym babcia K., jako przedstawiciel rodziny udała się do Ameryki. Na parowcu wyruszającym z Kłajpedy miała jeszcze w uszach krzyk. Krzyk Kozaka, którego jej niespożyta matka zatłukła razem z gumienym. Zaszłości bagiennego krajobrazu. W Ameryce funkcjonowały już maszyny do szycia Singera.

– Witaj Ameryko – powiedziała babcia K. spoglądając na Statuę Wolności z zatłoczonego emigracyjnymi wyrzutkami pokładu niemieckiego parowca. Prócz wołów w Chicago najważniejszy był Singer. Siadła więc babcia K. przy maszynie. Tak przesiedziała pięć lat, by potem przy pomocy dziarskiego endeka jakim był mój dziadek, popularnie zwany J.splodzić kilkoro dzieci. Proweniencja dziadka J., bowiem za sobą miała rozdział: „Kto będąc w kolebce łeb urwał Hydrze” W związku z czym umiała racjonalnie oddzielić

patriotyzm od przebrzydłego nacjonalizmu. Dziadek J. kupił dwa orły albinosy, które siedziały w klatce i żarły nieprawdopodobne ilości mięsa. Babcia K. wyznawała zasadę, iż najważniejszą w patriotyzmie są pieniądze. Przez dwadzieścia lat siedziała w tym zabitym deskami Chicago. Po dwudziestu latach wyjechała ze swoim endekiem do Polski. Za własnej roboty gorsetem miała niezłą sumkę w niezłych dolarach.

Zupełnie byłoby dobrze, gdyby nie fakt, iż dziadek zwany J. zechciał kupić fabrykę mydła. „Zielone” zamienił był na marki polskie. W krótkim więc czasie został dłużnikiem i wierzycielem zarazem, gdyby był relatywnie to nic by się nie stało, nie był nim jednak, więc w krótkim czasie trafiła go dewaluacyjna apopleksja. Z takiego to mieczo – kądzieli wywodzi się ostatnie pokolenie. Ludzie skromni, coraz dalsi od mitów i mitycznych postaci funkcjonujących w dychawicznym romantyzmie dni naszych. My jesteśmy inni i zaczęliśmy się zastanawiać, jak to pięknie było piętnastego sierpnia roku wiadomego.

## „54”

Łagodność poranka przerwało przypalanie się mleka. Pies wył, ja szczyrzyłem zęby usiłując się ogolić. Ból, dominujący ból w śródpiersiu, mleko nadal się przypalało, byłem stanowczy, niech Katarzyna wie (to moja córka) – nie mogę się zdecydować na jej niezależność, polegającą na niedostrzeganiu przypalającego się mleka. Mleko się przypalało.

- Katarzyna ma zamiar produkować przypaloną kazeinę?
- O rany, tato, co się stało, czuję jakiś straszliwy śwąd?
- To mleko.
- No tak, zgadzam się, kazeina jest z mleka, cholera, chyba będę musiała wstać.

Szalałem w wypełnionym pianą do golenia pokoju łaziennym i szlag mnie trafił, Katarzyna była mną, tak bardzo mną.

- Tato, czy wywalił garnek na śmietnik?
- Katarzyna raczej to zrobić, dziecko musisz to zrobić.

Zaciąłem się jednorazowym wilkinsonem, miałem 54 lata i wylem, to wszystko doprowadzało mnie do rozpacz. Zupełnie dorosły mężczyzna i córka.

– Tato, wyrzuciłam już garnek na śmietnik, to znaczy do zsypu, ale się zatkał i strasznie tam śmierdzi. Czy w naszej rodzinie byli lubieżnicy?

Goliłem się z narastającą rozpaczą, był piękny majowy dzień, a ja zastanawiałem czy w naszej rodzinie byli lubieżnicy.

- Katarzyna wie, co to za pytanie?
- Tak, tato, drażliwe.

Skończyłem się golić. Kilka kropel „Blue Stratos”, zacięcia palicy, nos drażnił zapach przypalonego mleka.

– Chcesz tato tosty?  
– Tak – odpowiedziałem machinalnie, wiedząc, że to wszystko może skończyć się pożarem białego lecytynowego chleba w tosterze.  
– Cholera przypaliły mi się tosty, nie masz, tato, do mnie pretensji?  
– Nie, przecież istnieje, a to największy mój sukces od porodu twojej babki. Nie lubię tostów, mam coraz bardziej delikatne zęby i tosty powodują pewne udręczenie.

– Dobrze, tato – głos Katarzyny dobiegał z pokoju łaziennego – kąpię się, nie przeszkadzaj sobie, zrób mnie też śniadanie – owsiankę, jajko na miękko i trzy łyżki kielków pszenicznych z sokiem cytrynowym. Chleba nie jem, strasznie tyję. Co z tymi lubieżnikami?

– Nic, na pewno byli w rodzinie, wręcz musieli być, bo część z nas była niezmiernie ascetyczna. W przyrodzie musi istnieć równowaga, bo cóż by było z prokreacją.

– Zgadzasz się, tato, lubieżnicy są przecież bardziej ujmujący od ascetów. Wiesz, nie wiem, czy mogę to mówić dorosłemu ojcu, ale miewam lubieżne sny.

Nie byłem zdziwiony, przygotowywałem porridge, nie znoszę gotowanej owsianki, chociaż po niej defekacja jest znakomita.

- Tato, mów głośniej, bo nic nie słyszę, kąpię się!
- To do siebie, Katarzyno – krzyczałem.

Wyleciało mi jajko, które ugotowałem dla niej na miękko. –

Strzasło mi się twoje jajo, może chcesz tosty z dżemem ananasowym z dyni?

- Nie, chcę jaja, jaki ty jesteś nieporadny!
- Poniekąd, nie mam jajek.
- To może być dżem ananasowy z dyni, ale na grahamie, od dziesiąt – weszła do kuchni – kończę z lubieżnością w jedzeniu.

Śniadanie było gotowe. Pies zeżarł rozbite jajo razem ze skorupą. Siedliśmy naprzeciw siebie w ładnych bambusowych fotelach, które kupiłem z honorarium uzyskanego za prace hydrauliczne, bowiem popyt na nie był ogromny.

Hydraulika stała się moją drugą naturą. Tę konstatację przeżywała Katarzyna.

– Czy lubieżność osobnika X ma wpływ na jego język potoczny?  
– Tak, niewątpliwie tak, chociaż mogę tylko przypuszczać, bowiem w naszej rodzinie lubieżność kogoś była raczej skrywana, a ja pomimo pewnych, zaznaczam, pewnych skłonności, nie mogę o sobie powiedzieć, iż byłem lubieżnikiem. Lubieżność semantyczna, czy semantyka lubieżności. Cieszę się, że interesuje cię to w takich właśnie kategoriach.

- Wręcz przeciwnie, chcę wyjść za mąż.
- Czyżby za Morawię?

– No cóż, wydaje mi się moralistą lubieżnym.  
– To jest odkrywcze, tak niewątpliwie odkrywcze. Jedz trochę więcej, musisz jeść więcej, zresztą wyjdź za mąż, tylko ja nie wiem jak mam być pomocny w wyjściu za mąż, prowadzić cię do ołtarza?

– Nie, po prostu przekazałam pewną informację, mającą jak mi się wydaje określony ciężar gatunkowy.

Dojadaliśmy śniadanie, które doprawdy nie było lubieżne kulinarne.

– Posiedmy, tato, trochę razem przy stole – dawno nie siedzieliśmy razem i nie prowadziliśmy rozmów, które przecież mnie skierowały na socjologię.

– Zgadzasz się, kochanie, tylko że ja muszę zaraz wyjść z domu, mam położyć dzisiaj kilka metrów kwadratowych glazury, następnie mam seminarium z dwoma przemiłymi studentami, potem jeszcze muszę sprawdzić, czy glazura nie odpada. Facet, u którego to robię jest chamem.

- W domu będziesz wieczorem, dasz mi kilka tysięcy?
- Tak, socjologia jest piękną dziedziną wiedzy.

– Na prowincjonalnym uniwersytecie też?  
– Zwłaszcza. Kto wyjdzie z psem?  
– Nie przeżyję, jak zrobi mi kupę na biurku, zwłaszcza że seminarium mam w domu, bo u mnie w gabinecie kładą płytki nad umywalką. Miałbym ochotę wydawać kwartalnik „Rozkosze socjologii”.

– Na tym prowincjonalnym uniwersytecie?  
– Tak, oczywiście, prowincjonalizm, kameralność, to przecież same zalety stąd już tylko krok do pełnej wolności naukowej.  
– No dobrze, tato, ale nie dogadaliśmy się o lubieżności w naszej rodzinie.

– Cholera – zakląłem – to jest kłopotliwe zwłaszcza że nigdy nie zajmowałem się tym zagadnieniem. Matka mówiła mi o fetyszyzmie występującym cyklicznie u wuja Aleksandra, ale on był rzeźbiarzem. Id z psem, Katarzyno, ja zajmę się tą sprawą, przyrzekam.

- No i te kilka tysięcy?

Staliśmy naprzeciw siebie, była tylko niewiele niższa ode mnie.  
– Ładna nie jesteś, ale masz ujmujący uśmiech, synonim twojej niewinności, no taki normalny miły niewinny uśmiech.

– Niewinny uśmiech, synonim niewinności – zaśmiała się.  
– No, może nie tak, zgadzam się z tobą, perwersja to przecież, kochanie, tylko zewnętrzne oznaki nieistotne w istocie.

Zerwałem się i chodziłem po tym naszym największym pokoju, pełen niepokoj. Śniadanie, mam 54 lata – sumowałem to wszystko w sposób beznamiętny – więc dlaczego niepokój? Dotykałem tylko wrażeń, które wydawały się godne analizy, ten sam schemat proponowałem swoim uczniom, byłem wtedy inteligentnym sofistą, człowiekiem, który żyje w świecie własnych wartości. Wyjście poza nie było zbyt wielkim wysiłkiem. Katarzyna sprawiła, iż ciężar ten uzmysłowiłem sobie z całą siłą. Musiałem zdawać sobie sprawę z odmienności ludzkiego myślenia. Może nawet to nie było takie istotne, tylko wyjście poza schemat. Straszliwa siła tej



konstatacji przypisała mi o blysk geniuszu. Od początku byłam po prostu durniem. Ale, czyż stwierdzenie tego faktu postawiło mnie poza nawiasem durniów? Ten przebrzydły pies wył i najwidoczniej chciał pogryźć profesora Paję, człowieka z gruntu łagodnego. Skrzyknęły drzwi, stała w nich Katarzyna z bólem w oczach.

– Racuch pogryzł prof. Paję.

– To było do przewidzenia – byłem wściekły – Racuch przecież nie znosi prof. Pai, ten bowiem dokonuje eksperymentów na psach, więc dla tego Paja jest dla Racucha czymś na kształt hycła, jednakże ten pies ma niesamowity dar odróżniania raka od rakarza. Rakarza by nie pogryzł, a Paję tak, bowiem Paja ma głębokie poczucie winy tego, co robi z tymi biednymi zwierzętami, natomiast hycel nie uważając, że jest sumieniem społeczeństwa ludzi wobec społeczeństwa psów, trzeba będzie zapłacić za spodnie.

– On był w slipach.

– To za slipy.

– Slipy ma całe, tylko łydkę nadgryzioną.

– Dostaniesz te kilka tysięcy, tylko załatw z Pają.

– Nie mogę, miałam z nim nieudany romans.

– Muszę stwierdzić, iż to nie zaskoczyło mnie, czy stąd lubieżne sny?

– Chyba tak, mam poczucie winy.

– Wobec mnie?

– Nie profesora Pai, on był taki łagodny, tkliwy i miał poczucie winy wobec ciebie dlatego ten romans musiał być zupełnie nieudany, z wyjątkiem jego aspektów seksualnych.

– Ja to rozgłoszę na uniwersytecie, będzie skandal.

– Tato, ty sam przecież powiedziałeś, że gdy miałeś przygodę z trzema studentkami in gremio, cytując: „Uniwersytet bez skandalu to jak burdel bez kapelana”.

– Byłem pijany, po za tym porównanie to jest zupełnie idiotyczne.

– No tak, bo byłeś pijany.

– Dobrze, nie załatwiaj.

– Tak, zwłaszcza że słyszałem, iż Paja woli teraz chłopców.

– No cóż, uniwersytety muszą mieć swoich homoseksualistów, są wszakże interdyscyplinarne.

– Z tym się zgadzam, tato, zostawmy Paję, ma telefon, Racuch był szczepiony, wścieklizny nie dostanie. Tato, czy ty masz coś przeciwko mojej inicjacji seksualnej.

– Nie, dziecko, w żadnym przypadku, wychodzę z założenia, że im wcześniej się to robi, tym jest lepiej.

– Więcej człowiek będzie miał czasu dla siebie.

– Tak, trzeba przejść przez ten koklusz i potem już wszystko z głowy, no może jestem trochę cyniczny. Mam tylko pretensję, że dokonałeś tego faktu z prowincjonalnym biologiem, wydaje się, że tacy osobnicy są z reguły zbyt techniczni.

– Mylisz się, profesor przeszedł już dawno ten okres.

– Tedy ciesz się, no bo cóż mam robić, jestem i muszę być bezradny wobec takich przypadków.

– No, nie gniewaj się.

– Nie gniewam się, tylko szlag mnie trafia.

– To rozumiem.

– Co rozumiesz?

– To, co powiedziałeś.

– Kończmy tę rozmowę, bo czuję obawę o moją relatywistyczną duszę socjotechnika.

– Czyżby?

– Tak.

– No, to cześć.

Sprawa profesora Pai została zakończona, w każdym razie dla mnie. Nie wiedziałem, czy dla Katarzyny również. Sytuacja normalizuje się, rzekłem, pakując manatki na składany rower. Miałem perspektywę kilku godzin ciężkiej dobrze płatnej pracy fizycznej w towarzystwie człowieka, który miał na mnie zawierny wpływ. Traktowałem to jako osobiste seminarium z prakseologii.

– Katarzyno, mam nadzieję, że zlepisz jakiś obiad.

– Tak, tato, jak zawsze.

– To straszne, słyszeć to twoje: „jak zawsze”.

Lubiłem jeździć rowerem, nawet gdy 6 lutego skończyłem 54 lata, w moim przekonaniu wiek matuzalemony. Facet, u którego

pracowałem, miał około czterdziestki i był byłym grubasem, to znaczy jego waga została zredukowana, ale duch jej pozostał. Zawsze zastanawiałem się nad metodologią robienia pieniędzy. To fascynujący zabieg, przypominający gromadzenie materiałów do pracy habilitacyjnej. Ja teraz jednak kafelkuję łazienkę z żurnala „Ładne mieszkanie”.

– O, doktor – powiedział, nie wiadomo czemu, były grubas.

– Habilitowany (byłem w pracy pies na tytuły).

– Profesorze.

– O, co to, to nie.

– Kładziemy.

– Kładziemy – odpowiedziałem, łagodniejąc.

Były grubas był wyrażnie zainteresowany postępem robót, tak przecież rzetelnie wykonywanych przeze mnie. Zrobiłem zaprawę i zabrałem się do układania płytek. Szło mi to niezwykle sprawnie. Zdolności manualne człowieka w moim wieku były nadspodziewane, zwłaszcza że byłem nienawykły do pracy fizycznej. Żałowałem, iż odkryłem te talenty tak późno. Było upalnie, żona byłego grubasa przyniosła mrożony peppermint. Chodziła w butach na wysokich obcasach i w bikini, była zgrabna i miała stosunkowo duży biust. Zapamiętały w robocie, szprycowany mrożonym peppermintem, nie zwracałem na nią uwagi.

– Mąż wyjechał – oznajmiła.

Poszliśmy się kąpać do drugiej łazienki. Nie wiem, dlaczego smarowała mi w wodzie ręce kremem „Atari”.

– Musisz mieć ładne ręce, jesteś przecież docentem.

Dotykała opuszkami palców moich dłoni, a mnie się dobrze leżało w zielonkawej wodzie, pachnącej tymiankiem. No cóż, miałem 54 lata.

– Andrzej prosi, aby cię zapytać, czy nie zrobiłbyś jeszcze kanału w garażu.

– Ależ tak – odpowiedziałem spiesźnie – potrzeba mi pieniędzy.

– Wzwalasz we mnie agresję.

Chwyciła mnie za włosy, których zresztą miałem jeszcze wcale wiele, zanurzyła moją głowę w zielonkawej wodzie.

– To dobrze – powiedziałem, wynurzywszy się między jej dużymi piersiami.

Przestawało mnie to bawić, erotyczność tej sytuacji, a w każdym razie seksualizm, był zbyt jednoznaczny, atawistyczny, co doprowadzało mnie do szału.

– Zrobię kanał.

– Dlaczego tak szybko – dyszała mi do ucha.

– Bo chcę mieć to z głowy, po prostu mam was dość.

– Ale ja ciebie...

– Skończmy tę rozmowę.

Jazda rowerem zawsze sprawiała mi przyjemność. Paznokcie miałem obcięte, dłonie szybko wchłonęły krem. Będę teraz jadł zupę rybną, którą kupiłem w zeszłym tygodniu. Hiszpańska zupa rybną z kaparkami i kawałkami krewetek, luksusy. Miałem przed sobą luksusową przygodę życia, hiszpańska zupa rybną z kawałkami krewetek.

Pies nawalił kupę na moim biurku, dobrze że suchą. To zasługa Katarzyny, bowiem żywi Racucha kośćmi, które dostaje w niewielkiej restauracyjce, położonej nieopodal naszego domu. W jej pokoju nieprawdopodobny rozgardiasz, tak samo w kuchni, wytarłem spoconą ze zdenerwowania twarz jej majtkami, które leżały na kuchennym stole. Miałem jeszcze godzinę czasu do seminarium, kupy wziąłem na szufelkę, wywaliłem, patrząc z politowaniem na Racucha, który tak samo patrzył na mnie. Machinalnie zacząłem przeglądać poważny miesięcznik, był w nim wywiad ze znanym pisarzem, ascetycznym sybarytą. Tak w każdym razie jawił mi się ten człowiek. Tak, ascetyczny sybaryta, był uczniem ucznia Bergsona (jaki ten dwudziesty wiek krótki). Ten człowiek powoli przestawał być pisarzem, stawał się wyrocznią, jak wszyscy moralisci w tym nienormalnym kraju. Brak moralności wywołuje gwałtowne zapotrzebowanie na moralistów i to w efekcie daje skutki dość obrzydliwe. Literatura staje się bedakerem po życiu godnym, dziesięć przykazań rozpisanych na głosy. Miałem 54 lata, uprzątnąłem majtki Katarzyny, za chwilę przyjdą moi studenci.

## Apel środowiska naukowego do wszystkich sił politycznych w Polsce

Nauka w Polsce jest w dramatycznej sytuacji. Do prowadzonej latami krótkowzrocznej polityki podporządkowanej uproszczonym celom (jak masowe studia czy mierzona wg stale zmieniających się formalnych kryteriów jakość publikacji) dołączyło dzisiaj ręczne sterowanie nauką i tworzenie kolejnych instytucji, mających realizować polityczne zamówienia aktualnej władzy. Natężenie niepokojących działań budzi coraz większe wzburzenie i frustrację. **Środowisko akademickie domaga się uwagi i reakcji ze strony wszystkich sił politycznych, które będą się ubiegać o miejsca w parlamencie w zbliżających się wyborach.**

*Po pierwsze, zagrożona jest wolność badań naukowych – wolność gwarantowana konstytucją i stanowiąca jeden z filarów demokratycznego państwa.* Ataki ze strony polityków wymierzone są przede wszystkim w przedstawicieli humanistyki i nauk społecznych, ale rosnącą niepewność czują też badacze reprezentujący nauki ścisłe, przyrodnicze i medyczne. Nie do zaakceptowania są wypowiedzi rządzących, zapowiadające „zamawianie badań” o z góry określonych wynikach lub wprost sugerujące, że finansowanie publicznych instytucji naukowych będzie uzależnione od stopnia, w jakim wyniki prowadzonych w nich badań będą zgodne ze światopoglądem konkretnego ministra czy programem rządzącej partii politycznej. Jest to niedopuszczalne niezależnie od tego, kto w Polsce sprawuje władzę.

*Po drugie, sytuacja finansowa instytucji nauki oraz sytuacja materialna badaczy i badaczek, nauczycieli i nauczycielek akademickich oraz wszystkich osób pracujących na uczelniach jest zła i pogarsza się w coraz szybszym tempie.* Wzrost wynagrodzeń, przedstawiany jako osiągnięcie obecnych władz nie rekompensuje postępującej inflacji. Wynagrodzenie asystenta polskiego uczelni jest dzisiaj tylko o 115 zł wyższe od krajowej płacy minimalnej. Minimalne wynagrodzenie profesora będące podstawą ustalania wynagrodzeń na publicznych

uczelniach wzrosło w 2023 r. w stosunku do poprzedniej podwyżki z III kwartału 2018 r. o 12,5%, podczas gdy skumulowana inflacja w latach 2019–2022 wyniosła ponad 27%. Wysokość stypendiów doktoranckich jest obecnie tak niska, że już na początku kariery akademickiej działalność naukowa staje się hobby uprawianym po godzinach pracy lub za pieniądze rodziców czy partnerów i partnerek. Wiele utalentowanych osób, pozbawionych perspektyw zawodowych w nauce, rezygnuje z pracy badawczej lub emigruje. Następuje zagrażający przyszłości Polski „drenaż mózgow”. Instytucje naukowe z kolei oszczędzają na czym mogą: nie tylko na kosztach prowadzenia dydaktyki akademickiej, na organizacji konferencji, wyjazdach badawczych, ale też zakupach materiałów do badań, dostępie do bibliotek i baz danych, wreszcie – na ogrzewaniu i prądzie.

*Po trzecie, postępuje instytucjonalna dezorganizacja nauki w Polsce – nie tylko ze względu na ograniczone środki finansowe, ale także przez nieracjonalne gospodarowanie tymi skąpyimi zasobami.* Zamrożenie budżetu Narodowego Centrum Nauki powoduje postępujący kryzys systemu grantowego finansującego badania podstawowe. Jednocześnie w nieprzejrzysty sposób powoływane są nowe instytucje i programy, czysto uznaniowo wspierające wybrane badania. Polska Akademia Nauk od lat boryka się z problemami finansowymi, a mimo to powołano nową Akademię Kopernikańską. Rządzący dopuścili też do porażającej skali marnotrawstwa publicznych środków przeznaczanych na badania stosowane i wdrożenia w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju. W arbitralny sposób tworzone są nowe dyscypliny i dziedziny nauki, a reguły oceny działalności naukowej ulegają zmianom do ostatniej chwili. Dzisiaj, blisko półtora roku po zakończeniu poprzedniej ewaluacji, nie są znane zasady, na których oparta zostanie kolejna ocena instytucji naukowych.

**Nauka w Polsce, tak jak na całym świecie, nie potrzebuje politycznego nadzoru. Potrzebuje roztropności rządzących,** którzy rozumieją, że nauka i szkolnictwo wyższe są ważnym filarem państwa, napędem rozwoju społecznego i ekonomicznego, a przede wszystkim cywilizacyjnego oraz gwarantem twórczej i rzetelnej debaty publicznej. Na tym powinno zależeć wszystkim.

**Środowisko akademickie domaga się zajęcia jednoznacznego stanowiska przez polityczki i polityków w następujących kwestiach:**

- gwarancji wolności prowadzenia badań, respektowania zasad autonomii i samorządności akademickiej;
- zwiększenia nakładów finansowych na naukę – wzrostu wynagrodzeń, wprowadzenia reguł stałej indeksacji wynagrodzeń, stypendiów i środków na granty badawcze, utrzymywania subwencji dla instytucji naukowych na poziomie, który nie tylko pozwala utrzymać istniejącą infrastrukturę, ale też inwestować w nowe badania;
- przejrzystych i nie ulegających arbitralnym zmianom reguł oceny i dotowania instytucji naukowych oraz zaniechania projektów tworzenia nowych instytucji dublujących funkcje już istniejących jednostek.

Nasza wspólna przyszłość zależy w dużym stopniu od warunków uprawiania badań naukowych oraz od warunków studiowania w kraju. Polska potrzebuje porozumienia dla nauki – gwarancji wszystkich sił politycznych dla jak najszybszego spełnienia wskazanych tu postulatów i zgody, że **realizacja zadań uczelni wyższych i instytucji badawczych wymaga publicznego finansowania budżetowego działalności badawczo-rozwojowej sektora nauki na poziomie co najmniej 1,5 % PKB.**

Zwracamy się do wszystkich członków i członkiń środowiska akademickiego, do władz i ciał kolegialnych polskich uczelni i jednostek naukowych oraz do związków zawodowych o popieranie podpisami i rozpowszechnianiu tego apelu. ■

Apel zespołu „Monitora Akademickiego” (<https://monitorakademicki.org> oraz na FB: <https://www.facebook.com/p/Monitor-Akademicki-100063638186472/>), stawiającego sobie za cel „**współdziałanie na rzecz wspólnego dobra**”. Jest to ważne w sytuacjach zwyczajnych, kiedy myślimy o tym, jak Uniwersytet powinien się rozwijać, by być twórczą i bezpieczną przestrzenią pracy naukowej i dydaktycznej – i by sprostać wyzwaniom współczesności. Staje się zaś konieczne, kiedy wyzwania te dotyczą samej istoty Uniwersytetu: autonomii uczelni, poczucia wspólnoty i nieskrępowanej debaty naukowej. Tak się dzieje obecnie”. Apel podpisało już kilkuset uczonych, dostępny jest pod adresem: <https://monitorakademicki.org/porozumienie-dla-nauki-porozumienie-dla-przyszlosci/>



# MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

## „Byłem (...) królewiczem zaklętym z bajki”

Tak o sobie pisał znakomity Teodor Tyc, historyk, a w tym mediewista, także pisarz, a wreszcie zasłużony dla Górnego Śląska polski działacz narodowościowy. A była to praca na niwie politycznej w okresie dla tej ziemi trudnym, przełomowym. To czas konfrontacji na tle narodowym, okres walki i znamiennej dla tamtej epoki w dziejach Europy środkowo-wschodniej przekraczania granic między świadomością regionalną a narodową. W naszym regionie przejawiało się to w budzeniu polskości. Był doktorem, potem docentem, wreszcie zastępcą profesora katedry historii prawa Uniwersytetu Poznańskiego. Jako historyk był autorem znakomych prac, jak: „Początki kolonizacji wiejskiej na prawie niemieckim w Wielkopolsce 1200-1333, (1924), czy „Z dziejów kultury w Polsce średniowiecznej (1925). Ale – niestety – o tej wybitnej postaci współcześnie zapomnieliśmy. Dlaczego? Nie figuruje też w ważnym, ale ciągle jakby kontrowersyjnym, Pantheonie Górnos Śląskim. Kim zatem był Teodor Tyc? Urodził się w Monachium 6 maja 1896 roku, a odszedł 5 sierpnia 1927 roku w Poznaniu.

Jego życie było niezwykle barwne, dzieciństwo piękne, był owym „królewiczem zaklętym z bajki”. Ale dalsze lata życia były już burzliwe, pracowite, odważne, pełne zwrotów; poza trwaniem i doskonaleniem polskości. Lecz było to też życie krótkie; za krótkie.

W wydanym pośmiertnie „Pamiętniku”, który ukazał się w 1931 roku w wydawnictwie „Ostoja”, wyznaje: „Rodzina nasza pochodzenia niegdyś niemieckiego, w czasach spolszczała, na wsi osiadła i to w Księżtwie, i Królestwie. Dziad jeszcze roli pilnował (...). Ojciec już rychło przeniósł się do miasta”. A życie bohatera tej opowie-

ści było już inne. Dlaczego? Bo przecież studiował na Uniwersytecie Monachijskim, a następnie na Uniwersytecie Poznańskim. W czasie I wojny światowej, jak i inni z jego pokolenia, służył w armii cesarza Niemiec. Konkretnie został do niej wcielony w 1916 roku. Jakże intrygujący jest zaś fakt, że w 1917 roku wydaje „Facecje z dawnej Polski”. To zbiór ciekawy, intrygujący, może nawet kontrowersyjny, ale na pewno zmuszający do refleksji; do zastanowienia się nad stereotypami.

I w tej armii służył do 1919 roku. Intrygujące, że tu, w wojsku odkrywał nowy, zakazany świat, świat polskości, kultury i historii. Pod datą 9 marca 1920 roku wspomina i wyznaje: „Zwrot najsilniejszy dokonał się we wojsku w r. 1917, nad Renem, w Berlinie i na Litwie. Dopomogli najbardziej Mickiewicz i Norwid. Mianowicie na Litwie, pomimo niewoli, żyłem duchowo tak intensywnie, jak rzadko kiedy”.

Po latach spędzonych w armii niemieckiej wziął już czynny udział w pracy propagandowej podczas powstań śląskich (1919-1921). Owa walka o polskość Górnego Śląska stała się w pewnym momencie dla Tyca istotą jego działania; jego życia. Z kolei 19 lutego 1920 roku pisze w swoim „Pamiętniku” wręcz kategorycznie: „Na Śląsk już pojadę. Potrzeba mi tego boju tej walki, napięcia mięśni woli (...). Zamiast liryki – boska epika. Robić wszystko ze świętą wiarą w tryumf, z entuzjazmem dla zwycięstwa. Pozostawić za sobą otaczający nas ród karłów...”. I dodajmy jeszcze, że w 1920 roku został zastępcą szefa wydziału prasowego biura plebiscytowego w Bytomiu. Redagował w tym czasie „Powstańca. Pismo wychodźców górnos Śląskich”. Pismo znaczące, ważne nie tylko w kategoriach politycznych. A pod tytu-

łem pisma była jeszcze umieszczona dodatkowa informacja: „Wychodzi 3 razy tygodniowo w Sosnowcu”, a wydawcą był Komisariat Rad Ludowych Śląskich.

W numerze z niedzieli 12 października 1919 roku umieszczono wiersz zgodny z poglądami Tyca i redaktorów pisma:

Nam nie wolno dziś się kłócić,  
Nam miłości, zgody trzeba.  
By niewolę naszą skrócić  
Zdobyc wolność, więcej chleba.  
Musim walczyć i pracować —  
Wrogów gromić...

Tyc był też związany z „Kocyn-drem”, pismem satyrycznym. Czyli owym „czasopismem wesołym górnos Śląskim”. Pisał też jako „K” lub „Julian Tuwim”. Tyc był świadomym Polakiem i do takiej postawy zachęcał innych, nieświadomych, indyferentnych narodowo, wtłoczonych w realia „twardej” i „miękkiej” polityki germanizacyjnej. Rozumiał zagrożenia dawne i współczesne i konieczność kontaktu z „kulturą wysoką”, ale też rozumieniem „drugiego człowieka”, jakby zgodnie z myślą ks. Józefa Tischnera.

PS. A notacje Tyca przykładowo z sierpnia sprzed ponad 100 lat mają znaczenie ponadczasowe. Mogą być wyzwaniem dla współczesnej młodzieży, tej zanurzonej, „zakochanej” w realiach popkultury i konsumpcjonizmu, uległej wartościom pozornym. Tyc pisze zaś o swoich lekturach Jana Jakuba Rousseau, Józefa Ignacego Kraszewskiego, o „Nocy listopadowej” Stanisława Wyspiańskiego, czy pracach Zygmunta Glogera... No cóż. On był zanurzony w kontekstach europejskiego i polskiego uniwersum symbolicznego.

# Exegi... Ignacego Fika

JERZY PASZEK

Ignacy Fik (1904–1942), ojciec znanej teatrolożki Marty Fik, autorki wielkiej księgi *Kultura polska po Jalcie. Kronika lat 1944–1981* (Londyn 1989, 835 s.), był głównie działaczem politycznym, dziennikarzem, a okazjonalnie poetą. Wydał tylko 4 tomiki: *Kłamstwa lustra* (1931), *Przemiany* (1932), *Plakaty na murze* (1936), *Przymierze* (1940, ed. konspiracyjna). Był też autorem pieśni harcerskich, opublikowanych w 1922 roku. W latach 1928–1929 uczył języka polskiego, łaciny, propedeutyki filozofii w Gimnazjum im. H. Kołłątaja w Pińczowie. Dobra znajomość łaciny przydała mu się, gdy pisał swoje poetyckie epitafium, nawiązujące do słynnego arcydzieła Horacego (*Carmen*, III 30 o inc. „Exegi monumentum aere perennius”):

Niewart nic może i niepotrzebny będzie ton w tych skandach  
i nie zostanie z wierszy ani jeden tytuł,  
inne będą cegielnie i płótna inne na sztandar,  
inne ptaki wybuchną na czas świtu –

A przecie przeze mnie, przez ucho igielne,  
przeciska się nić: co tka nowe krosna,  
o ściany domu otarłem się szczerlnie  
i byłem dobrą bramą marzącą o snach – [...]

Rozgryzie świat łatwo mój oddech i w zdrowych zębach  
nie zapamięta smaku, jakim ten ochłap ociekł –  
a! – niech nie będzie nic ze mnie, niech na nowych zrębach  
cały się zgubię w już niepotrzebnej robocie –

Niech wszystkie te trudne słowa zrabuje tylko leksykon,  
niech asystent w lektorium słownik układa z tych krzyków!  
Wiersze?  
Wierszom tym nie trza piramid, spiżu ni kapitolu,

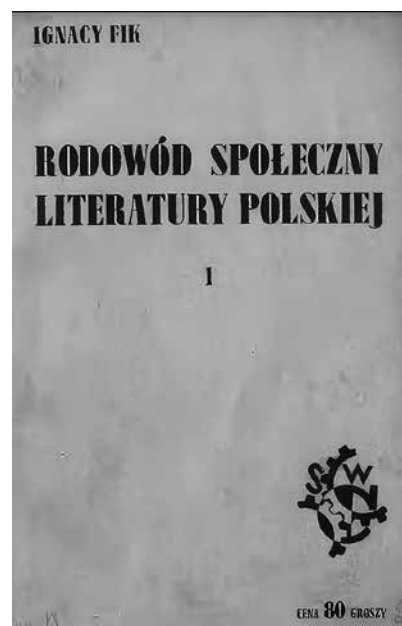
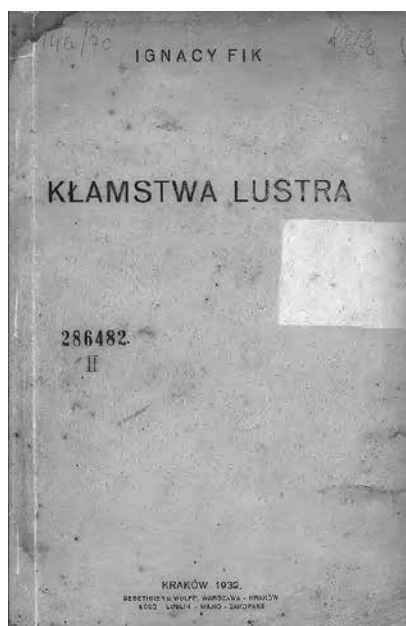
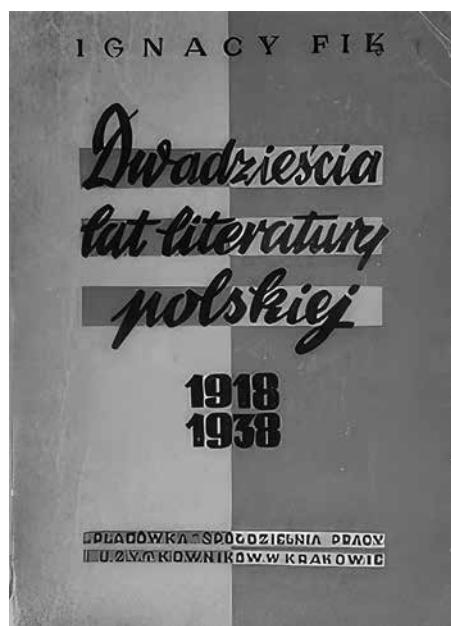
nie trzeba nas  
– w świecie, w którym nie ma bólu.

6-zwrotkowe epitafium (2 strofy opuściłem), umieszczone zostało w tomiku *Plakaty na murze* (cytuje za zbiorem *Poezja polska 1914–1939. Antologia*. Wybór i oprac.: R. Matuszewski, Seweryn Pollak. Warszawa 1966, s. 674–675), w słowach „piramid, spiżu ni kapitolu” nawiązuje do wersów Horacego, w których pojawiają się te same wyrazy: „piramidum”, „Capitolium”. W tłumaczeniu Adama Ważyka (Horacy: *Do Leukonoe. Dwadzieścia dwie ody*. Warszawa 1973, s. 54 i 55, tekst oryginalny i translacja) oddano to następująco:

Wybudowałem pomnik trwalszy niż ze spiżu  
strzelający nad ogrom królewskich piramid [...]  
Nie wszystkim umrę wiem że uniknie pogrzebu  
cząstka nie byle jaka i rosnący w sławę  
potąd będę wciąż młody pokąd na Kapitol  
ma wstępować z milczącą westalką pontifeks.

Czytelnikom polskim znana jest oczywiście żartobliwa parafraza i metamorfoza tych wzniosłych zapowiedzi, jaką sobie wystawił Adam Mickiewicz w utworze *Exegi munimentum aere perennius. Z Horacjusza* (zob. A. Mickiewicz: *Wiersze*. Oprac. Cz. Zgorzelski. Warszawa 1993, s. 374–375):

Świeci się pomnik mój nad szklany Puław dach,  
Przetrwą Kościuszki grób i Paców w Wilnie gmach, [...]  
Bo od ponarskich gór i bliźnich Kowna wód  
Szerzę się sławą mą aż za Prypeci bród. [...]  
Stąd mimo carskich groźb, na złość strażnikom ceł,  
Przemycza w Litwę Żyd tomiki moich dzieł.



Nawiasem mówiąc, aliteracja w nazwach geograficznych (Puław, Prypoci, ponarskich) i w określeniu „Paców w Wilnie gmach”) – przedrzeźniająca dumny i głośny adres zabytków dawnych czasów, czyli piramidy („Pyramidum”) – jest ukrytym, choć odkrytym i jawnym, uśmiechem wieszczka, gdyż porównuje ze sobą przedmioty nieporównywalne w sławie i chwale wieków!

Ignacy Fik nie ma tak radosnej miny, gdyż raczej wątpi w znaczenie i wagę dla przyszłości swoich czynów („byłem skurczoną pięścią”, „nie wiem, któremu już służyć nieszczęściu”, „jak się czynu wielkiego nauczę?”), porównuje się do „ochłapu”, ociekającego krwią „w zdrowych zębach” następnych pokoleń. Nie liczy też na czytelników „w świecie, w którym nie ma bólu”, czyli brak empatii, gdyż widać obojętność, jaką okazuje się na widok nieszczęścia bliźnich. Myślę, że epitafium to bliskie jest wierszowi Zuzanny Ginczanki, przekazującej w apostrofie do Zofii Chomiczowej – lwowianki, donosicielki – swoje „bogactwa” (jest to utwór z 1942 roku o inc. „Non omnis moriar”; cyt. za domeną [www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl)): „moje dumne włości, / Łąki moich obrusów, twierdze szaf niezłomnych, / Prześcieradła rozległe, drogocenna pościel / I suknie, jasne suknie pozostaną po mnie”. Jeszcze boleśnieszcy paradoks wymyśliła Anna Kamińska w króciutkim wierszu *Umrę cała* (zob. [www.donkiswiatpoezji.pl](http://www.donkiswiatpoezji.pl)), którego koniec brzmi: „Umrę cała ale z jednego słowa po mnie / wyrosnie drzewo ciszy // I ponad zgiełkiem świata / wysunie zdziwioną gałąź”.

Ironia losu Fika polega na tym, iż nie jego działalność społeczna, praca dziennikarza i krytyka literackiego przyniosły mu sławę, lecz jeden wierszyk z cytowanego tomu *Plakaty na murze* (Warszawa-Kraków 1936, s. 16). Pierwsza strofa liryku *Poprzez młodość* brzmi w przedwojennej edycji tak:

Świat gaśnie, horyzonty pękają jak flaszki  
zielona plama pęcznieje pod chmury  
przenoszę się znowu do cienia pod sosny –  
stąd:  
dopijam chciwym haustem  
moją codzienną wiosnę.

Otóż zdarzyło się, że – w artykule *Literatura choromaniaków* z roku 1935 („Tygodnik Artystów”, nr 15; przedruk: I. Fik: *Wybór pism krytycznych*. Oprac. i wstęp: A. Chruszczyński. Warszawa 1961) – Fik zaliczył Choromańskiego, Schulza i Gombrowicza do „literatury dekadencjonalnej, schyłkowej i epigońskiej” (zob. W. Bolecki: *Przypisy, studia nad tekstem, komentarze, materiały* [w tomie:] W. Gombrowicz: *Ferdydurke*. Oprac. W. Bolecki. Kraków 2007, s. 543). Odpowiedź „dekadenta” pojawiła się w artykule *Trudna literatura i pro domo mea. O myślach wątpliwych* („Kurier Poranny” 1935, nr 307). Ale to było za mało dla „choromaniaka”! Nerwowa sprzeczka doprowadziła do bezpardonowego ataku Gombrowicza na przeciwnika w tekście akurat pisanej przez niego powieści. Po zacytowaniu (bez słów „świat gaśnie”) cyto-



wanego tekstu Fika, autor *Pornografii* umieszcza „Moje tłumaczenie” (cyt. ed. z 2007, s. 142):

Łydki, łydki, łydki  
Łydki, łydki, łydki, łydki  
Łydki, łydki, łydki, łydki, łydki –  
Łydka:  
łydka, łydka, łydka  
łydki, łydki, łydki.

Na nic zdała się replika autora wiersza w „Nowym Wyrazie” (1938, nr 3) pt. *Miny trudne i miny łatwe. Uwagi na marginesie książki Gombrowicza „Ferdydurke”*, gdzie tytuł pierwszego akapitu brzmi boleśnie dla atakowanego: „Pisarz drugorzędny” (przedruk: *Gombrowicz i krytycy*. Wybór i oprac.: Ż. Łapiński. Kraków-Wrocław 1984, s. 35–36). Oddalone strzały padły jeszcze w tomie Fika *20 lat literatury polskiej [1918–1938]*. T. 2. Kraków 1939 (s. 61, 132, 167). Zwycięzcą okazał się dekadent! Lecz i krytyk literacki „załapał się” na jakiś skrawek purpurowego sukna chwały i sławy przy tej okazji! Ataki tych rówieśników (obaj urodzeni w 1904 roku) na siebie byłyby zupełnie nieistotne i niezauważalne, gdyby nie zamaskowana – bo w *Ferdydurke* nie pada nazwisko Fika! – ostra i bezczelna (bo poniżej pasa!) satyryczna wycieczka, zamieszczona w arcydziele polskiej beletrystyki. A tego autor epitafium *Exegi...* na pewno się nie spodziewał!

### Gnossiennes. List pierwszy

jestem spokojny wokół mnie niebieskie  
oraz ciemnoszafirowe sny masz siwą brodę  
i nadal delikatne smukłe ciepłe dłonie  
zatrzymałem pamięć zapachu ramion i czułości  
w nim prawdę światłość a także ciemność  
tato

wierzę sobie i martwej ciszy opowieściom o miłości  
oraz nadziei która milczała ze mną w chwili narodzin  
ufam nieskończenie łzom opartym o pęki chryzantem  
a także snom na kropkach deszczu chłodnych

człowiek jest darem i jak go nie kochać nieobecnego  
chowającego głowę w ciepło elegii

strumienie płyną i czas spieniony wpada do morza  
na stole chleb mleko a wokół smutne noce  
wilki na obrzeżach ciemności szczerzą kły  
jest taka bliskość ojciec gdy kładziesz na granicy serce  
wszedłem w nie po cichu i piszę ten list

### Gnossiennes. List drugi

wystarczy unieść kołnierz by krople deszczu  
nie spływały wzdłuż pleców nie nuciły słodkich wonności  
ani wspominały o sikorce która spadała z nieba i skamieniała  
a trawa wokół posiwiiała rozważając źródło i mrok źdźbła

dziewczyna w białej sukni oparta o kaflowy piec pije wodę  
drży przestrzeń a planety morzem się stają narasta niepokój  
w powietrzu lekkim jak puch mędrzec cicho lka nad słowem  
niepokojem ukrytym w ślepej miłości oraz drzeniem struny  
która tuli przestrzeń i więźnie w przemijaniu nieba

czytam o ciszy panującej w Ogrójcu gdy ujawniono ostatnią zdradę  
cicha noc szepcze psalmy i tryptyk malowany krwią niewinnych  
mamy nikczemne dłonie a na tabliczkach spisany czas cierpienia

czy istnieje fraza godna zapamiętania

słowa przesypują się jak piasek między palcami  
kocham cię  
nocą gasną lustra  
sowy opowiadają bajki a wiatr kołysze czułość i brzozę przy drodze

### Gnossiennes. List trzeci

dziękuję za wiatr i macierzanę jej ciche powolne zamieranie  
za człowieka bo ma czułość w sobie i chroni kosz wyłowiony  
z szuwarów czasami śni dno piekła i ma problemy z prawem ciężenia  
dziękuję za bezlistną topolę i Ojciec Nasz szeptane ciepłem wyobraźni  
między apatią a credo

gołębica wznosi się do nieba ukazuje skrzydła anielskie  
insygnia wiary oraz ideały zaczyna płakać

matka podchodzi do pianina dotyka klawiszy nuci jesień słoneczną  
z nitkami babiego lata i dojrzałymi cieniami smutku  
nuty rozświetlają horyzont a senny gruby kot wroży zmierzch i rośną  
ogród zakwita chryzantemami i sarnimi łzami  
dźwięki jesiennych mgieł opowiadają historię aureoli i zmierzchów

nic mi nie pozostało tylko zapach twoich włosów na poduszce  
i młodość kaleka nad którą przysiadła siwa wrona

### Gnossiennes. List czwarty

zadrzały dłonie to czas odchodzenia miłości i jezior  
które w głębinach skrywają dusze i cichą śmierć  
to ją ktoś kiedyś na moment pokochał jak życie  
i zstąpiły strachy na wróble oraz pastorały ostów  
bielinki uciszyły świerszcze i skrzydła oblepiły miodem  
z opuszków palców spływa krew a liście rodzą się

o wschodzie słońca dłonie drżą jeszcze bardziej  
łzy i wargi ranią skórę kobiety /pełzająca czułość/  
gdy ciebie kochałem w moim pokoju pachniał bez  
oto mieszkam w tobie mimo że nam do siebie daleko  
nasyceń stajemy się niedomówieniem milczeniem  
które nożem nutę dzieli na czworo otwórz oczy  
urodzisz nam dzieci i wszystkie wiosny a potem  
twój zapach zniknie z mego ciała połamię wszystkie sny

na nowo śniłem wodę zmienioną w wino rozbity dzban  
a także horyzont za którym umierałem  
był taki skończony  
zagrany na ostatniej strunie

## Gnossiennes. List piąty

ciało milczy i drży  
a ty masz oczy sarny i płochliwość skrzydeł ptaka na wietrze  
wysłuchujesz się we mnie marzenia i w kropkle soli na ciele  
palcem wieszysz do granic ciała i materii świata

pachniesz mną  
historia miłości w oddechach i słowach mała nieskończoność  
bardzo ostrożnie wymuszasz koniec świata i pochylasz głowę  
nad wstydem lubię gdy nie mówisz o satori a o czułości i nocy

na policzku  
mała łza zastępnie pozostanie słony ślad całkowicie bez winy  
twoje włosy oglądają noc i wymyślają imiona dla synów córek  
usiądziemy na gorącym piasku nad brzegiem morza  
za nami jesienna czerwień klonów lubię kiedy kobieta kocha

## Gnossiennes. List szósty

mówię cicho jakbym opowiadał sen który  
mnie przerósł  
ptak o świcie opuszcza oczy i spada w głąb piekła  
obudź się  
niemo krzyczę  
obudź  
ulepię ci Jezusa z mięszu chleba  
skomponuję scherzo na  $\frac{3}{4}$  ukryte w suicie

przyjaciele umierają zbyt młodo to zawsze boli  
często odchodzą w maju z rozwianym włosom  
gdy Cyganki wróżą więcej niż widzą na dłoni  
potem przynoszą umarłym absolutne milczenie  
i ogromne święte śpiewające świerszcze

piękne przestronne aleje  
gdy spacerują nimi umarli ani drgnie powietrze

budzisz się nagle zielonym cieniem  
tym co żarem dotyka liści i obłoków  
goście wokół przystają w pół słowa  
kwiaty kwitną szemrze strumień  
a ja  
piszę list do wiadomo kogo  
a ty  
pozostajesz w małej cichej majowej nocy

## Gnossiennes. List siódmy ostatni

umarli złagodnieli  
trzymając się za ręce wierzą w nieskończoność  
spoglądają jak rodzą się kolejne gwiazdy  
wsuwają w sumienia paciorki różańca  
dostrzegają dzień mgły i ciemnoszafirowych fal  
spokojnym krokiem przemierzają drogę między  
niebem ogniem wodą czarną różą a ziemią  
siedząc przy stole milczą liczą słoje desek i prądy strumieni  
następnie odrzucają werterowskie ciała

las nasłuchuje jak drżą buki a powietrze muska powietrze  
przed nami mróz śnieg i zmarznięte serca ptaków  
sanhedryn i kolegia uczonych rabinów tworzą dramat  
aniołowie rozsypują ziarno i spływającą z ich skrzydeł krwią  
moszczą zmartwychwstanie  
zapalają świece spływający wosk topi ślady na drodze

aniołowie wspominają delikatność uczuć i akty łaski

wiem zbyt dużo o suchych oczach i o tym jak myśl pełza między  
pohukiwaniem sowy a natrętnymi wspomnieniami  
tuż obok z drzewa spada ostatni liść piękny jak ciało niebieskie



rys. Bogna Skwara

## Na cztery spusty

KRZYSZTOF ŁĘCKI

**I** Dwa słowa: „otwartość” i „zamknięcie” rozumiemy (a także oceniamy) zwykle jednoznacznie. Otwartość kojarzona jest intuicyjnie z czymś dobrym; zamknięcie – z czymś opresyjnym, złym. Budujmy mosty – nie mury, tego typu apele znajdują, szczególnie dzisiaj, szeroki rezonans wśród ludzi wykształconych jako tako. No cóż, moim zdaniem wiele w rozumieniu „otwartości” i „zamknięcia” zależy od kontekstu w jakim te dwa pojęcia się pojawiają.

**II** Wybitny filozof Karl R. Popper zatytułował swoje najgłośniejsze dzieło „Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie”. W dość oczywisty sposób zakładał, że czytelnik zanim jeszcze zdecyduje się na lekturę jego książki ustawi się w pozycji sympatyka, a nawet obrońcy społeczeństwa otwartego. I pozostanie nim, kimkolwiek byłoby jego, tj. otwartego społeczeństwa, wrogiem. Przywiązanie do otwartości jest tak wielkie, że przesłaniać może rzeczywistość. Także językową. Sam byłem świadkiem, kiedy, na początku lat 90-tych, jeszcze przed ukazaniem się polskiego tłumaczenia światowego bestselleru Allana Blooma „The Closing of American Mind” pewna osoba dobrze znająca język angielski przekreśliła w rozmowie tytuł studiów amerykańskiego filozofa polityki. Dla niej amerykański umysł się otwierał, a nie – jak starał się przekonywać Bloom – zamykał. To, żeby amerykański umysł mógł się zamykać po prostu nie mieściło się jej w głowie.

**III** Na styku geografii i polityki zamknięcie przybierać może różne formy. Pierwsza – to próba izolacji (zamknięcia) w granicach fizycznych. Niekiedy postawionych ręką ludzką – jak mur chiński. Ale mogą to być także rzeki – jak w przypadku Cesarstwa Rzymskiego niekiedy wielkie jak Ren i Dunaj, niekiedy niepozorne, ale stanowiące symboliczną granicę, po której przekroczeniu „kości zostają rzucone” – jak Rubikon. Inny przykład to mocarstwa wyspiarskie, takie jak Wielka Brytania czy Japonia. Może warto jednak przypomnieć, że po ponaddwuwiekowej izolacji (zamknięciu) Japonii w połowie XIX wieku komodor

Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Matthew Perry demonstracją siły wymusił na Japonii nawiązanie kontaktów zagranicznych. Innymi słowy – wymusił jej otwarcie. Zamknięcie w świecie polityki może mieć również wyraz czysto symboliczny. I pojawiać się niby nagle, niby nie wiadomo skąd. Pisze Henry Kissinger w tomie „Świat przywrócony. Metternich, Castlereagh i zagadnienie pokoju 1812-1822”: „Jeszcze w 1795 roku w oczach pruskiego patrioty Steina zwartość i dobrobyt monarchii Habsburgów wypadały korzystnie na tle państwa Hohenzollernów. Teraz jednak, kiedy armie rosyjskie posuwały się na zachód, dały się słyszeć pierwsze pomruki niezadowolenia, które miały przekształcić Austrię w »więzienie narodów«. Nie dlatego, że austriacki system rządów stał się bardziej opresyjny, tylko dlatego, że coraz częściej kwestionowano jego prawowitość. Więzienie nie jest bowiem wyłącznie stanem fizycznym, ale także psychicznym”.

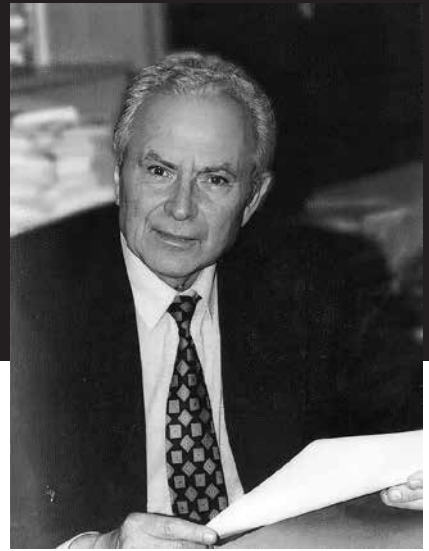
**IV** No cóż, więzienie. Filozofowie ubierali niegdyś swoje poglądy w formę listu czy nawet serii listów. Nie zawsze były one dla czytelników tak wyrafinowaną literacką zabawą, jaką do dzisiaj oferują „Listy perskie” Monteskiusza, ale miały intelektualną wagę. A stąd miały także swoje konsekwencje. Te zaś nie zawsze były dla autorów przyjazne. Ot, choćby słynny list Piotra Czaadajewa, za który autor skazany został na przymusowe leczenie psychiatryczne. Ale zdarzało się i tak, że to carscy poddani sami, z własnej, nieprzymuszonej woli, chronili się w szpitalach dla obłąkanych. Zrobił tak na przykład Józef Piłsudski. Działo się to na długo przedtem, zanim na ten prosty sposób pozbywania się nieprawomyślnych poddanych (zwanych już jednak wówczas obywatelami czy towarzyszami) wpadli komuniści, którzy, by zamykać dysydentów wymyślili specjalny rodzaj schizofrenii, mianowicie – schizofrenię bezobjawową. Kto padł władzy sowieckiej to, zdarzało się, trafiał do psychuszki. Tak na psychiatryczną diagnozę zasłużył w ZSRR na przykład Władimir Bukowski. Mechanizm prosty. Nie podoba ci się? To jesteś wariat!

**V** Wszystko to było dawno temu. Teraz samodzielnemu i komunistyczna utopia odeszły w niebyt. Żyjemy w systemie, w którym mamy trochę kapitalizmu i całkiem sporo państwowego socjalizmu. No, ale przede wszystkim mamy, demokrację. Co by o niej nie powiedzieć. A różnie mówią. Demokracja zaś ma swoje prawa i obyczaje. Niekiedy Hollywood straszy nas, że i demokratyczny reżim może wysłać niewygodnych obywateli do psychiatryka. Ale ja – przynajmniej na razie – to między bajki włożę. Kiedyś Ronald Regana, gubernatora Kalifornii maniacko atakował jeden z wpływowych publicystów. Regan czytając ostre teksty, w których nie zostawiano na nim suchej nitki, całą sprawę zbył pełnym troski pytaniem: „Co gryzie tego gościa?”. Może przyszły prezydent USA zafundowałby nawet uprzykrzonemu gryziorkowi jakąś miłą psychoterapię, ale pobyt w szpitalu psychiatrycznym – w żadnym przypadku. Nasuwa się pytanie: czy w takim razie kondycja umysłowa obywateli interesuje demokratyczną władzę? Czy ważne jest, co też kotłuje się w głowach szarych obywateli, tych anonimowych bohaterów sondaży i wyników wyborczych? No cóż, wiele każe sądzić, że jest tam prawdziwy umysłowy bigos. I nie powinno nas to specjalnie zaskakiwać. Już dawno temu wybitny ekonomista Joseph Schumpeter w tomie „Kapitalizm, socjalizm i demokracja” diagnozował niemal jak psycholog – pisałem o tym nie raz – i obiecująco powtarzać to jak mantrę: „Typowy obywatel, skoro wkracza w sferę polityki, spada na niższy poziom sprawności umysłowej. Argumentuje on i analizuje w sposób, który w zastosowaniu do sfery swoich realnych interesów sam bez trudu uznałby za infantylny. Staje się na powrót prymitywem”. Oczywiście można – za Napoleonem – przyjąć, że to naturalne, skoro poza obrębem władzy rodzą się tylko polityczne iluzje. Ale przecież i iluzje bywają różnej jakości. W połowie XIX wieku, w czasie wyborów prezydenckich we Francji, chłopci jednego z departamentów głosowali na Ludwika Napoleona (późniejszego Napoleona III), sądząc że głosują na jego wielkiego stryja, zmarłego wiele lat wcześniej Napoleona I.



# Mieczysław Kabaj (1933–2023)

BOHDAN ŁUKASZEWICZ



W kwietniu 2023 zmarł prof. Mieczysław Kabaj – jeden z najwybitniejszych polskich ekonomistów powojennych, badacz rynku pracy i analityk społeczno-gospodarczych aspektów zatrudnienia. Studia rozpoczął w roku 1950 w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Katowicach, a ukończył na Wydziale Ekonomii Politycznej UW, gdzie później pracował naukowo jako asystent Oskara Langego.

W latach 1970., gdy powstawała Fabryka Samochodów Małolitrażowych w Tychach i Bielsku-Białej – zaangażowany przez dyrektora Ryszarda Dziopaka – konsultował tworzenie i funkcjonowanie Pracowni Programowania Kwalifikacji Kadr w FSM. Wkrótce Pracownia jako pierwsza w Polsce (i na długie lata jedyna) wdrożyła metodę monitoringu zawodów deficytowych i nadwyżkowych. Ta metoda posłużyła tworzeniu od podstaw programów nauczania pracy w fabrycznych szkołach zawodowych FSM.

Przypominamy związki Profesora M. Kabaja ze Śląskiem, bo tu udało się wdrożyć jego inspiracje naukowe i praktyczne. W Warszawie go ceniono i nagradzano, ale niechętnie korzystano z jego dorobku. Jeździł więc – z ramienia ONZ – po świecie i tam był skuteczniej słuchany. Dużo zawdzięcza mu... Etiopia, gdzie w latach 1983–1991 doprowadził do wdrożenia nowatorskiego systemu relacji pracodawca-pracownik.

Ideą, która przyswiewcała naukowym staraniom Profesora Kabaja, była godnie wynagradzana praca m.in. poprzez stworzenie systemu partycypacyjnego i takiego rynku pracy, który by zapewnił każdemu możliwość rozwoju zawodowego i godnego życia. Z niemal 400 publikacji naukowych Profesora przebiła szacunek dla pracownika. Podkreślany jest wymiar humanitarny pracy, gdzie liczy się człowiek i jego umiejętności.

Drugie krajowe wdrożenie metody monitoringu zawodów deficytowych i nadwyżkowych – naukowo wspierane przez Profesora Kabaja – zrealizowano również na Śląsku. W roku 1993 władze samorządowe sąsiadujących miast: Gliwic, Zabrze, Knurów i Pyskowic utworzyły pierwsze w Polsce obserwatorium przemian zachodzących w edukacji i na rynku pracy o nazwie Międzygminny Ośro-

dek Doradztwa i Orientacji Zawodowej. MODiOZ do roku 2002 współpracował z pracodawcami i pomagał dopasować kierunki kształcenia zawodowego do – systematycznie badanych – spodziewanych potrzeb lokalnej gospodarki.

Z inspiracji Profesora MODiOZ rozszerzył i pogłębił zakres merytoryczny swoich działań poprzez nawiązanie współpracy z urzędami pracy m.in. w Pile, Szczecinku i Wrocławiu. Chodziło o nadanie działaniom gliwickiego Ośrodka możliwie jak najbardziej uniwersalnego charakteru. I to się powiodło.

Stały nadzór naukowy nad działalnością Ośrodka sprawował Profesor Mieczysław Kabaj. Konsultacje te przyniosły śląskim miastom wiele korzystnych rozwiązań. Dzięki jego wsparciu – pracownicy MODiOZ-u prezentowali m.in. efekty tej współpracy w ówczesnym Ministerstwie Pracy i Gospodarki, w Rządowym Centrum Studiów Strategicznych i na szkoleniach, prowadzonych w dziesiątkach urzędów pracy i na uczelniach. Efektem było upowszechnienie dorobku MODiOZ-u w procesie dostosowywania polskiego systemu obsługi rynku pracy do standardów UE.

Naukowe zainteresowania Profesora Kabaja koncentrowały się głównie na problematyce związków edukacji, gospodarki i rynku pracy. Te zagadnienia Profesor badał i opisywał już w PRL, a jednym z najważniejszych jego dzieł z tego okresu była – uhonorowana nagrodą naukową PAN – nowatorska publikacja dotycząca racjonalizacji zatrudnienia w zmieniających się warunkach społeczno-politycznych i gospodarczych (1973). Zgodnie ze zwyczajami – panującymi w tej dziedzinie niezmiennie do dziś – książkę odnotowano i odłożono na półkę, a przyczyną niepowodzenia był sam tytuł: „Elementy pełnego i racjonalnego zatrudnienia”. Owszem „pełne” zatrudnienie było zgodne z ideologią, ale „racjonalne” to już nie, zwłaszcza że – według koncepcji Kabaja – pełnym zatrudnieniem miały się zajmować urzędy pracy, a „racjonalnym” – pracodawcy, czyli zakłady (wtedy wyłącznie) państwowe. A racjonalne zatrudnienie było przedmiotem jego doktoratu już w roku 1964.

Jak pisze prof. Antoni Rajkiewicz – *Wiedza autora i jego aktywność między-*

*narodowa zapewniła mu w 1964 roku stanowisko pracownika naukowo-badawczego w Departamencie Badań i Planowania Międzynarodowej Organizacji Pracy, a również i konsultanta w Międzynarodowym Instytucie Studiów Pracy w Genewie. Współpraca z tymi instytucjami trwała kilkadziesiąt lat, a w 1993 roku rozszerzyła się na Radę Europy z siedzibą w Strasburgu. W roku 1971 dr Mieczysław Kabaj powrócił do kraju, gdzie uzyskał stanowisko docenta i wicedyrektora do spraw badań w Instytucie Pracy i Spraw Socjalnych. W 1974 r. otrzymał na Wydziale Nauk Społecznych UW stopień doktora habilitowanego, zaś w 1978 r. dożyłotni tytuł profesora nadzwyczajnego w zakresie nauk ekonomicznych. W latach 1978–1982 Profesor Kabaj kierował Instytutem Pracy i Spraw Socjalnych, po czym w roku 1983 Międzynarodowa Organizacja Pracy (MOP) powołała go na stanowisko eksperta i dyrektora projektu pomocy technicznej ONZ/MOP w zakresie promowania zatrudnienia i reformy systemów wynagrodzeń w Afryce; pełnił też funkcję konsultanta oraz członka zespołu ekspertów MOP w Brazylii i w Chinach. W końcu lat osiemdziesiątych wdrożono tam projekt systemu wynagrodzeń, którego był współautorem. Również wdrożenia doczekał się projekt reformy polityki kadrowej oraz wartościowania pracy, przygotowany dla Organizacji Jedności Afrykańskiej (OAU). Profesor Kabaj jako visiting professor prowadził zajęcia dydaktyczne w roku 1997 na Uniwersytecie Tomkau w Tajpej (Tajwan), a w roku 2000 na Uniwersytecie Hosey w Tokio.*

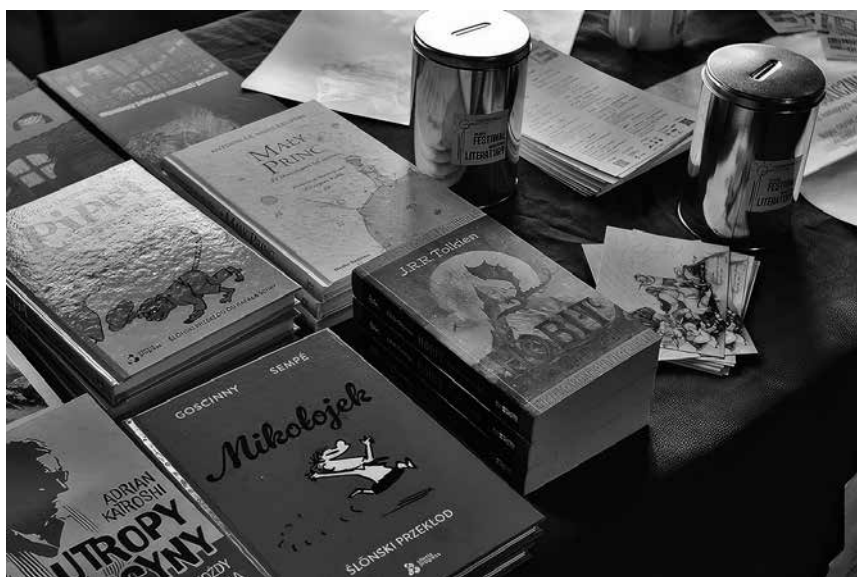
W roku 1991 Profesor powrócił do Polski, żywiąc przekonanie, że jego wiedza i doświadczenia zdobyte za granicą będą wykorzystane w tworzeniu podstaw i organizacji rynku pracy w Polsce. To przekonanie okazało się po części złudne, bo – jak wielokrotnie pisał Profesor Kabaj – „rynek pracy w Polsce organizował się w formule tzw. ‘reszty’, a nie priorytetu, jak to miało miejsce w innych krajach”.

„Mały Festiwal Wielkiej Literatury. Od Śląska bije światło” to inicjatywa urzędowa w ciągu kilku dni, spontanicznie i oddolnie, bez dotacji ani prywatnych sponsorów, a mimo to bardzo profesjonalnie i z rozmachem. W programie znalazły się spotkania autorskie zarówno z twórcami znanymi i cenionymi, jak też z debiutantami, debaty o śląskim języku, historii, kulturze i literaturze, pokazy filmowe, spacer szlakiem chorzowskich zabytków oraz warsztaty ilustratorskie.

Wśród celów przyświecających wydarzeniu jego organizator, Marcin Musiał z projektu Silesiateka, w przemowie wygłoszonej w śląskiej godce, wymienił: „1) Deportować ze Śląska Bercika, 2) Wyrzygać krupniok, 3) Trefić się, pogodać i dobrze bawić, 4) Nakupować tela ksionżek, choby jutra miało nie być”. Dodał też, że literatura idzie tam, gdzie wstyd i ból, ale zarazem pokazuje to, co dobre w człowieku. Ślązaków porównał do robaka z *Przemiany* Franza Kafki, który leży, nie wiedząc, że ma skrzydła. Trzeba zatem pokazać Ślązakom, że potrafią latać.

Dla Marcina Musiała, pochodzącego z Żor, podobnie jak dla wielu osób urodzonych w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, „rehtorką śląskiej godki i kultury była oma”, podczas gdy pokolenie rodziców, urodzone w PRL-u, mniej lub bardziej odwracało się od rodzimej kultury w imię awansu społecznego, związanego z polskością. Głębsze zainteresowanie historią, tożsamością i literaturą śląską pojawiło się wraz z wyjazdem do Warszawy, a po kolejnej przeprowadzce – tym razem do Katowic – zaowocowało pisaniem *śląskiego bloga literacko-politycznego*, poświęconego zarówno promowaniu kultury, jak też walce o prawa kobiet i osób LGBT.

Pomysł na organizację festiwalu wziął się z poczucia braku podobnej inicjatywy w regionie – takiej, która byłaby skoncentrowana na promocji lokalnych twórców, wśród których nie brakuje utalentowanych i cenionych również poza regionem, a którzy w swoich tekstach i działaniach skupiają się nie tylko na problematyce Śląska, lecz poruszają również tematy uniwersalne. Program powstał w ciągu kilku dni, a wśród trzydziestki zaproszonych gości znalazły się osoby „stanowiące sól intelektualną tej ziemi, zarażające optymizmem i pozytywną energią”. Miejsca, w których odbyły się spotkania, debaty i warsztaty – Bytomskie



Książki pisane i tłumaczone na język śląski

Fot. Silesiateka

# Pokazać Ślązakom, że potrafią latać

WERONIKA GÓRSKA

Centrum Kultury, Szkoła Filmowa im. Krzysztofa Kiesłowskiego i Nice Time Cafe w Katowicach, Księgarnia Dopełniacz i Rebel Garden w Chorzowie oraz Stacja Biblioteka i Księgarnia Stronnicza w Rudzie Śląskiej – są otwarte na śląską kulturę oraz kierowane przez czujących ją liderów.

Każde z festiwalowych wydarzeń przyciągnęło kilkudziesięcioosobową publikę, nie tylko zainteresowaną tym, co mają do powiedzenia autorytety w danej dziedzinie, ale też chętną do podjęcia dyskusji, czasami wyjątkowo ożywionej. Szczególnym powodzeniem cieszyły się debaty – *Czy Śląsk potrzebuje herosów i heroin* (Barbara Szutakiewicz-Przybyłka, Małgorzata Lichecka, Dariusz Zalega, Józef Krzyk, Zbigniew Rokita), *Śląsko godka – już język. I co dalej?* (prof. Jolanta Tambor, Pejter Długosz, Adam Kowalski, Grzegorz Kulik, Marcin Musiał), *Po co literatura*

(*śląska jeszcze jest?* (prof. Grażyna Barbara Szewczyk, Monika Kassner, Ilona Chylińska, dr Krystian Węgrzynek, Bronisław Wątroba, Marcin Musiał)).

Podczas pierwszej z debat zastanawiano się, kto z postaci historycznych oraz współczesnych najbardziej przysłużył się śląskiemu społeczeństwu i kulturze. Czy magnaci przemysłowi, jak von Donnersmarcowie, von Giesche, von Ballestremowie, von Plessowie, którzy poza kopalniami, hutami oraz pałacami budowali osiedla patronackie, gdzie robotnicy żyli – jak na dziewiętnastowieczne warunki – zdrowo i wygodnie? A może to żadna zaśluga odziedziczki majątek zбитy na systemie pańszczyzny i mnożąc go, dzielić się drobną częścią zysku z ciężko pracującymi górnikami i hutnikami? Może na większy szacunek zasługuje Karol Godula, który zrobił karierę „od zera do milionera”? Albo robotnicy i chło-



Doktor Małgorzata Tkacz-Janik w rozmowie z Marcinem Musiałem



Anouk Herman w rozmowie z Elżbietą Janotą. Fot. Silesiateka

Fot. Silesiateka

pi, którzy byli – w przeciwieństwie do kosmopolitycznej arystokracji i naśladowującego ją mieszczaństwa – „prawdziwymi” Ślązakami, a przy tym mimo ciężkich warunków bytowych samokształcili się, pozostawali wrażliwi społecznie oraz brali udział w rewolucjach, które odmieniły bieg historii nie tylko Śląska, ale też całej Europy? Czy w ocenie działań polityków, jak Wojciech Korfanty, generał Jerzy Ziętek albo Edward Gierek z perspektywy czasu na plan pierwszy powinny wysunąć się ich sukcesy czy porażki? Decyzje, które przysłużyły się poprawie losu prostego człowieka bądź takie, które ten los odmieniły na gorsze? A może zamiast skupiać się na przemysłowych i politykach, nieodmiennie męskich, powinniśmy poszukać wzorów do naśladowania wśród Ślązaczek, jak doktor Jolanta Wadowska-Król (zmarła w trakcie trwania festiwalu), która – zmagając się z nieprzychylnymi mężczyznami na szczytach PRL-owskiej władzy – diagnozowała, leczyła, wysyłała do sanatoriów chore na odowicę dzieci z Katowic-Szopienic, a także starała się o mieszkania z dala od śmiertelności wyziewów hut i o odškodowania dla nich i ich rodziców? Jako przykład współczesnej śląskiej heroiny przywołano także Karolinę Jakowenko, która poprzez pracę w Domu Pamięci Żydów Górnośląskich oraz w Fundacji Brama Cukermiana przypomina, że budowniczymi Śląska i Zagłębia, ich bogactwa i różnorodności byli nie tylko Ślązacy, Polacy i Niemcy, ale również nieobecni na tych ziemiach od dekad Żydzi.

W trakcie debat poświęconych śląskiemu językowi i literaturze również pojawiło się wiele ciekawych spostrzeżeń oraz pytań, na które nie sposób udzielić jednoznacznych odpowiedzi. Podnoszono między innymi to, że dobra literatura to taka, która mówi do czytelnika jego własnym językiem. Chwalono zarówno powstawanie nowych, śląskich tekstów (wydawanych między innymi przez Silesię Progress czy tworzonych na potrzeby Konkursu na Jednoaktówkę po śląsku, organizowanego przez Instytucję Kultury Katowice Miasto Ogrodów oraz Imago Public Relations), jak też dokonywanie tłumaczeń na śląski literatury niemieckiej, mówiącej o Śląsku (jak *Cholonek czyli dobry Pan Bóg z gliny* Janoscha) oraz literatury światowej (*Biblia*), w tym również tej dla dzieci (*We Muminkowyj Dolinie* Tove Janson, *Hobbit abo tam i nazod* J.R.R. Tolkiena, *Mikolajek* Rene Gościnnego), niemającej ze Śląskiem nic wspólnego. Każda taka publikacja rozwija godkę, pomaga jej znaleźć słowa opisujące zarówno dawny, jak i współczesny świat, codzienność oraz złożone zagadnienia filozoficzne. Każda też stanowi argument dla Rady Języka Polskiego, by uznała odrębność językową, kulturową i tożsamościową największej w Polsce, ponad półmilionowej mniejszości.

Dylematy, jakie wybrzmiały podczas debat, dotyczyły między innymi tego, czy śląskość definiuje pochodzenie, miejsce urodzenia, a może podjęty w dorosłym życiu wybór miejsca nie tylko do życia, ale również do kochania i coraz lepszego poznawania. Czy Ślązak musi nie tylko „poradzić godać”, ale też myśleć po ślą-



Dariusz Zalega chrzci najnowszą powieść Marcina Melona

sku? A może, jeżeli zna godkę wyłącznie biernie albo posługuje się nią słabo, nie mając ani prawidłowego akcentu, ani wystarczającego zasobu słownictwa, to może wyrażać swoją śląskość po polsku? Czy śląskość musi się kłócić z polskością i europejskością, czy też są one w stanie współgrać i się nawzajem dopełniać? Czy „godanie do bajtli każdy dzień” wystarczy, by poznały rodzimą mowę? A może śląskiego języka i kultury należy nauczać w szkołach? Tylko czy w ten sposób nie zniechęci się dzieci do swoich korzeni, nie zamieni przygody płynącej z ich poznawania w kolejny edukacyjny przymus? Czy śląska kultura nie jest zbyt patriarchalna i skansenowa, by przyciągnąć młode pokolenie? Czy oficjalne uznanie śląskiego za język, a w związku z tym dofinansowanie jego nauczania i promocji nie przyciągnie magią publicznych pieniędzy mnóstwa niekompetentnych osób? Dlaczego takie inicjatywy, jak na przykład podyplomowe studia regionalistyczne czy możliwość zwiedzania Muzeum Hutnictwa w Chorzowie ze śląskojęzycznym przewodnikiem spotkały się z bardzo słabym odzewem?

Poza budzącymi emocje debatami, poruszającymi fundamentalne dla Ślązaków kwestie, ogromne wrażenie wywarła na mnie różnorodność gości zaproszonych na spotkania autorskie, ich wrażliwości oraz poruszanych przez nich tematów. Profesor Tadeusz Sławek przywołał kanoniczne już *Listy z Rzymu* profesora Zbigniewa Kadłubka, pokazujące, że godka może służyć toczeniu filozoficznych i kulturoznawczych rozważań. Doktor Małgorzata Tkacz-Janik mówiła o potrzebie tworzenia śląskiej herstorii oraz o pierwszych sukcesach w tej dziedzinie. Przywołała też postać Janiny Omańkowskiej, która chociaż pochodziła z Poznania, to przeżyła na Śląsku szereg lat, pracując u podstaw na rzecz edukacji dziewcząt, a także otworzyła pierwszy po odzyskaniu niepodległości przez Polskę Sejm Śląski, będąc drugą kobietą na świecie, którą spotkał ten zaszczyt. Marcin Melon podkreślał rolę siedzących w oknie om, które poza plotkowaniem o sąsiadach służą im często pomocą, a w jego najnowszej powieści rozwiązują zagadki kryminalne. Anna Cieplak, związana ze Śląskiem, lecz pochodząca z Zagłębia, dostrzegła, że śląski matriarchat to w istocie taka

odmiana patriarchy, która oddaje domową władzę w ręce kobiet, bo mężczyznom jest tak wygodniej. Anouk Herman opowiadało o queerowaniu Śląska, o mieszkających tu osobach LGBT oraz akceptacji bądź jej braku, z jakim się spotykają. Pojawiła się też Aleksandra Zając, której debiutancka powieść rozgrywa się w czasie Powstań Śląskich, Anna Malinowska, autorka *Od Katowic idzie słońce*, który to tytuł zainspirował Marcina Musiała do stworzenia hasła festiwalu, a także pochodzący z czeskiej części Śląska Petr Cichoń. Wojciech Digenes natomiast poprowadził spacer przez centrum Chorzowa, opowiadając o błyskawicznej budowie niezwykle nowoczesnych, jak na czasy drugiej Rzeczypospolitej, „drapacza chmur”, Zakładu Ubezpieczeń Społecznych oraz budynku mieszkalnego dla jego pracowników, a także Liceum im. Juliusza Słowackiego. Pokazał ponadto groby Janiny Omańkowskiej oraz romskiej księżniczki.

„Mały Festiwal Wielkiej Literatury. Od Śląska bije światło” okazał się strzałem w dziesiątkę. Zarówno duża frekwencja podczas kolejnych wydarzeń, jak też toczone podczas nich ożywione dyskusje wskazują, że na Śląsku brakowało podobnej inicjatywy. W kolejnych edycjach Marcin Musiał chciałby potraktować Śląsk szerzej, zapraszając gości zarówno z okolic Opole, Wrocławia, jak i Cieszyna, a także pochylić się nad jeszcze sobie nieznaną, lecz kryjącą olbrzymi potencjał żydowską historią regionu, tworząc swoistą Śląską Unię Kulturalno-Literacką. Planuje również założyć fundację, która ułatwiłaby znajdowanie prywatnych sponsorów. Wnioskiem płynącym z pierwszej odsłony festiwalu jest dostrzeżenie, że światłem i „solą ziemi czarnej” są pasjonaci i aktywiści, ludzie z ogromnym potencjale intelektualnym oraz energii, by działać, tworzyć, dyskutować. ■

**„Mały Festiwal Wielkiej Literatury. Od Śląska bije światło”, organizatorzy: Silesiateka. Twoje miejsce na Śląsku, Marcin Musiał. Śląski Blog, 15–24 czerwca 2023 roku, Bytom – Chorzów – Katowice – Ruda Śląska.**

Trwają prace renowacyjne przy kapliczce w Strzemieszycach Małych, której dzieje są niezwykle. Ma ponad 200 lat. Po II wojnie światowej służyła okolicznej ludności w roli kościoła. W intencji budowy świątyni z prawdziwego zdarzenia modlił się przy niej papieski nuncjusz, odwiedzali ją duchowni związani z Karolem Wojtyłą oraz kardynałem Stefanem Wyszyńskim. Choć padła ofiarą pożaru – pożogę przetrwała figura jej patrona. W murach niewielkiego obiektu sakralnego odnaleziono też ciekawe historyczne relikty.

### Pod opieką św. Antoniego

Pierwotnie kapliczka w Strzemieszycach Małych, która dziś znajduje się przy ul. Głównej, była pod wezwaniem św. Antoniego. Powstała prawdopodobnie na przełomie XVIII i XIX wieku. Wtedy Strzemieszyce Małe przynależały do parafii pw. św. Antoniego w Gołonogu. Zresztą w innych miejscowościach, m.in. na terenie obecnych dzielnic dzisiejszej Dąbrowy Górniczej też spotkamy kapliczki pod tym wezwaniem. Gdy kapliczka była wykorzystywana już jako kościół (w latach 1957–1968), nosiła wezwanie Matki Boskiej Szkaplerznej, ale święty Antoni był wtedy i nadal jest jej patronem. Dzisiejsza parafia w Strzemieszycach Małych jest pw. Matki Boskiej Szkaplerznej, a obecnie kapliczka przechodzi gruntowny remont.

### Figura cudownie uratowana z pożaru

– Z pierwotnego wyposażenia kapliczki zachowała się tylko figura jej patrona. W 1957 roku w kapliczce miał miejsce tragiczny pożar, który pochłonął większą część wyposażenia, stało się to wkrótce po powstaniu parafii. Jak opisuje to w kronice ówczesny proboszcz ks. Stanisław Bigaj z pożaru cudownie uratowała się tylko figura świętego Antoniego. Figura została teraz skierowana do renowacji i rzeczywiście po dokładnych oględzinach ustalono, że jest osmalona. Możemy więc potwierdzić, że jest to rzeźba, która uratowała się z groźnego pożaru. Jest w stylu ludowym i barokowym, została wykonana z drewna i pokryta emalią. Po konserwacji wróci na swoje pierwotne miejsce – mówi Arkadiusz Rybak, opiekun naukowy przedsięwzięcia remontu kapliczki, mieszkaniec Strzemieszyc Małych i członek rady parafialnej kościoła pw. Matki Boskiej Szkaplerznej.

Remont kaplicy pozwoli na przywrócenie jej wyglądu pierwotnego, który został uzgodniony z konserwatorem zabytków na bazie materiałów archiwalnych, fotografii i starych opisów. Zostaną przywrócone m.in. tynki cementowo-wapienne, odremontowany zostanie też dach, który stanowi jej główną ozdobę. Będzie to dach gontowy, który w większości już został wykonany. Powstaje z gontu modrzewiowego. Na szczycie kalenicy jest



Kapliczka w Strzemieszycach Małych w roli świątyni w trakcie nabożeństwa 24 grudnia 1959. Zwraca uwagę polowy namiot, tworzący nową prowizorycznego kościoła

# Niezwykła historia zwykłej kapliczki

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

zakończony baniastą sygnaturką. Tam będzie zamocowany dzwon, który też zachował się w oryginale.

### Dachówki z Towarzystwa Akcyjnego "Pustelnik"

– Na przestrzeni lat kapliczka zmieniała swój wystrój tak w środku, jak i na zewnątrz. Początkowo była kryta gontem, a później przez krótki czas (przez 10-15 lat) dachówką. Była to dachówka historyczna. Teraz podczas remontu odnaleziono kilkanaście takich dachówek. Były to dachówki z Towarzystwa Akcyjnego "Pustelnik" pod Warszawą. Była to duża cegielnia, która na przełomie XIX i XX wieku zaopatrywała praktycznie całą Polskę w wyroby ceramiczne. Ich elementem charakterystycznym jest wyciśnięta okrągła pieczęć z sygnaturą towarzystwa. Dachówki zostały zabezpieczone. Jedna z nich trafiła do Muzeum Miejskiego "Sztęgarka" w Dąbrowie Górniczej, pozostałe będą wyeksponowane w Strzemieszycach Małych – dodaje Arkadiusz Rybak. – Zachował się jeszcze oryginalny fragment więzby dachowej, prawdopodobnie z czasów budowy kapliczki, który też został zdeponowany w muzeum. Wykonanie badań dendrologicznych tego fragmentu pozwoli w przyszłości na ustalenie dokładnej daty powstania kapliczki.

### Kapliczkę odwiedzało wielu znamienitych gości...

Zgodnie z zapisami w kronice parafialnej, ówczesny proboszcz ksiądz Fortu-

nat Nowak, już niestety nieżyjący, opisywał, że gdy przebywał na plebanii otrzymał wiadomość, że pod kapliczką podjechał czarny samochód. Były lata 60. Kapliczka stoi w centrum miejscowości, dziś przy ul. Głównej. Jak się okazało gośćmi byli: biskup częstochowski ks. Stefan Bareła, ks. Paweł Deskur, przyjaciel Karola Wojtyły i... ks. Agostino Casaroli, nuncjusz papieski, który jechali do kardynała Stefana Wyszyńskiego do Krakowa. Mieszkańcy Strzemieszyc Małych starali się wówczas o wybudowanie kościoła. Dopiero w 1968 r. udało się uzyskać zgodę władz komunistycznych na inwestycję. Przez 11 lat funkcję kościoła pełniła kapliczka. Ksiądz Casaroli odmówił modlitwę przy małej świątyni.

– Nie mamy danych, co do tego kto odwiedzał kapliczkę przez cały wiek XIX. Parafia Matki Boskiej Szkaplerznej powstała w 1957 r. 11 lat po tym nastąpiła zgoda na wybudowanie kościoła. Gdy powstał, kapliczka powróciła do swoich funkcji pierwotnych, dziś jest używana sporadycznie przeważnie przy procesjach Bożego Ciała, kiedy jest tam jeden z ołtarzy i dlatego powstał pomysł, by ją odremontować i przywrócić do wyglądu jaki miała jeszcze w pierwszej połowie XX wieku – wyjaśnia Arkadiusz Rybak.

Remont zleciła parafia Matki Boskiej Szkaplerznej, która nadzoruje go formalnie. Sponsorem prac jest były parafianin Jacek Bieczek.



Prace renowacyjne przy zabytkowej kapliczce w Strzemieszycach Małych.



Kapliczka stan z 1958 roku



Ta sama kapliczka – stan obecny.



# Mieszkanie bez adresu

WOJCIECH LIPOWSKI

**B**ywają odbiorcy, którzy niemal każdą opowiedzianą historię uważają za prawdziwą, wiarygodną od początku do końca. Nie interesują ich ukryte intencje autora, zakładają, że fabuła znajduje swe umocowanie w zapoznanej rzeczywistości, utożsamiają się bardzo szybko z bohaterami i autorem. Czy nie są odrobinę naiwni przyjmując takie kryteria poznawcze? To ich sprawa. Nie wszyscy muszą się w końcu interesować, jakimi ścieżkami podąża recepcja i styl różnych form wypowiedzi, szczególnie tych prezentowanych na scenie. Inaczej jest w przypadku czytelnika obytego w lekturze, z założenia nieufnego, podejrzliwego, pozostającego w dystansie do szeroko pojętej wiarygodności i prawdziwości tekstu. Pełno w nim wszak pułapek, różnego rodzaju zasadzek, podejrzanych kontekstów, co gorsza wycieczek do innych źródeł czy ludzkich doświadczeń. W każdym razie ten, kto czyta ma szansę na odsłonięcie mechanizmów fabuły, zgłębienie istoty faktów relacjonowanych przez autora a przez to również zbliżenia się do jego osoby.

Propozycję zabawy różnymi konwencjami, możliwościami lektury zaproponował widzom Teatr Zagłębia przygotowując na zakończenie sezonu przewrotną, niepokojącą, wręcz podejrzaną poznawczo, gargantuicznie niepoważną farsę *Kto puka?* Przemysław Piłarskiego. Zresztą, by trzymać się gry wspomnianymi konwencjami, autorzy poukrywali się za pobudzającymi wyobraźnię nazwiskami rodem z Ameryki Południowej. Więc Piłarski to u nich w Sosnowcu Dick Soltys, reżyser spektaklu Jacek Jabrzyk Alejandro de Nada, kostiumy, scenografia Łukasz Błaziejewski, czyli Mercedes Plejada. Trochę swojsko, trochę światowo. W takim towarzystwie, które przybyło z daleka, żadna historia nie powinna budzić zdziwienia. Trzeba bowiem pamiętać, jak słyszymy ze sceny, że są rzeczy, o których się mówi. I są rzeczy, o których się nie mówi. Jak wyznaje autor sztuki: „Musimy ciągle udawać, rozdarci między chceniem a zakazem, pożądaniem a karą piekielną, tym, co w głowie i tym, co poniżej. Ale zaraz, czy naprawdę musimy?”

No i ta farsa, gatunek dla niektórych powszedni, łatwy, pospolity, przewidywalny. Jednak w tym wypadku należy mieć się na baczności, bowiem pod

dywanem humoru umieszczono, jeśli tak można napisać, niezwykle przemysłaną, logiczną konstrukcję problemową spraw ważnych, mocniej przyciąganych przez siły grawitacji, a jednak niewidocznych w pozorowanej, przyjemnej tkance lekkości tego gatunku tak lubianego przez szerszą publiczność. Wszyscy, którzy zasiądą w fotelach na widowni mogą być pewni, że uruchomiony z całą premedytacją proces poznawczego zanurzenia w naturze rzeczywistości, stanie się zaproszeniem do rozmowy, ośmieleniem odbiorcy, refleksji dotyczącej świata jawiącego się w formie dobrze napisanej opowieści. Bliskiej każdemu, dotyczącej spraw lokalnych, naszych, odbieranych intuicyjnie, będących figurą wspólnych doświadczeń.

Najnowsza sztuka sosnowieckiej sceny to jak wspomniano farsa, ale szczególnie, bo wzbogacona o mocny, przenikliwy, czasem będący medialną kliszą, komentarz odnoszący się do zagadnień czerpanych garścią z naszego politycznego, społecznego i obyczajowego podwórka. Cóż z tego, że się bawimy, śmiejemy, skoro od czasu do czasu śmiech zamiera, bo gorzka prawda rzeźczy w sposób tak oczywisty nas dotyczących nie pozwala zachować się inaczej. Doceńmy tę rzadką sposobność, że ktoś tworzy komedię umieszczając jej akcję nie w odległych regionach świata, tylko u nas, za rogiem. W tym wypadku bardzo swojskim. Mamy więc zwyczajne mieszkanie, bez konkretnej lokalizacji, gdzieś pośród innych pogu-

bionych w przepastnych blokowiskach, gdzie można zniknąć, stać anonimowym bez obawy, że ktoś się dowie, gdzie spotkać się mogą w tajemnicy ludzie, pod warunkiem, że ktoś niepożądany nie zapuka nagle do drzwi.

Jest także układ, nazwijmy go towarzyskim, tworzony przez teścia, syna i synową, którzy jak na ironię losu, postanowili skorzystać z tego przytuliska odziedziczonego po teściowej w jednym terminie. Bardzo udanie wypadło bezsilne mnożenie powodów, które sprawiły, że powyższa galeria postaci pojawiła się pod tym adresem. Trzeba przyznać, że Piłarski wykazał się twórczą pomysłowością kreśląc portrety bohaterów, którzy za wszelką cenę starają się pochwalić mistrzostwem w sztuce udawania, zamianie tożsamości, w końcu tworzeniu na poczekaniu czegoś na kształt strategii manipulacji społecznych. Konstruowanie fikcyjnych stanów zaskoczenia, gry z drugim człowiekiem, to jednocześnie w tym utworze zabawa własnym życiem, studiowanie i sondowanie pojemnych odmetów jego możliwości. Epizod goni epizod, aktorzy nie zawsze nadążają za uciekającym pociągiem zdarzeń, tekst autora farsy pędzi tak szybko, jest gęsty, że trzeba niebywalej kondycji, aby dogonić jego wszelkie intencje, wygrać potrzebne tony, tym bardziej, że zmianom scen towarzyszy także często zmiana przestrzeni scenicznej więc trudność jest niejako podwójna.

Spójrzmy na chwilę na krytyczny obraz rzeczywistości społecznej



fol. Jerzsi Astaszow



i obyczajowej nakreślony przez twórców spektaklu. Przenikliwe ostrze farsy dotyka przede wszystkim praktykowanej powszechnie ewazji, czyli uchylania, ucieczki przed światem, skrywania prawdziwej tożsamości, wyparcia pragnień, poglądów, woalowania preferencji seksualnych i wielu oczywistych codziennych potrzeb. To niewielkie mieszkanie zdaje się pękać od problemów współczesnych ludzi, którzy nie tyle skryli się w nim, by oddawać nie akceptowanym przez innych praktykom, ale szukają sposobu powrotu do siebie, drugiego człowieka. I nieważne przy tym, że muszą prowadzić „dwa życia” jak mówi jeden z nich, gorszą rzeczą jest, że fundament, na którym wznosi się ta dziwna budowla to morze kłamstw i wzajemnych kręctw. Pomiedzy tym jakieś resztki udawanej pruderii, swobodnie interpretowana wiara, a raczej dewocyjna religijność, duszący zapach mieszczańskiej dulszczyzny. Jabrzyk i Pilarski konsekwentnie punktuja te wszystkie wskazane powyżej, dodajmy tylko nieliczne, dominanty życia społecznego tu i teraz. Pu-

bliczność bawi się i śmieje, ale co jakiś czas dziwnie milknie i wpada w zadumę a może też przerażenie, że to tak blisko, jeszcze obok rozlega się to nieszczęsne pukanie, przypominanie, wyciąganie, nazywanie po imieniu spraw schowanych w starych szufladach uprzedzeń i niepamięci. Trochę tego za dużo jak na farsę, może ktoś powiedzieć, w końcu przyszliśmy do teatru na komedię. Być może, ale parafrazując słynną frazę Witkacego, który napominał, by bawić się, śmiać, ale też myśleć, w imię przyjemności pogadajmy ze sobą o świecie przez farsę właściwie rozpoznającym i wnikliwie przeczytanym. Może poprzez połączenie komiczności, która uwodzi lekkością z tematami teatru dramatycznego uzyskamy obraz pełniejszy, bardziej krytyczny i prawdziwy, choć pełen dysonansów, bo istniejący w sferze estetycznej teatru.

Wróćmy do postaci *Kto puka?* Mamy tam ludzi różnych stanów i profesji: skrajnie prawicowy polityk, proboszcz z niewielkiej parafii, dziadek spędzający z nim długie wieczory, wyzwolona kobieta romansująca z wysportowanym

kochankiem, grupa mężczyzn zarabiających na życie występami tanecznymi w lokalach. Wszystko pędzi, wiruje, mnożą się gagi, ktoś ukrywa się w wersalce, inny w łazience, co rusz rozlega się głośne pukanie do drzwi. Spora dawka atrakcji, pomysłowość scenografa budzi uznanie i dobrze gra z aktorami, szczególnie w drugiej onirycznej części spektaklu, gdzie prawda przybiera formę baśniową, może bardziej dojmującą niż sprawdzalna empirycznie rzeczywistość. Ten kontrapunkt na długo pozostaje w pamięci po opuszczeniu teatru, zakończony zupełnie nieoczekiwaniem tanecznym układem wykonanym brawurowo z przymrużeniem oka.

Aktorzy odnaleźli się bez trudu w farsowej konwencji, bawili rolami, ale też, szczególnie w zakończeniu, pokazali, że mają dystans do poruszanych tu spraw. Na pewno zachwyciła widzów Mirosława Żak w podwójnej roli Renaty i Matki. Grała tak jak wymaga tego gatunek ze swadą, ale też delikatną ironią zaprawiając tam, gdzie to konieczne cięte riposty dawką swobodnego humoru. Rolę miała trudną, bo to jedyna kobieta w obsadzie, więc ciężar odpowiedzialności spory. Książdz Marek i Dziadek, czyli Piotr Zawadzki i Wojciech Leśniak jako nierozłączna para z kieliszkiem w dłoni wypadli zabawnie i przejmująco jednocześnie, bo w swych dialogach poruszali różne, czasem trudne społecznie kwestie. Tomasz Kocuj w roli Patryka pokazał paletę możliwości aktorskich, podobnie zresztą jak Aleksander Blietek, znerwicowany, eksplozywny mężczyzna o imieniu Jarek. Gdzieś z boku sceny oaza spokoju i oczekiwań Paweł Charyton w roli kochanka-hydraulika, który nie wymawia „r”, ma ukryte pasje i nie wie, jak sensownie uporządkować własne życie. Galerię zamykają żywołowi policjanci, tacy specjaliści, czyli Krzysztof Korzeniowski i Michał Bałaga.

Na koniec pozostaje pokusa, aby ten mieniący się barwami, pędzący spektakl na chwilę zatrzymać, spowolnić. Wszystko po to, aby na spokojnie spojrzeć na wszelkie pomieszczone tam rzeczy zaczerpnięte z różnych porządków, zarówno te rzeczywiste oraz ich wyimaginowane warianty. I co nam zostanie w dłoniach? Okruchy szerszej całości, refleksja nad meandrami codziennej wędrówki wśród ludzkich spraw, a może bezinteresowna przyjemność płynąca z faktu, że można nieco uporządkować ten postawiony na głowie świat. ■

**Przemysław Pilarski**  
***Kto puka?***  
**reż. Jacek Jabrzyk**  
**Teatr Zagłębia w Sosnowcu**  
**Premiera 15 kwietnia 2023**



# Joseph Conrad-Korzeniowski i Wołogda

STEFAN ZABIEROWSKI

1  
Wołogda, miejscowość położona na północy Rosji, już za kręgiem polarnym, jest miejscem, które odegrało nader doniosłą rolę w biografii Conrada-Korzeniowskiego i jego rodziców – Ewy i Apolla Nałęcz-Korzeniowskich. Tutaj bowiem zostali oni zesłani, decyzją carskiego sądu wojskowego, w Warszawie z dnia 9 maja 1862 roku. Jak do tego doszło?

Apollo Korzeniowski w maju 1861 przybył do Warszawy z Żytomierza, by tam – pod pretekstem wydawania czasopisma „Dwutygodnik” – podjąć działalność propagandową przeciw zaborcy rosyjskiemu. Niedługo po swoim przybyciu sprowadził Apollo do Warszawy żonę Ewę i synka Józefa Teodora Konrada. Zamieszkali przy ulicy Nowy Świat 45. Mieszkanie Korzeniowskich stało się punktem zbornym polskich konspiratorów. Po latach – w oparciu o wspomnienia uczestników tej konspiracji – tak Conrad opisał w przedmowie do autobiograficznego tomu *Ze wspomnień* przybyszów do mieszkania rodziców. Czytamy tam:

„Przypomniano także polityczną działalność ojca; kilku współczesnych mu ludzi – jego kolegów w pracy, mierzącej do utrzymania w narodzie niezłomnej nadziei na przyszłą niepodległość – ogłosiło po doświadczeniu do starości wspomnienia, w których rola odegrana przez ojca została ujawniona po raz pierwszy. Dowiedziałem się wówczas o faktach z jego życia zupełnie mi nie znanych, faktach, które poza grupą wtajemniczonych mogły być wiadome tylko jednej osobie – mojej matce. I tak w tomie pośmiertnych wspomnień odnoszących się do tych gorzkich lat dowiedziałem się, że pierwotnym zamiarem tajnego Komitetu Narodowego było zorganizowanie opór moralny przeciwko wzmózonemu uciskowi rosyjskiemu i że projekt ten wyszedł od ojca, a pierwsze zebrania Komitetu odbywały się w naszym mieszkaniu w Warszawie”.



Ewa (Ewelina) z Bobrowskich Korzeniowska, matka Konrada i ojciec, Apollo h. Nałęcz Korzeniowski

W mieszkaniu Korzeniowskich odbywał narady tak zwany Komitet Ruchu, który stanowił załączek Rządu Narodowego w powstaniu 1863 roku. Niestety, Korzeniowscy – jako podejrzani – stali się rychło obiektem zainteresowania carskiej policji. W ich warszawskim mieszkaniu przeprowadzono rewizję i znaleziono tam listy Ewy do męża, pisane z Ukrainy, a pełne treści patriotycznych. Jak trafnie zauważyła badaczka Conrada Barbara Koc (w czasie okupacji należąca do Szarych Szeregów) Apollo nie przestrzegał podstawowych zasad konspiracji i zamiast zniszczyć listy żony, przetrzymywał je w domu.

Przytoczmy parę fragmentów z owej korespondencji. Ewa pisała do męża z Terechowej w początku maja 1861 roku, namawiając męża do pozostania w Warszawie, ponieważ grozi mu aresztowanie po powrocie na Ukrainę: „Więcej jak kiedykolwiek pragnę, abys tam został. Kto wie, czy to już nie jedyna przesiedlenia się zręczność? Kto wie, czy po powrocie gdzie indziej nie zajedziesz? Zlituj się, znajdź zręczność, jadącego tu kogo, napisz otwarcie, stanowczo co zrobisz. Zlituj się, bądź ostrożny z pocztą”.

19 czerwca informowała męża o powszechnym noszeniu żałoby, by w ten

sposób uczcić pamięć demonstrantów, zabitych w Warszawie na Placu Zamkowym, w dniu 8 kwietnia 1861 roku: „Żałoba tak ogólna, że ledwo czasem widać się kolorowe suknie. Konradek dotąd w potrójnych naszych ulubionych kolorach; ale ma żalobną sukienkę i inaczej do kościoła go nie poprowadzę”.

20 czerwca donosiła mężowi: „Kończę. Zmęczona jestem: cały dzień żalobną sukienką Konradka szyłam. Tak tu czarno, dzieci nawet, że małe wciąż sam o żałobę prosi. Powinnością było mu dogodzić”.

Nieco wcześniej, bo 4 czerwca Ewa informowała męża z Terechowej o polityce władz rosyjskich w stosunku do Polaków, zamieszkujących te tereny: „Wysłuchaj coraz bardziej się niecierpliwi i dość często powtarza i że dość czekał na opamiętanie, i że teraz z najspokojniejszym sumieniem po 50-ciu na dzień potrafi wywozić. Wszędzie komisje śledztwa, kto promował nabożeństwa. Każą składać hymny po kościołach śpiewane i tłumaczyć się, skąd je dostano. W Żytomierzu za śpiewanie pierwszego dnia świąt 5 i 6 klasę zamknięto. Uczniów z obu tych klas rozesłano do powiatów, gdzie marszałkowie ode-



brali cyrkularz obowiązujący uspokoić nie uległ młodzieź, pod strachem okropnych kar dla tej ostatniej. Kilku starszych trzymają na robotach żołnierskich i wybadują, srogo się z nimi obchodząc. Wszystko to rzecz pewna”.

## 2

Właśnie treść tej korespondencji, stanowiła podstawę do uwięzienia Apolla w Cytadeli warszawskiej. W oparciu o zawartość tych listów przygotowano akt oskarżenia, przeciw Apollowi i Ewie Korzeniowski. W sumariuszu tego aktu Stałej Komisji Śledczej czytamy: „Zamieszkały w Warszawie literat, urodzony w guberni kijowskiej, Apollo Korzeniowski, został aresztowany pod rozmaitymi zarzutami. [...] Ze przebywając przed przyjazdem do Warszawy w m. Żytomierz, organizował tam w czerwcu 1861 roku: modlitwy za zabitych w Warszawie przez Rosjan podczas manifestacji politycznych, a żona jego przypinała żałobne kokardy. [...] 27 kwietnia; 9 maja 1862 Nr 998. Nakazano wysłać Korzeniowskiego i jego żonę na pobyt w m/Perm, pod surowy nadzór policji”.

Ostatecznie jednak pierwotną treść wyroku zmodyfikowano i na miejsce zesłania wyznaczono Wołogdę. Ewa i Apollo, nie chcąc rozstawać się z synkiem, zabrali małego Konradka razem ze sobą na zesłanie. Jak informował przyjaciel Korzeniowskiego, Stefan Buszczyński, w poświęconej mu broszurce pod tytułem *Mało znany poeta, stanowisko jego przed ostatnim powstaniem, wygnanie i śmierć* (1870): „Przejazd Korzeniowskiego przez Litwę był prawdziwym tryumfem. W Białymstoku na jego spotkanie zbiegł się tłum ludzi, których żandarmi i Kozacy nahażkami rozpędzali. Wieziono go potem manowcami, obawiając się aby przez mieszkańców litewskich nie został przemocą oswobodzony”.

Ale sama podróż, na miejsce zesłania przysporzyła rodzinie Korzeniowskich wiele poważnych kłopotów. Tako tym pisał Apollo do swoich krewnych Gabrieli i Jana Zagórskich: „Nie będę Wam opisywać podróży, a z tysiąca mniej więcej przykrych faktów wybierając najboleśniejszy, malujący cywilizację kraju, opowiem. W Białokamiennej [Moskwie] malec dostał zapalenia płuc, lekarz stawia go pijawkami i kalomelem karmi – dobrze. Ale wtem konie zaprzęgają. Naturalnie ja sprzeciwiam się jechać, zwłaszcza że doktor wyraźnie objawia, iż w takim razie dziecko umrzeć może. Bierny mój opór zwleka podróż, ale doprowadza mego opiekuna do udania się do wyroczni miejscowych. Wyrocznia cywilizowana, wysłuchawszy raportu objawia, aby zaraz jechać, gdyż dzieci na to się rodzą, aby umierać (sic). Trzeba więc jechać, tylko bierną walką zyskałem kilkanaście godzin czasu”.

Kłopoty w podróży na zesłanie swego szwagra i jego rodziny opisał też w swoim *Pamiętniku* wuj Conrada – Tadeusz Bobrowski. Przywołajmy stosowny cytat: „W drodze na przedostatniej przed Moskwą stacji rozchorował się Korzeniowski synek, a gdy eskortujący żandarmi zatrzymać się odmówili, zrozpaczeni rodzice oświadczyli, że chyba siłą zmuszą ich do dalszej podróży. Jakis ludzki podróżny jadący do Moskwy przyrzekł, im przysłać lekarza, a Korzeniowski przypomniawszy sobie, że ma w Moskwie znajomego dra Młodzianowskiego, profesora uniwersytetu, który kiedyś był jego korepetytorem w Winnicy, wezwał go za pośrednictwem czynnego podróżnego. Jakoż wkrótce nadjechał zacny eskułap i odratował dziecko z ciężkiego zapalenia mózgu, a posiadając rozległe stosunki w Moskwie, wyrobił kilkudniowe powstrzymanie podróży, zanim dziecko znieść ją mogło”.

Ostatecznie Korzeniowscy z synkiem docierają do Wołogdy. Warunki życia w tym miejscu zesłania opisał Apollo Korzeniowski w liście do Zagórskich Przywołajmy stosowny fragment: „Wołogda jest to wielkie trzywerstowe błoto, na którym w równoległych i krzyżujących się liniach rzucone są kładki z drzewa, wszystkie zgniłe, chwiejące się pod nogami; jest to jedyny środek komunikacji tuziemców. Przy tych kładkach są w pewnych odstępach wbite pale, na tych palach zbudowane są włoskie wille przez szlachtę guberni, która tu cała mieszka. Klimat dzieli się na dwie pory roku: białą zimę i zieloną zimę. Biała zima trwa dziewięć i pół miesiący zielona – dwa i pół. Jesteśmy na początku zielonej zimy; deszcz już pada 21 dni ciągle i tak do końca będzie. W białą zimę mróz trzyma się od 25 do 30 stopni, a wiatr z Białego Morza, niczym nie powstrzymany, przynosi ciągłe wieści od niedźwiedzi północnych”.

Jak informował, biograf Apolla, przywoływany już, Stefan Buszczyński: „Wszędzie gdzie tylko się znajdował, moskiewskie władze z wielkim były uszanowaniem i czcią dla jego charakteru. Nie nosił innego ubrania tylko polskie, a do urzędników zawsze ojczystym przemawiał językiem. Sam nigdy o nic nie prosił. W skutek przedstawienia miejscowej władzy, że klimat dla jego żony był szkodliwym, otrzymali oboje pozwolenie wyjechania do Czernigowa. Gubernator wołowski Chomiński na słowo honoru puścił ich bez żandarmów, co mu bardzo miało za złe czernigowski gubernator książę Golicyn”.

Wówczas miał miejsce fakt, który francuski biograf Conrada, Georges Jean-Aubry, opisał ze wzruszeniem. Oto w miejscowym zakładzie fotograficznym Stanisława Krakowa wykonano w roku 1863 zdjęcie małego Konradka, ubranego w szamerowaną kurteczkę i siedzącego na fotelu z poważną miną. Na odwrotnej stronie owej fotografii była dedykacja

skreślona ręką dziecka, zapewne prowadzona przez matkę. Brzmiała ona: „Kochanej Babuni, która mi pomogła biednemu tatkowi ciastka do więzienia posyłać, wnuczek, Polak – katolik i szlachcic KONRAD”.



Były to pierwsze znane słowa zapisane przez przyszłego wielkiego pisarza. Na początku 1863 roku zesłańców przeniesiono na Ukrainę, do Czernihowa, gdzie warunki zesłania były o wiele lepsze. W sierpniu tegoż roku Ewa otrzymuje zgodę na trzymiesięczny pobyt u swoich krewnych w Nowochwastowie. Niestety, stan zdrowia matki Conrada, po tych tragicznych przejściach, stale się pogarszał. Niewiele dawały interwencje lekarskie. Apollo pisał do swego przyjaciela Kazimierza Kaszewskiego w lutym 1865 roku: „Moja biedna żona, od paru lat zabijana tęsknotą i ciągle ponawiającymi się ciosami, co spadają na członków naszych powiązanych rodzin, od miesiący czterech okrutnie obłożnie chora, ledwo siły ma dość, by spojrzeć na mnie, by przemówić zagastym głosem. Brak wszystkiego dla ciała i serca, brak lekarzy i środków zaradczych spowodowały stan ten. Dziś wolno (od dziś dopiero) przejechać jej na kurację do Kijowa. Ale siły nie pozwalają. Bóg niech będzie z nami – bo ludzie niewiele nam już pomogą”.

Ewa Korzeniowska zmarła w Czernihowie 18 kwietnia 1865 roku. Niestety, zarówno cmentarz, na którym została pochowana, jak i kościół katolicki, gdzie umieszczona była tablica poświęcona matce Conrada, zniszczone zostały w latach trzydziestych przez władze komunistyczne.

W połowie 1866 roku mały Konradek wyjechał do wuja Tadeusza do Nowochwastowa. W październiku tegoż roku chłopiec przechodzi kurację w Kijowie. Ostatecznie, po wielu zabiegach, jak informował biograf Conrada, Georges Jean-Aubry: „Po sześciu latach wygnania, w grudniu 1867 roku, w rezultacie starań poczynionych bez

wiedzy zięcia przez panią Bobrowską, ministerstwo spraw wewnętrznych, w imieniu cara Aleksandra II, wydało paszport ważny na rok «szlachetnie urodzonymu Apollowi Korzeniowskiemu w towarzystwie jego syna Konrada, liczącego lat dziesięć, w celu udania się do Algeru lub na wyspę Madere». Paszport ten, podpisany przez księcia Golicyna, wręczono wygnańcowi w pierwszych dniach stycznia”.

Apollo nie pojechał do tych odległych miejsc, bo nie pozwalał na to jego stan zdrowia. Korzeniowski i jego synek opuścili państwo rosyjskie i w styczniu 1868 roku przybyli do Lwowa, w zaborze austriackim.

### 3

Nie trudno dowiedzieć, że pobyt na zesłaniu w Wołogdzie małego Konradka wraz z rodzicami miał wielkie znaczenie później dla pisarza angielskiego Josepha Conrada. Bowiem w twórczości Conrada problematyce rosyjskiej przypadło wiele miejsca. Podejmując ten temat badacze Conrada na ogół odwołują się do jego publicystyki politycznej a także przywołują dwie jego powieści polityczne – *Tajnego agenta* (1907) i *W oczach Zachodu* (1911). Utwory te opisują autokratyczny i polityczny system rządzenia w państwie carów.

Należy w tym miejscu przypomnieć, że twórczość Conrada znana była w Rosji zarówno carskiej jak i sowieckiej. Jak pisał badacz recepcji autora Lorda Jima w Rosji Wiktor Borysow: „Spuścizna literacka Conrada w Rosji ma zresztą własną i nader skomplikowaną historię. Okresy wielkiej popularności pisarza przeplatały się z latami, niekiedy długimi, całkowitego, zdawałoby się, zapomnienia. Niemniej jednak nie można nie przyznać, że Conrad należy do tych nielicznych naprawdę wielkich zachodnich mistrzów pióra, których czytelnik rosyjski zna nie najgorzej. Niemal wszystkie najważniejsze utwory Conrada zostały przetłumaczone na język rosyjski, wiele z nich wydano w przekładach różnych tłumaczy, a niektóre, jak na przykład Placówka postępu i Freja z Siedmiu Wysp, miały sześć i więcej wydań”.

Warto zwrócić uwagę, że rosyjscy badacze Conrada i krytycy (Iwan Aksionow, Siergiej Bobrow) traktowali tego autora jako swego rodzaju ucznia Fiodora Dostojewskiego. Inne podejście w tym zakresie reprezentowali conradyci polscy, jak Rafał Marcei Blüth, czy Zdzisław Najder. Odczytywali oni poszczególne utwory Conrada, takie jak *Lord Jim*, czy też *W oczach Zachodu* jako polemikę z Dostojewskim.

### 4

Nic tedy dziwnego, że w takiej sytuacji próbowano utrwalić miejsca pobytu Conrada na terytorium rosyjskim. Miejscem takim była – rzecz jasna – Wołogda. I rzeczywiście: 28 kwietnia 2013 roku w miej-

scu budynku, w którym, w czasie zesłania mieszkali Korzeniowscy z synem, wzniesiono pomnik. Pomnik wykonał rzeźbiarz z Petersburga, Władysław Buchajew, a całość sfinansowana została przez polskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Pomnik, zbudowany z czarnego marmuru, miał kształt steli.

Na płycie marmurowej wyryto napis w języku rosyjskim i polskim: „Joseph Conrad. (Jozef Konrad Korzeniowski) wybitny pisarz przebywał w Wołogdzie w latach 1862–1863”.

Jak informowała Ewelina Burda na łamach „Tygodnika Powszechnego” z dnia 30 czerwca 2016 roku pomnik Conrada został – już po trzech latach – rozebrany. Miejscewo Polonia protestowała przeciw tej rozbiórce. Zaś rosyjskie lokalne władze – w polemice z przedstawicielami polonii – używały różnych (i wykluczających się) argumentów, by uzasadnić demontaż tego pomnika. I tak pomnik rozmontowano, bo jakoby nie pasował on do miejscowej architektury, bo w tym miejscu musiano przeprowadzić remont sieci wodno-kanalizacyjnej, wreszcie że miejscowej ludności nazwisko Joseph Conrad nic nie mówiło.

Na nic zdały się protesty miejscowej polonii. Nie był to jednak wypadek odosobniony. Jak informowała autorka artykułu w „Tygodniku Powszechnym” w niedalekim Jercewie „nieznani sprawcy” zniszczyli głaz z tablicą upamiętniającą pobyt w miejscowym Gułagu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, pisarza, który fascynował się twórczością Josepha Conrada.

Możemy teraz postawić pytanie: dlaczego władzom rosyjskim przeszkadza pamięć o wybitnym pisarzu Josephie Conradzie – Korzeniowskim dłaczego usuwają świadectwa tej pamięci?

Wydaje się, że nie był przypadek, ale świadome działanie sowieckich władz. Bowiem zarówno twórczość Apolla Korzeniowskiego, jak też dorobek literacki jego syna, dostarczają wielu świadectw przedstawiających w krytycznym świetle rosyjski autokratyczny system władzy – samodzierżawie. Apollo Korzeniowski w rozprawie *Polska i Moskwa*, drukowanej anonimowo w – wychodzącym w Lipsku – piśmie „Ojczyzna”, być może nawiązując do skrzydlatego słowa z *Hamleta* („Dania jest więzieniem”) pisał: „Bo też Moskwa cała jest tylko więzieniem. zaczynając od Ruryków, przechodząc pod jarzmem Tatarów, pod opałami Iwanów. pod knutami carów i carów itd. była, jest inie przestanie być więzieniem, inaczej przestałaby być samą sobą”.

Zaś u Conrada, w artykule *Autokracja i wojna*, napisanym w roku 1905, pod wpływem klęski Rosji w wojnie z Japonią, możemy przeczytać: „A prawda jest taka: Rosja naszych ojców, naszego dzieciństwa, naszego wieku dojrzałego, Rosja testamentu Piotra Wielkiego – który wyobrażał sobie, że wszystkie nar-

dy oddane zostały w ręce caratu jest bezsilna. Jest bezsilna, ponieważ przestała istnieć. Znikła wreszcie na zawsze, a jak dotychczas nie pojawiła się żadna nowa Rosja na miejsce złowieszczonego tworu, który będąc fantazją szaleńca, nie mógł w i *istocie* być niczym innym jak koszmarem zasiadającym na piedestale lęku i przemocy”.

Teza, wypowiedziana przez Apolla Korzeniowskiego i jego syna Conrada, że w Rosji system autokratyczny sprawowania władzy stanowi od początków tego państwa jego integralną część potwierdzony jest także przez opinie współczesnych historyków polskich.

Pisał Andrzej Nowak: „Nad skutkami fatalnego konfliktu polsko-rosyjskiego można bardzo bolewać, bo tęsknimy za zgodą z braćmi Słowianami, z którymi przecież indywidualnie bardzo dobrze nam się rozmawia.. Nierzadko znacznie łatwiej niż z Niemcami. W półdania potrafimy się z braćmi Słowianami porozumieć, ich kultura w wielu aspektach jest nam bliska, a nawet jest przez nas podziwiana. Wciąż wielu z nas żałuje, że ten spór trwa i że tak trudno go przezwyciężyć. Cóż jednak począć, skoro imperialna Rosja nie była gotowa do żadnego realnego kompromisu z Polską. Ani w 1829 roku, ani w 2010, ani w 2022 roku”.

Dowodził Adam Lityński: „Formalnie tytuł imperatora i nazwę Imperium Rosyjskiego carowie noszą od Piotra zwanego Wielkim, ale autor niniejszych uwag uważa za właściwe nie trzymanie się formalnej nazwy, lecz rzeczywistości. Dlatego zaczyna od cara Iwana IV Groźnego, a kończy na upadku ZSRR., który też w formalnej nazwie odcałował się od imperium carów”.

Dłaczego spadkobiercom imperium rosyjskiego przeszkadzał pomnik Conrada we Wołogdzie? Można powiedzieć, że krytyka Conrada dotyczyła jedynie Rosji carskiej. Wątpliwości w tym zakresie powinna rozwiązać chronologia powstania poszczególnych utworów, która nie przekracza roku 1917, a więc rewolucji bolszewickiej. Ale rozumowanie takie jest błędne, bo nie bierze pod uwagę faktu, że od czasów sprawowania najwyższej władzy w Rosji przez Włodzimierza Putina widoczny jest nawrót do tradycji Rosji carskiej. Widać to choćby w płaszczyźnie symbolicznej – przywrócone są symbole dawnej Rosji herb państwowy i flaga marynarki, zaś kiedy wykonywany jest hymn carski, współcześni słuchacze przyjmują postawę „na bacność”.

Nic tedy dziwnego, że krytyka systemu rządów autokratycznych, która pierwotnie dotyczyła Rosji Romanowów, nie straciła aktualności i w Rosji Putina, a więc aktualne władze uznają tę krytykę za wysoce szkodliwą. Wobec tego należy rozmontować pomnik, autora, który propagował wartości antytotitarne, a więc – wrogie.

# Jan Piotrowiak

20 listopada 1949 — 13 lipca 2023

MARIAN KISIEL



Kiedy domyka się życie człowieka, nie domyka się ono całkowicie, pozostawia szczelinę, w której trwa pamięć. Za życia wspomnienie ma wymiar niepełny, anegdotyczny, skupia się na fragmencie, a jego bohater widziany jest w różnych kolorach i sytuacjach. Śmierć wymusza zmianę tonu. To, co było zaledwie fragmentem, staje się całością; anegdota zmienia się w zdarzenie; słowo przytoczone przybiera postać cytatu; osoba, o której mówimy, którą kochaliśmy lub była dla nas kimś przyjaznym, umieszczona poza naszą rzeczywistością trosk i doznań, zaczyna się jawić jako Tajemnica.

Dzisiaj taką Tajemnicą jest dla mnie Profesor Jan Piotrowiak. Piszę: Profesor, choć od blisko czterech dekad byliśmy/jesteśmy przyjaciółmi i – co muszę podkreślić – nigdy nasza przyjaźń nie została wystawiona na próbę. Ale, tak, to był Profesor, niezależnie od przypisanej do jego pochyłonej (bo garbił się) postaci stopni naukowych. Emanowała od niego życzliwość i mądrość. Życzliwość, bo nikogo nie pozostawił z jego rozterką (życiową czy naukową). Mądrość, bo w każdej chwili był gotowy do rozmowy, nie postępując rozmówcy, nie zostawiając go z wątpliwościami, które trzeba rozwiązać.

Nie wiem, czy lubił spacerować. Ale byłby idealnym perypatetykiem, słuchając i dyskutując, jako równorzędny partner, który nie chce zdominować rozmówcy, ale pragnie dowiedzieć się od niego jak najwięcej. Każdy ma swoją opowieść, każdemu należy poświęcić swoją uwagę, swój czas.

A jeżeli popełnia błędy? Któż ich nie popełnia!

Urodził się w wielkopolskiej wiosce, ukończył polonistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a później – w ślad za swoim mistrzem, prof. Ireneuszem Opackim – przybył do Zagłębia. Przez czterdzieści pięć lat związany z uniwersytecką polonistyką, ale przede wszystkim z nami, którzyśmy też przybyli z różnych stron, by stworzyć jeden z najważniejszych ośrodków literaturoznawczych w Polsce. Piotrowiak, ikona wierności Mistrzowi i wierności Uniwersytetowi, na naszym tle wyróżniał się wyraźnie. Uśmiechem (Jan Uśmiechnięty), życzliwością (Jan Życzliwy), mądrością (Jan Mądry), rozmową (Jan Troskliwy). Miał jedną okropną (z dzisiejszej perspektywy) wadę: palił papierosa jak smok (Jan Dymny), ale wtedy paliło wielu (również ja). Kiedy jednak mówię o tym, co go wyróżniało, to chcę fragment przemienić w pełną opowieść o człowieku wielowymiarowym, który prócz dobrych cech miał też swoje (jakieś) ułomności. Bez ułomności jesteśmy *homo nulli coloris*. Jan Piotrowiak był człowiekiem wyraźnym (Jan Pełny).

Miał swoje poglądy na literaturę i był człowiekiem politycznym. Życzylbym każdemu, żeby tak wchodził w przestrzeń dialogu, nie zacietrzewiał się przy wymianie poglądów, umiał się wycofać z niemądre lub zbyt radykalnie postawionej tezy. Byliśmy politycznie odmienni, przyjaźń i życzliwość to unieważniały. Każdy człowiek jest ciekawy, a jak mawiała prof. Alina Kowalczykowa, która bardzo ceniła Jana

Piotrowiaka, było w nim tyle dobra, że udźwignąć nie można.

Kochał poezję, ale zaczytywał się we współczesnej myśli filozoficznej. Poezja dla życiowej mądrości, filozofia dla intelektualnych spekulacji. To wszystko musiało spotkać się w jakimś miejscu refleksji. Jakim? Jan Piotrowiak nazwał to (po wieloletnich poszukiwaniach) przestrzenią doświadczenia. Napisał: „Rozbite lustro, nieznanne gościńce, niewprawni wędrowcy – wszystko to kazało zrewidować tradycyjne rozumienie doświadczenia”. I dodawał: „Współczesna poezja polska w różnych wariantach poetyk i światopoglądów nosi znamiona tych zmian, jakie dokonały się w obszarze rozumienia doświadczenia”.

Do takiej świadomości doszedł po lekturze najważniejszych dzieł filozoficznych. Czytając myślicieli wieku XX, a zawsze był przed nami, próbował rozumieć tych, którzy zastęgli w literaturoznawczych schematach, w jakiejś innej perspektywie, może niekoniecznie właściwej. Ale na tym polega praca literaturoznawcy, że stawia dzieło wobec możliwych, trudnych, a czasami niemożliwych i szalonych kontekstów. Jan Piotrowiak pokochał dwudziestolecie międzywojenne, chciał mu się przyjrzeć w najbardziej ciemnych realizacjach poetyckich. I pokochał współczesność, w tym jedną z największych legend swojej młodości – Halinę Poświatowską.

Pisząc o Władysławie Sebyle, Elżbiecie Szemplińskiej, kwadrygantach, Józefie Wittlinie, Halinie Poświatowskiej, Stanisławie Balińskim (nie wymieniam chronologicznie), widzę ten grymas, któ-

ry nie przedał się do przyjaciół. Szukamy, piszemy. Człowiek uniwersytetu jest wyrobnikiem pisania. Jan Piotrowiak miał okres załamania w pisaniu. I kiedy sięgnął po Sebyłę, stała się rzecz niebywała. Tak odkrył się nie tylko interpretator, tak odkrył się Mistrz, który Mistrzem być nie chciał. Napisał: „Pisanie jest rodzajem ryzykownego występku, to wykroczenie przeciwko sobie samemu. Gest odtwarzania – tworzenia własnego wizerunku z natury rzeczy musi być nieustannym przywdzieniem i zrzucaniem kolejnych masek. Mieć wiele twarzy dla świata – to nie tylko świat zaskakiwać, ale i samego siebie”. A w innym miejscu: „Ten ruch «wokół siebie», ale i «ze sobą» pozwala przełamywać bariery literackich terytoriów subiektywności i wchodzić w rejony zarezerwowane dla ujęć obiektywizujących, by za czas jakiś doń powrócić. Te maskujące preparacje są zazwyczaj wielce ryzykowną próbą sprawdzenia swej tożsamości”.

Pisząc o Sebyle, Jan Piotrowiak podsunął nam klucz do siebie jako badacza. Czasami tak się dzieje, że – mówiąc po Norwidowsku – fragment odsłania nam całość. I tutaj też tak się stało. Jan Piotrowiak ujawnił się jako badacz „ciemnego nurtu” poezji XX wieku. Miał wiek XIX swoją czerń („czarny romantyzm”), również wiek XX miał swoją ciemną twarz. Nie jest tak, że jakieś stulecie jest ważniejsze, a inne mniej ważne. Epoka Mickiewicza i Prusa, która – jakby powiedział André Malraux – „pokładała niezmierną nadzieję w nauce, w pokoju, w dążeniu do godności człowieka”, znała Zło doskonale opisane przez Dostojewskiego: „Odmawiam zgody, jeśli śmierć niewinnego dziecka zadana przez ludzką bestię ma być okupem za świat”. Wiek XX, nasz wiek, to Zło odkrył w bestialstwie dwóch wojen, a także w obojętności na Zło, której – mówiąc za Jeanem Baudrillardem – doświadczamy, patrząc na zimny ekran telewizora.

Jan Piotrowiak na tę obojętność nie chciał się zgodzić, ale chciał ją zrozumieć. Pisząc o *Hymnach* Józefa Wittlina, jedynym polskim tomiku poetyckim, który odniósł się do doświadczenia Wielkiej Wojny, wypowiedział myśl, która zwykle umyka spojrzeniu interpretatora. Wojna to jest „teatr Jednego Aktora”, czyli każdego z nas, i „teatr Jednego Widza”, czyli Boga, będącego „niekwestionowanym adresem” monodramu, w którym ujawnia

się „bogactwo i mizéria ludzkiego «widziadła życia»”. Ta pozorana oczywistość odkryła przed badaczem jego drogę. Odtąd będzie starał się zobaczyć w poezji to, co ujmowane było wielorako, raz tak, raz inaczej, a co on sam zechciał zobaczyć w odwiecznej opozycji *tenebrae – lux*, ciemności sprzeciwiającej się światłu, Złu występującemu przeciwko dobru. Oddzielając światłość od ciemności Bóg ustanowił porządek wartości, nadał światu sens. Jan Piotrowiak postanowił zapytać, jak to się wyrażnia w poezji. Dlatego jednej ze swoich książek nadał tytuł: *W świetle... i w mroku...*, a kolejnej – *„Ciemny nurt mego życia...”* (to cytat z Sebyły).

Napisał: „Dychotomia jasności i ciemności legła [...] u podstaw filozoficznych, religijnych artykułacji sedymentujących uniwersum człowieka i świata. Zrozumiała jest ta człowieka fascynacja wyjściem z ciemności, zamieszkaniem w kręgu światła, w świecie. Pamięć jednak o tym, skąd się wyszło i z czego wyłonił się świat, pozostaje dotkliwie żywa, a fenomeny cienia nocy aż nadto uporczywie o tym przypominają i napominają”. W tym cytacie słyhać nie interpretatora literatury, ale człowieka, który mierzy się z doświadczeniem swoim i Innego, doświadczeniem życia i wartości, a w konsekwencji, który pochyla się nad tym, co w nas dobre i złe. Metafory „jasne” i „ciemne” okazują się kluczem do nas samych, „kontrastowymi antywalorami”.

Świetnie to wyrażnia obraz ryb wyrzuconych na piaszczysty brzeg. To obraz mocno zakorzeniony w polskiej poezji. Sięgając do niego (przez poezję Sebyły) Jan Piotrowiak uogólnia go na nasze istnienie. Warto zapamiętać te słowa: „W [...] rekursywnej formule obrazowej «ryb wyrzuconych na brzeg», dla których uprasza się (żąda) «światłej strugi», «kropki blasku», streszcza się mroczny los, ciemne przeznaczenie, czarny scenariusz istnienia wszystkich żyjących istot. Dla ściemniałego obrazu życia, w całej jego przygodności, pośród chorób, nieszczęść, kalectw, oczekiwanym znakiem boskiej ingerencji miałyby być rozświetlające mroki światło – jako dar łaski? nowego przymierza? To wołanie «z dołu» ku Niebu ma swą długą,

by nie rzecz – chroniczną już, tradycję, niepozbawioną różnorodnych dramaturgii wykonania. Dar losu (słowa) dany jest jedynie człowiekowi, który mówi w imieniu tych, «co głosu nie mają» (ryb), co nie mogą się o nic upomnieć. Niemy krzyk (bezgłos) i oko ryby «otwarciem» mierzące w «wysokie niebo» są nadto sugestywnym ikonem «ontycznego skandalu»”.

„Jasne” i „ciemne” to nie tylko synonimy „dobra” i „zła”, ale także „miłości” i „śmierci”. Jan Piotrowiak z uwagą przyglądał się tym dwóm dyskursom. Dowodził: „Dla pisarza, i nie tylko, dyskurs miłosny, tak jak i mortalny, zawsze pozostaną nie lada wyzwaniem. Bo jak opowiedzieć o czymś nie do opowiedzenia, co z natury pozostaje bezsłowne, co jest czystą grą zmysłów – spojrzenia, dotyku, zapachu, smaku, lub też erupcją afektów i emocji”. O ile jednak dyskurs śmierci ciągnie nas w Niewiadome, wieczne i ostateczne, „dyskurs miłosny musi unieść ciężar wszystkich tych doświadczeń, które się nań składają – owych umizgów i grymasów, czułości i agresji, oniesmieień i buty”. „Jasne” i „ciemne” jest więc także antynomia „życia” i „wieczności”. Tego, co „cielesne” i tego, co „niewyobrażalne”.

To słowo musiało się w końcu pojawić: wyobraźnia. Jan Piotrowiak był lektorem wyobraźni, doświadczenie poetyckie uznawał, niemalże jak André Rolland de Renéville w *L'expérience poétique* (1938), za „metodę poznania zakładającą uruchomienie wszystkich umiejętności podmiotu dla przedmiotu, który zawiera w sobie wszystkie inne”. Albowiem, jak pisał de Renéville, „Poeta prowadzi [...] nieustający dialog z niebiosami, w których się rozpoznaje”.

Odnaleźć się w literaturze, aby odnaleźć się w życiu – to niezwykła umiejętność. Nie każdemu się to udaje, nie każdemu będzie to dane. Chcę zapamiętać Jana Piotrowiaka jako tego, który w poszukiwaniu sensu życia, w tropieniu dwóch przekazów – miłości i śmierci – starał się znaleźć odpowiedź, która daje uspokojenie. Jego Mistrz, prof. Ireneusz Opacski, nad innych poetów cenił Jana Lechonia. Jan Piotrowiak nie napisał o Lechoniu nic, ale mógł powtarzać w duchu strofę wiersza, która rozpoczyna *Srebrne i czarne*:

Pytasz, co w moim życiu z wszystkich rzecz główną,  
Powiem ci: śmierć i miłość — obydwie zarówno.  
Jednej oczu się czarnych, drugiej — modrych boję.  
Te dwie są me miłości i dwie śmierci moje.

„Słowo „solidarność” skupia w sobie nasze pełne niepokoju nadzieje, pobudza do męstwa i do myślenia, wiąże ze sobą ludzi, którzy jeszcze wczoraj stali od siebie daleko” – pisał ks. Józef Tischner (*Etyka Solidarności*), trafiając jak zwykle w sedno sprawy. Istotnie w okresie pierwszej „Solidarności” tworzyliśmy wspólnotę w myśleniu i działaniu, było nam do siebie blisko, jak nigdy wcześniej. Fizykom i filologom polskim i nie/polskim, profesorom i pracownikom obsługi, adiunktom i administracji, studentom i wykładowcom. Jego Magnificencji Rektorowi i skromnym asystentom. To było coś więcej niż związek zawodowy, to była Tischnerowska „solidarność sumień”. Ten czas, a także to, co się działo w uczelni, na Śląsku i wśród nas, i to co nastąpiło później, opisuje rzetelna i mądra książka trzech autorek: Jolanty Gwioździk, Grażyny Pasternej i Ewy Żurawskiej „A źródło wciąż bije...”. NSZZ „Solidarność” w Uniwersytecie Śląskim w latach 1980–2020. Jej podstawowym walorem jest to, że potocznej, płynnej narracji autorskiej towarzyszy solidna dokumentacja źródłowa, równie rzetelna bibliografia, a wszystko zostało pokazane na szerokim tle historycznym.

Książka jest bardzo dobrze skomponowana i starannie zredagowana. Dzieje powstawania kół NSZZ „Solidarność” w Uniwersytecie Śląskim zostały wpisane w szerokie tło historyczne i społeczne, mocno osadzone zarówno w wydarzeniach krajowych, jak i środowiskowych. I tak autorki prowadzą nas kolejno przez genezę

## Uniwersytecka „Solidarność”

KSIĄŻKI

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

ruchu w przestrzeniach uniwersyteckich w całej Polsce i powołanie Tymczasowego Uczelnianego Komitetu Koordynacyjnego i Kół „Solidarnościowych” w uczelni, poprzez powstanie Komisji Zakładowej NSZZ i jej działania na rzecz środowiska akademickiego, kształtowanie wrażliwości na środowisko naturalne i integrację związkową w Katowicach i na Śląsku. Widzimy sylwetki działaczy krajowych i śląskich, z zatartych fotografii wychylają się ku nam ich młode, pełne ognia twarze. Widzimy zebrań, ulotki, odezwy. Nawet ci, którzy wtedy wydawali się nam już dojrzałymi, na zdjęciach wyglądają zaskakująco młodo.

Bardzo ważne jest pokazanie, jak szerzyło się „wolne słowo”. Dzisiaj może już trudno sobie to wyobrazić, ile znaczyła możliwość czytania „Zapisu” czy książek z Oficyny Wydawniczej NOWA Mirosława Chojeckiego, zaciekle tępionych przez cenzurę, a teraz docierających do Biblioteki Głównej Uniwersytetu Śląskiego. Na Wydziale Filologicznym gromadziła je w specjalnej szafie ówczesna kierowniczka Wanda Kochmańska, u której gromadziliśmy się na przerwach między zajęciami. I co znaczyło własne pismo – „Solidarność Uniwersytecka”, z rzetelną i wszechstronną informacją! Wtedy rozchwytywane przez wszystkich, a dziś wyblakłe,



Pacyfikacja kopalni „Wujek”



zaczytane, czeka na swego monografistę. I jest to sprawa pilna, bo zaraz rozsypie się i zniknie bez śladu, a jest kopalnią wiedzy o tym, co się działo w naszej uczelni. Bardzo dobrze została opracowana działalność Wszechnicy Górnośląskiej, cennej inicjatywy naukowej i popularyzatorskiej, wychodzącej poza mury uczelni, a obejmującej coraz szersze kręgi słuchaczy i uczestników, nie tylko z Uniwersytetu Śląskiego, niosąc im wolną, nie skrupowaną cenzurą wiedzę z różnych dziedzin i ucząc posługiwania się słownictwem etycznym, które eliminowała wcześniej PRL-owska nowomowa. Piękna współpraca



Czas strajku

z ośrodkiem Duszpasterstwa Akademickiego w „Krypcie”, głównie z ks. Stanisławem Puchałą, dopełniała tę działalność. Któż tu nie przyjeżdżał z wykładami, jakie świetne pojawiają się nazwiska. Książka uświadamia skalę tych działań i budzi podziw dla sprawności organizacyjnej wszystkich zaangażowanych.

W końcu strajki, wcześniej nazywane „przejsciami w pracy”, a teraz odzyskujące swój dawny sens i treść. I zupełnie novum: wśród strajkujących studentów i pracowników pojawili się kapłani (najczęściej z Duszpasterstwa Akademickiego), co było wcześniej nie do pomyślenia na „czerwonym Uniwersytecie”. Książka uświadamia, że ten rozmach, celowość każdego działania, radość tworzenia wywołała solidarność i „Solidarność”. Chyba wcześniej nie mieliśmy nawet świadomości, że na tyle nas stać. Dobrze, że za każdą konstatacją, za każdym uogólnieniem stoją daty, fakty, nazwiska konkretnych osób, z których wielu już teraz tworzy „niebiańską solidarność”, bo książka, zwłaszcza w warstwie wspomnieniowej, jest dla nich requiem i epitaforium w jego formie klasycznej. Zwłaszcza dla niezapomnianego śp. Jana Jelonka, którego książka jest dedykowana.

Większą część opracowania poświęcono stanowi wojennemu na naszej uczelni, który miał tu przebieg szczególnie dramatyczny. Tylko tutaj aresztowano demokratycznie wybranego rektora, prof. Augusta Chełkowskiego i prorektor prof. Irenę Bajerową. Tak karano „czerwony Uniwersytet” za to, że okazał się nie dość „czerwony”! Skomponowano te rozdziały ze wspomnień uczestników i świadków tamtych dni. To bardzo trafne posunięcie. Wspomnienia mają charakterystyczną aurę,

która wynika głównie z faktu, że pisane są w pierwszej osobie, więc na plan pierwszy wysuwa się postać wspomnianego. A im więcej wspominających, tym bardziej przebieg zdarzeń podlega reinterpretacji, gdyż zmienia się perspektywa polityczna, społeczna i osobista. Niektóre fakty wybrzmiewają podobną nutą, inne wnoszą ton odrębny. Tym razem jednak wszystkie brzmią jednakowo wstrząsająco, zawsze jest podobna godność i wspólnota; ja zamieniło się na my, czego ekipa Jaruzelskiego i on sam zapewne się nie spodziewali. Cały rozdział o stanie wojennym pokazuje piękne postawy ludzkie, przejawia się tu cały korowód ludzi, których wcześniej znano jako przyzwoitych (co zawsze jest miarą odwagi), teraz pojawia się wymiar nawet bohaterski. I jeszcze jedna refleksja: gdy internowany górnik w Zabrze-Zaborzu znalazł się w jednej celi z prof. Andrzejem Pawlikowskim, wybitnym uczoneym i człowiekiem wielkiej kultury, potem chwalił się, że „spotkał prawdziwego profesora” i że się dowiedział wielu ciekawych rzeczy. Wtedy cofa się czas i przypominają się wspomnienia prof. Stanisława Pigionia z *Komborni w świat*, opowiadające o pobytach w Zaborzu i Zaborzu przed rokiem 1914, gdy w ramach Eleusis przyjeżdżał tu z wykładami o literaturze romantycznej, zdumiewając się niebywałą chłonnością umysłów ludzi ciężkiej pracy. W linearnym biegu dziejów istnieje powtarzalność zdarzeń i właśnie w takim momencie widzimy to najwyraźniej.

Część ostatnia dotyczy dziedzictwa „Solidarności” Uniwersytetu Śląskiego, którego ostatnim i najmocniejszym ogniwem wydaje się omawiana książka. Jest w tej części gorycz i rozczarowanie, duma z tego, co osiągnięto,

oczywiście nasz śmiertelny grzech kombatanctwa i pełne niepokoju pytanie: Co dalej? Tak, „źródło wciąż bije” – tylko, czy my potrafimy jeszcze iść pod prąd?

Całość zamyka cenne *Kalendarium*, obejmujące lata 1980–2020 i będące efektem żmudnej, benedyktyńskiej pracy. Każdy rok rozpisany na miesiące pokazuje, co się faktycznie działo przez 40 lat, pozwalając jeszcze bardziej ukonkretnić opisane wydarzenia. Następnie mamy *Aneks*, w którym znalazły się składy komisji zakładowych i komisji rewizyjnych, nazwiska przewodniczących oraz lista osób uhonorowanych medalem „Solidarności”. Jest jeszcze serwis ilustracyjny i *Bibliografia*. Komponuje się to wszystko w całość, łączącą naukowość z walorami popularyzatorskimi, posiadającą szeroki adres czytelnicy.

Generalna refleksja płynąca z kart książki, a dotycząca nie tylko spraw solidarnościowych i uniwersyteckich, jest taka, że „od ruchu protestu do społeczeństwa obywatelskiego droga jest daleka. Nie ma jednak wątpliwości, że to z pewnością środowiska akademickie powinny przewodzić temu procesowi, ale przede wszystkim powinny zacząć od siebie” (s. 249). No właśnie. Teraz czas na debatę, jak ten dorobek i te refleksje przekazać idącym pokoleniom. ■

**Jolanta Gwioździk, Grażyna Pasterna, Ewa Żurawska, „A źródło wciąż bije...”. NSZZ „Solidarność” w Uniwersytecie Śląskim w latach 1980–2020, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2022, s. 488, ilustr.**

Najnowsza książka Piotra Korczyńskiego, pisarza i historyka związanego z redakcją „Polski Zbrojnej”, jest wolna od patetyzmu i antywojenna, choć o wojnie, żołnierskiej doli rozprawia. Na dodatek jeszcze o doli żołnierzy dziś niechcianych. Bo o tych którzy walczyli – jak chce obecna narracja historyczna – „pod skrzydłami Stalina”. Narracja upraszczająca prawdę historyczną jest odpowiedzią na propagandowe potrzeby władzy. Stąd dziś już niemożliwie [i niewygodnie] jest pisać o żołnierzach 1 i 2 Armii Wojska Polskiego. Fascynują nas niezłomni, wyklęci... I dobrze. Wahadło historii przechyliło się w kolejną (słuszną?) stronę. Ale zapominamy, ucieka nam prawda oczywista. Życie nie jest czarno-białe. Składa się z odcieni szarości. Nie ma jasnych podziałów, dobrych-złych od początku do końca. Oddaliśmy pole komiksowemu postrzeganiu rzeczywistości.

Bo historii tych dzielnych ludzi – rzekłbym pechowców – które odważnie przytacza red. Piotr Korczyński świadczą o jednym. Człowiek zawsze jest przedmiotem, igraszką w rękach bogów. Bożym igrzyskiem jest życie. A co dopiero wojna... Iluż bohaterów najnowszej książki Piotra Korczyńskiego właśnie o włos oddaliło się od „pozytywnej wersji” swojej historii. Wstąpiliby do Andersa – i już są bohaterami, od razu. No nie, sprawy się skomplikowały. Właśnie, same z siebie. Przekora losu. A to Rosjanie przytrzymali (jak AK-owca Andrzeja Reya, któremu NKWD-e dało alternatywę: Syberia albo 1 Armia), a to za późno się dowiedzieli... Takich niešťęśliwców, pechowców było z kilkaset tysięcy (i to bez dawnej Polonii i obywateli polskich innych narodowości).

W efekcie? Sporo porządnych ludzi znalazło się w tworzonej – najpierw 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki w legendarnych – kto o nich nie słytał w szkole – Sielcach nad Oką, która szybko rozrosła się w 1 Korpus Polskich Sił Zbrojnych w Związku Sowieckim. Choć przebieranki chciał Stalin, chyba do końca nie wierzył, nie ufał tej formacji. Słusznie. Wielu jej zwykłych żołnierzy, jeżeli nie większość, nie chcia-

## Niechciani bohaterowie

KSIAŻKI

ło komunizmu, Polski sowieckiej. Nic z tego. Tę gębę dorobiono im później. Skutecznie. Te chłopaki dzielnie walczące chciały tylko wolności, spokoju. Kraju bez wojny. I sprawiedliwego. Tyle i aż tyle.

A że mieli pecha? Jeśli już znaleźli się – z większą czy mniejszą nadzieją – w tej formacji, stali się li tylko – dla Stalina, jego dowódców – mięsem armatnim, „kanonfuter”. Rzucał na najgorsze odcinku frontu: pod Lenino, Warszawę, Wał Pomorski, Kołobrzeg, Budziszyn. Forsowali Wisłę, Odrę. Bez rozpoznania, wsparcia, odpowiedniej logistyki. Po prostu – naprzód i tyle. Macie iść naprzód.

Trud wojenny tych żołnierzy był – co podkreśla Korczyński cytując m.in. generała Sosabowskiego – równorzędny do kolegów z zachodniego frontu. „Były to zwycięstwa służące polskiej racji stanu” – argumentuje. Wszystkie zwycięstwa są ważne. I te w kraju, i za granicą. „Nie wiemy, co nas czeka jutro. Ale wiemy jedno: że jesteśmy i będziemy żołnierzami i obywatelami Polski i tylko Polski...” – mówił Sosabowski 23 września 1945 roku na polach pod Bersenbrueck.

No i ta nieufność, Korczyński o niej wspomina. To są zamknięci w sobie ludzie, którzy niechętnie dzielą się wspomnieniami. Najpierw trzeba było zdobyć ich zaufanie, by ocałić ich cenne, osobiste historie. Prawdziwe, oczekujące prawdą.



GRZEGORZ SZTOLER

Smutną, ale prawdą najprawdźwiwszą. Wojna jest straszna. Jest klęską ludzkości. Każda wojna. Nawet ta na Ukrainie. Pożera, wypluwa, okalecza. Nie będzie zwycięzców. Bo nie ma wojen sprawiedliwych, nie ma. Choć ludziom zdaje się, że są...

Każdy taki konflikt jest klęską dialogu, kultury dialogu, który jest cechą Zachodniej cywilizacji, do której dążymy. Krwista książka redaktora Piotra Korczyńskiego, jest dynamiczna, porywająca, choć brutalna, miejscami naturalistyczna. Ale jej wymowa jest pacyfistyczna. Co więcej, jest w niej sporo pierwiastków humanistycznych. Bo nawet ci pałający zemstą żołdacy, totalnie antyniemieccy, nawet ich – stać na ludzkie odruchy. Jak wtedy, w zdobytym Berlinie, gdy jeden z żołnierzy, przysięgający, że wytłucze niemieckich cywilów, na widok wygłodniałych niemieckich dzieci... wstaje i nalewa im z kotła zupy. Bez komentarzy. Ta książka jest wspaniała, wstrząsa, skłania do przemyśleń. Przewartościowań. Życie nie jest czarno-białe, a człowiek – to wiem – ma z reguły pecha. Wszak jak śpiewał poeta – „w życiu piękne są tylko chwile”. Tylko. ■

Piotr Korczyński, *Piętnaście sekund. Żołnierze polscy na froncie wschodnim*, Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2023, s. 440.



Tytuł powieści Piotra Nesterowicza *Nie-pamięć* jest bardzo przekorny, gdyż w gruncie rzeczy autorowi chodzi właśnie o to, żeby pamiętać. I tu sprawa nieco się komplikuje, bo o jakiego rodzaju zapamiętanie pisarzowi właściwie chodzi? O prawdę zapisaną w dokumentach, jakże mocno różniącą się od tej zachowanej w ludzkiej pamięci? „Prawda, sprawiedliwość, rozliczenie, ponoszenie konsekwencji, tak-tak, nie-nie” – rozmyśla Weronika, bohaterka powieści. I na tym zasadza się pomysł tej powieści, na ciągłej konfrontacji historii rodzinnej z wielkimi dziejami politycznymi. Na docieraniu do istoty sprawy wymykającej się nieoczekiwanie obiegowym osądom.

Sytuacja fabularna wymyślona przez Nesterowicza sprzyja budowaniu rodzinnego konfliktu, który ma w pewnym sensie charakter pokoleniowy. Weronika i Paweł, dość typowi przedstawiciele generacji X, czyli tych, którym udało się zrobić kariery zawodowe w okresie polskiej transformacji ustrojowej, przeciwstawieni są Józefowi i Annie, ich rodzicom z pokolenia zwanego umownie boomersami. Związani emocjonalnie z czasami młodości spędzonej w PRL nie wyrzekają się swoich ówczesnych marzeń. Zwłaszcza Józef urodzony 22 lipca 1944 roku, to symboliczna data narodzin Polski Ludowej, broni swojego zaangażowania w budowie ustrojowych zrębów socjalistycznej Ojczyzny. Mało tego, stać go nawet na krytykę postępowania dzieci wypierających się rodzinnych korzeni. „Toczyć wojny z takimi jak my, biednymi, niewykształconymi. Bo się szybko nie dostosowali i zostali w blokach z wielkiej płyty. Jesteśmy dla was kulą u nogi. Wstydliwym przypominaniem, skąd się wywodzicie” – mówi Józef z goryczą do syna i córki.

Trzeba przyznać, że sporo w świecie przedstawionym powieści Nesterowicza, publicystycznych uproszczeń. Trudno oderwać się pisarzowi od konwencji reportażu. Jest przecież absolwentem Polskiej Szkoły Reportażu. Napisał książki reporterskie *Każdy został człowiekiem* i *Cudowną*, w 2015 roku nominowaną do Nagrody Nike i Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego, ostatecznie uhonorowaną Nagrodą im. Wiesława Kazaneckiego. Chwilami nawet trzecioplanowa narracja w powieści jest niezbyt reportażowa. „Stoi teraz na poboczu mokra i zmarznięta. A Pawła nie ma. Nigdy nie mogła zrozumieć, jak jej brat robi karierę w biznesie, skoro słowo punktualność zna jedynie ze słownika”. Proste zdania, wypełnione frazeologizmami, przemyslenia bohaterów pełne stereotypowych poglądów na temat roli partyjnych aktywistów w czasach PRL. Literatura faktu zabija na większości stron tej książki piękno fikcji.

Jest jednak coś, co trzyma w ryzach fabułę, to wątek rozczarowania Weroni-

## Urodzony w Święto Odrodzenia

KSIAŻKI

ki postawą ojca, który zawsze uczył jej „prawdy, szczerości, przywiązania do zasad” i sprzeniewierzył się tym naukom danym córce. Ta wiezie bowiem na rodzinne spotkanie prawdziwy granat, czyli esbecką teczkę ojca, którą znalazła jako pracownica Instytutu Pamięci Narodowej. Zanim jednak niewypał ten wybuchnie i obryzga wszystkich zawartością szamba, skrzętnie zbieranych przez bezpiekę haków, rodzice sami ujawniają trupa trzymanego od lat w szafie.

Jako partyjny działacz i członek Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej Józef brał udział w masówkach wspierającej linię partii podczas studenckich buntów w marcu 1968 roku. W pijackiej bójce pobił Tadeusza jednego ze studentów, narzeczonego Anny. To pobicie bezpieka wykorzystuje do szantażowania Józefa i zmuszenia go do późniejszej współpracy. Tylko że Tadeusz zmarł zatłuczony pałkami, nie pięściami. Prawda zapisana w aktach przez esbeków różni się od tej zapamiętanej przez Józefa, który po zamieszkach marcowych w akcie ekspiacji poślubia brzemenną Annę. Czy to go usprawiedliwi w oczach córki, dla której Paweł okazuje się przyrodnim bratem, a ona sama poczęta została przez rodziców po pijackiej imprezie na palce w łazience. Sporo tych trupów w szafie, jak na jedno rodzinne spotkanie po latach.

Poza wątkami politycznych rozliczeń fabułę powieści *Niepamięć* trzyma w ryzach kryminalna zagadka. Od pierwszych stron książki oczekiwane jest jej rozwiązanie. A tych zagadek do odgadnięcia pojawia się całe mnóstwo. Romans Józefa z rudowłosą pracownicą. Zadurzenie Anny w Tadeuszu. Zabójstwo studenta, którego okoliczności właściwie jako jedyne nie zostały w powieści rozwikłane.



RYSZARD BEDNARCZYK

Istnieje też w prozie Nesterowicza stro- na obyczajowa, z którą pisarz obchodzi się dość swobodnie. Paweł jest krytykowany przez rodziców za rozwód z żoną po dwudziestu latach. Powodem kochanka. Weronika mimo czterdziestki na karku jest ciągle panna. Anna i Józef krytycznie patrzą, na takie postępowanie dzieci, dopatrując się amoralnej rozwiązłości. „Macie pięćdziesiąt lat i się rozwodzicie? To jej wina, prawda? W głowie jej się przewróciło, co? Siedzi bez przerwy w domu, nic nie robi, tylko do kosmetyczki” – strofuje Anna syna, wpadając we własne sidła, bo Paweł przypomina jej przedślubny romans. Jest coś oczyszczającego w tych wzajemnych pretensjach rodziców i dzieci, gdy wychodzi na jaw, że amoralność nie ma charakteru pokoleniowego. Bez względu na czasy i wiek można być na bakier z etyką. Może dlatego rodzinne więzi pomiędzy Józefem i Anną a Pawłem i Weroniką nie zostały zerwane, nawet po wypraniu brudów.

Po lekturze powieści Piotra Nesterowicza, będącej jedną z wielu napisanych przez autora pamiętającego jedynie, że w stanie wojennym nie było Teleranka, warto postawić sobie pytanie, czy możliwe było kierowanie się bohaterów *Niepamięci* wzniosłymi zasadami, ideaми, etyką. Brutalność życia, polityki, egzystencjalna konieczność wymuszała na nich ustępstwa na równi z ludzkimi namiętnościami, ambicjami. W każdej epoce można było naruszyć jej ład. Z powodu tej konkluzji autora wynikającej z fabuły, tolerującej ludzkie słabości, robi się człowiekowi lżej na duszy. ■

Piotr Nesterowicz: *Niepamięć*. Wydawnictwo Mando, Kraków 2021, s. 301.

Takiego reportażu dawno w Polsce nie było. Rekonstruowanie biografii łączy się w nim z wiedzą o realiach historycznych, które relacjonowane są w sposób na tyle szczegółowy, że łatwo osiągnąć efekt immersji. Wyimki z notatek z terenu stanowią dopełnienie opowieści o zdolnym i uprzywilejowanym (z powodu warunków ekonomicznych rodziny) ornitologu, w którego karierze znalazł się jeden niechlubny epizod. Wpłynie on na dalsze życie naukowca i zaważy na decyzjach dotyczących prominentnych stanowisk.

Choć reflektory skierowane są na Günthera Niethammera, gdzieś w tle znajduje się jego wierna i ofiarna żona. Jej śmierć w trakcie służby (w trakcie wojny opiekowała się dziećmi, a od lata 1991 roku niepełnosprawnym synem Jochenem; umarła wyczerpana w grudniu tego roku) dopełnia obraz kobiety bez reszty oddanej rodzinie. Wszystko według klasycznego, patriarchalnego wzorca. Jej obecność w opowieści jest delikatnie zaznaczona, a jej poświęcenie dla dobra rodziny jest bezdyskusyjne.

Beata Dżon-Ozimek i Michał Olszewski w reportażu biograficznym, zatytułowanym *Ptaki krzyczą nieustannie. Historia Günthera Niethammera, esesmana i ornitologa z Auschwitz*, szczegółowo śledzą przebieg kariery naukowej tytułowego ornitologa, który po wojnie zmagał się nie tylko z oskarżeniami o czyny udział w umacnianiu nazizmu, lecz również z utratą syna w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Zwolennicy surowych osądów uznają historię Niethammera za reprezentację koncepcji „banalnego zła” autorstwa Hannah Arendt. Jego szybka kariera wynikała z koneksji i możliwości, jakie ujawniły się przed zdolnym ornitologiem w momencie poszukiwania przez Niemców *Lebensraum*.

Podążanie przez autorów za szczegółem nie unieważnia historii toczącej się w tle. Portrety poszczególnych postaci kreślone są w sposób mocny i zdecydowany; pozwalają na to zachowane dokumenty. Przeszłość wciąż jest namacalna. Istnieją rodowe groby. Wiele wiadomo o poszczególnych członkach rodziny. Choć od opisywanych wydarzeń minęło osiemdziesiąt lat, historia Niethammera wciąż budzi emocje ze względu na tkwiący w niej niepokój związany z koniecznością osądzenia człowieka skierowanego do Auschwitz i prowadzącego obserwacje awifauny. Można założyć, że karier podobnych do tej, jaką udało się zrobić Niethammerowi, było więcej. Z jednej strony pojawiają się gorliwi sędziowie, dążący do denazyfikacji powojennego życia naukowego i politycznego, z drugiej obrońcy, którzy wskazują na krótki okres rezydowania ornitologa w obozie koncentracyjnym. Trudno jednak pogodzić wiedzę o procedurach eksterminacyjnych i potrzebę eksplorowania przyczyn terenów w poszukiwaniu gatunków ptaków. Wrażliwość na piękno ptaków nie zwalnia z wrażliwości na los więźniów. Co prawda, machina Zagłady rusza znacznie później, a Niethammer przybywa do Auschwitz 15 października 1940 roku, jednak trudno nie zarzucić mu obojętności. Wykształcony Niemiec garnął się do służby wojskowej a przybył do obozu

# Opowieść o ornitologu, który miał wrogów

KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

koncentracyjnego. Choć jego służba zakończyła się dość szybko (obóz opuścił po siedmiu tygodniach), powojenne losy świadczą o tym, że Niethammer nie umknął przed zagorzałymi zwolennikami rozliczania wszystkich dojrzałych obywateli, którzy mogli brać udział w budowaniu nowego politycznego porządku w latach 1933–1945.

Bohaterami *Ptaki krzyczą nieustannie* są światowej sławy ornitolog, członkowie jego rodziny, współpracownicy i ptaki. Te ostatnie wyłaniają się z tła, przestają być nieznaczącym elementem fabuły. Ich los, przewidywalny i nieunikniony, każe zadać pytanie o zasadność polowań w dwudziestym wieku i kontynuowanie procedury taksydermii, czyli sztuki preparowania i wypychania zwłok zwierząt. Choć w konfrontacji z opowieścią, jaką proponują Dżon-Ozimek i Olszewski, trudno wystrzec się porównań dotyczących skali cierpienia zwierząt i ludzi podczas ostatniej wojny, ważniejsze okazuje się ujawnianie strategii ekspansywnego zawłaszczania fauny terytoriów włączonych do Trzeciej Rzeszy i kolonizowania nowych odkryć w celu zaakcentowania władzy i konieczności zbudowania nowego porządku naukowego, który miałby obowiązywać również po wojnie. Naziści odcisnęli ślad na badaniach ornitologicznych, a dzięki kolonizacji znacznych połaci terenu stali się dysponentami dużego terytorium obfitującego w gatunki ptaków, które domagały się opisania i poddania procesowi taksydermii.

Prześledzenie historii rodu Niethammera pozwoliło na ujawnienie codzienności niemieckiej rodziny w czasach wstrząsów politycznych i zmiany kursu na narodowy socjalizm, awansu, który wstrząsnął powojennym środowiskiem naukowym, skrywanych tajemnic i tytanicznej pracy na rzecz dowiedzenia własnej wartości w dość hermetycznych kręgach jednoznacznie opowiadających się za weryfikacją życiorysów tych, którzy mogli mieć związek z na-



zistowską przeszłością. Poza sprawami ogniskującymi się na problemie winy, warto dostrzec, że opowieść o niemieckim ornitologu dotyczy również relacji międzyludzkich i ich hierarchicznych struktur. Dążność do ukarania i skompromitowania Niethammera wynikały z zawiści mniej zdolnych naukowców lub mających mniejsze zasługi dla badań nad awifauną. Historia rozgrywająca się za drutami Auschwitz ma też rewers w postaci zakulisowych rozmów, działań utajnionych, lecz posiadających swoje reperkusje.

Dżon-Ozimek i Olszewski podejmują problemy, które od kilku lat pozostają w centrum zainteresowań przedstawicieli historii środowiskowej Zagłady. Splot ludzkich historii znaczących ludobójstwem i opowieści o masowym wybijaniu gatunków ptaków, które miały już więcej nie pojawić się na niektórych obszarach, potwierdza tezę o punktach wspólnych studiów nad zwierzętami i studiów nad Zagładą i ludobójstwami. Byłyby nimi chęć dominacji i podporządkowywania sobie innych (gatunków, narodów). W obu przypadkach dochodzi do eskalacji przemocy w wyniku prób narzucania własnych reguł i porzucania zasad pozaznawania innych istnień. Jeśli w opowieści o Niethammerze koniecznie poszukiwalibyśmy jakiegoś morału i wpisanego w nią przesłania, to dotyczyłyby one destrukcyjnego potencjału człowieka. Uzasadniając swoją potrzebę poszerzenia przestrzeni życiowej, nie cofnie się przed mordowaniem na niespotykaną skalę przedstawicieli swojego gatunku oraz przedstawicieli innych gatunków. ■

Beata Dżon-Ozimek, Michał Olszewski, *Ptaki krzyczą nieustannie. Historia Günthera Niethammera, esesmana i ornitologa z Auschwitz*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 504.

Pszczyna miała szczęście, że trafił do niej taki człowiek. Zaraz po przyłączeniu do Polski, w 1922 roku, na Górny Śląsk zaczęła napływać fala polskich nauczycieli. Wśród nich niezwykle pracowity i uzdolniony synek z Kobiernic koło Kęt, Franciszek Szczepańczyk (pociągnął za sobą zresztą kilku kolegów z seminarium nauczycielskiego). Małopolska, Galicja, więc stosunkowo niedaleko. Zapatrzony m.in. w księdza Stojałowskiego już od lat młodzieńczych (imponowała mu jego prostolinijność, szczerłość). Twórca mobilnej biblioteki – po prostu w drodze do seminarium nauczycielskiego w Kętach wstępował do okolicznych domów i „częstował” miejscowych polskimi książkami. Robił to wytrwale.

A potem robota u podstaw – Janówce, Czarków, Piasek, Pszczyna – wszędzie gdzie był nauczycielem bądź kierownikiem, pozostawił trwałe ślady. Jak trzeba było – budował szkoły. Albo organizował, motywował... Przynajmniej jednym z artykułów nazwał go kiedyś „pszczyńskim skrybą”. Bo też tych zeszytów, czy też zapiśników, pięknie kaligrafiowanych przybywało i przybywało. Przybliżonej ilości nie da się nawet podać, bo i Ruscy coś wyrzucili, spalili wyrzucając liczną rodzinę Franciszka z mieszkania w szkole na pszczyńskiej Strzelnicy. Kilkaset zeszytów – to ostrożna kalkulacja.

Autor biografii Franciszka Szczepańczyka, Jarosław Zawisza, podaje wykaz 255 tytułów. Grubych nie raz i na tysiąc stron. Wśród nich prawdziwe skarby – jak przepisane przedwojenne kroniki szkolne – ich oryginały nie dotrwały do naszych czasów. Powstańcze wspominki – dotyczy to głównie Jankowic. Franciszek opisał przedwojenną, wojenną i powojenną Pszczynę, codzienność, codzienne życie i trudy. Wiedział co to – sam miał 16 dzieci. Wędrował zawsze pieszo z dwoma bochenkami do domu. Jego pasją było właśnie kronikarstwo. Kolejną – nauczycielstwo. Ale chyba pierwszą – polskość, autentyczny patriotyzm. I niezachwianą, autentyczną wiarę w Boga, choć w życiu „miał pod górę”.

Zmysł obserwacji miał niesamowity, jak rasowy pedagog. Te jego wywiady, dociekanie rozwi-

# Niecodzienny kronikarz codzienności

KSIAŻKI

nęły się w pasję utrwalania rzeczywistości, która go otaczała. Jak i też przenikania do przeszłości, która odchodziła w mgłę zapomnienia. Toteż starał się docierać do świadków wydarzeń, być dociekliwym. Rzadko się myli, jest rzetelny w opisie, co potwierdza kilku uznanych lokalnych badaczy przeszłości Pszczyny i okolic [zresztą pisał też o rodzinnych Kobiernicach]. Choć trzeba powiedzieć, że i te zapiśniki odzwierciedlają uduchowioną i religijną osobowość autora (i pełno w nich duchów). Są też powieści i sztuki teatralne, a nawet wiersze. Jednak dla większości współczesnych te opisujące rzeczywistość są najcenniejsze.

Szczepańczyk to zapałony, dobry organizator, po wojnie natchmiast organizuje nauczanie w szkole na pszczyńskiej „Strzelnicy”, dosłownie z dnia na dzień. Jest wziętym społecznikiem, tworzy organizacje, sam je inspiruje (jak Związek Obrony Kresów Zachodnich). Tworzy biblioteki i teatry. Szkolne teatry, które wychodzą do ludzi, środowiska, jednoczą, budują wspólnotę. Poza tym chóry, bo śpiew też ludzi zbliża. To tylko niektóre z całego mnóstwa działań Franciszka Szczepańczyka, który wreszcie doczekał się swojego książkowego portretu.

Chwała Autorowi za to! Bo ciężko się pisze – choć ciekawie – o tak niesamowitym człowieku. No bo jak tu przebrnąć przez to wszystko, co spisał, toć to życie



GRZEGORZ SZTOLER

na to poświęcić by trzeba! Wiem co mówię, widziałem, korzystałem z tychże kronik. A jednak wydaje się, że jest wyjście – digitalizacja całości ocalałej spuścizny i umieszczenie tej Szczepańczykowej kolekcji w przestrzeni wirtualnej – tu myślę o sprawdzonej Śląskiej Bibliotece Cyfrowej (w internecie można znaleźć przepisane, wybrane tomy wspomnień pszczyńskiego kronikarza <http://simonmuzykant.blogspot.com/2008/10/wspomnienia-mojego-dziadziusia.html>).

Blisko trzygodzinna promocja publikacji Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego 30 marca br. – w Pszczynie, „na Strzelnicy”, w szkole przy ul. Katowickiej której bohater był kierownikiem – dostarczyła wielu wzruszeń. Zgromadziła licznie potomków Franciszka Szczepańczyka, zasłużonych i wrosłych w pszczyński krajobraz. Społeczności. I też pamięć o tym Człowieku jest żywa. Ta odważna, potrzebna książka w tym dopomoże.

Pewien sędziwy absolwent, którego Franciszek Szczepańczyk uczył w latach 40., podsumował tocząca się dyskusję i wspominki jednym zdaniem: „To był dobry człowiek”. Cóż więcej pisać. ■

Jarosław Zawisza, *Franciszek Szczepańczyk. Życie i dzieło kronikarza codzienności*, Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego, Katowice 2022, s. 414.

# O malarstwie Renaty Bonczar

## Fizyczne realia i wyśnione światy

Gdy wchodzi się głębiej w scenerię ustanowioną przez artystę, może się narzucać takie oto nieproszone pytanie – czy chciałbym obudzić się w takim krajobrazie? – jeśli to jest krajobraz. Życ w nim, oswajać się, poznawać go do podszewki. Pytanie byłoby zasadne, gdyby obrazy miały nas budzić. A jest przeciwnie. Są zaproszeniem do innej rzeczywistości. Powiedzmy, że rzeczywistości snu. Wyśnione krajobrazy.

U Renaty Bonczar nie jest to całkiem oczywiste, choć jej obrazy najczęściej kojarzą mi się z pejzażem, takim który jest przemieniony przez materię malarską, wyłaniający się z koincydencji farb i innego tworzywa. Ale nie zawsze. Czasem wydają się sugerować jakiś świat mniejszy, bardziej kameralny i bliższy – martwą naturę. Nie ma w tym żadnej sprzeczności, bo martwa natura w istocie też jest krajobrazem, tylko że w skali mikro. Struktury przestrzenne wielkich mas, powiedzmy, że gmachów, zmniejszają się w świat przedmiotów, określonych lub tylko domyślnych, ułożonych na stole, na półce, na podłodze. W każdym razie są to rzeczy przedstawione w takim samym stosunku przestrzennym, jaki obowiązuje w rzeczywistości makro. Chyba, że widzimy już całkiem jednoznaczne stopy piętrzących się woluminów, lub ułożone na półkach szpargały, które kiedyś były książkami. A może stosami niepotrzebnych już dokumentów? Bardzo mi bliskie są te zagadkowe rupiecie na obrazach Renaty. Niepokojące i odepchnięte. W ich przypadku proporcje przestrzenne ustępują miejsca przestrzeni zamkniętej, za którą może już nie być niczego.

Oczywiście, kojarzyć i interpretować obrazy można na wiele sposobów, ale pozostaniemy przy tych dwóch: martwej naturze i krajobrazie. Z małymi wyjątkami, trudno byłoby je zakwalifikować do malarstwa realistycznego. Artystka zajęła miejsce pomiędzy abstrakcją a malarstwem figuratywnym. W samej rzeczy, wybór bardzo inteligentny, jako że fundament każdego obrazu jest abstrakcyjna geometria. Dopiero w trakcie dalszej kreacji można ją dowolnie przemieniać w widok miasta, lasu, masywów górskich. W cokolwiek. W tym przypadku raczej miasta. Jego budowlę dotykają skraj, za którym znajduje się woda – jezioro? rzeka? brzeg morski? – jak lustro. Odbijają się w nim jakieś fragmenty. Jest pusto, jakby przed chwilą coś się stało i wymiotło mieszkańców.

Patrząc więc na ten – powiedzmy – krajobraz, a równocześnie przypominają mi się obrazy Monsu Desiderio, który w siedemnastowiecznym Neapolu malował coś podobnego – miasto graniczące z morzem. Nawiasem mówiąc, dokonano odkrycia, że dwóch różnych malarzy – obaj mieszkający w Neapolu i obaj malujący podobne motywy – zostało nazwanych Monsu Desiderio. Na ogół były to miasta w stanie rozpadu; w trakcie trzęsienia ziemi lub innego niszczycielskiego żywiołu. Zazwyczaj w ciemności, pełnej pożarów lub błyskawic.

Ale w obrazach Renaty – znów z małymi wyjątkami – jest dzień, pełne światło, trochę oślepiające. I trudno doprawdy nam stwierdzić, czy ten zarys okien albo sklepień należy do budowli w stanie rozpadu, czy do odpornego na erozję pałacu? Czy spiętrzenie gmachów jest zapowiedzią rychłego ożywienia, czy przeciwnie, jest to świat opuszczony, jak jakaś Atlantyda. Te obrazy są wciągające też w tym znacze-

niu, że artystka daje nam szansę swobodnego współtworzenia scenerii, dopowiadania szczegółów, poszukiwania punktów zaczepienia dla percepcji. Są to więc krajobrazy gościnnie otwarte na współdziałanie z widzem.

Warto przy okazji zauważyć, że właściwie jest to malowany teatr, gotowe wizje scenograficzne, które nas samych czynią poniekąd aktorami. W pełnej jasności i żywym kolorystyce Renata Bonczar pokazuje rzeczywistość, przed którą narzuca się to pytanie – czy chciałbym zagrać swoją rolę w takim właśnie świecie? W takim śnie?

Bo jej świat malarski w istocie jest rzeczywistością wyśnioną. Wydobytą skądś, z rejonów niewidzialności i uwidocznioną na żywiołowy sposób malarski. Śledząc właściwości jej techniki, można zobaczyć ślady akcji spontanicznej. Wręcz uderzająca jest ta swoboda operowania środkami wyrazu. Można się przeto domyślać, że artystka jest wzorem pracowitości i każdy namalowany obraz jest wstępem do następnego. Każdy jest kolejnym krokiem ku tej wciągającej grze, której cel zawiera się w czynieniu widzialnym tego, czego nikt dotąd nie widział. Wyprawą w głąb malarskiego snu.

Można by pomyśleć, że mamy do czynienia z twórczością przemyślaną, pełną rygorów i zasad, z malarstwem kulturowych odniesień, z wielką dbałością o wymogi malarskiego rzemiosła, a wreszcie ze sztuką artystycznego śnienia. Ale istnieje, jak mi się wydaje, jeszcze inna prawda o artystycznych podstawach Renaty. Otóż, nie przypominam sobie, czy kiedyś widziałem ją przy malarskiej pracy, choć przecież było wiele okazji. Więc mogę tylko sobie wyobrazić, że ceni sobie twórczą samotność. To u części artystów oznacza, że sam akt malowania traktują jako intymny, ściśle prywatny obrzęd. Jako osobistą tajemnicę. Można by tak pomyśleć.

Ale gdy spojrzymy na te obrazy pod innym kątem, łatwo zauważymy, że one są też opowieścią o czystej radości malowania. Rozkoszowania się cudem, jakim jest przemienienie materii malarskiej w namalowaną rzeczywistość. Euforią pracy. Tchnieniem życia w martwą farbę. Działaniem z twórczym temperamentem. Bo i taki bywa sens sztuki malarskiej, a jego dokumentem są obrazy, jak listy pisane do nieznanego adresata.

HENRYK WANIEK

\*\*\*

Twórczość malarska Renaty Bonczar jest zjawiskiem w pełni ukształtowanym, spójnym, charakteryzującym się odrębnym, własnym językiem. Malarka, przekonywująco czerpie inspirację z licznych podróży, przetwarzając bezpośrednio wzrokowe doznania, w wieloznaczne, często niepokojące i pełne napięcia, a czasem pełne liryzmu obrazy.

Jakkolwiek płótna powstają spontanicznie, przy użyciu szerokiego wachlarza zabiegów warsztatowych, poprzedza je zapis wczesnych koncepcji, – tutaj wspomnieć należy o niezmiernie interesującym notatniku – brulionie, w którym przez lata są takie notatki gromadzone i następnie przetwarzane w liczne cykle; Gniazda, W poszukiwaniu zaginionych miast, miejsc i czasów, Katedry, Czerwone Świątynie, Papierowe Miasta, Archiwum, i inne.

Obrazy Renaty Bonczar posiadają zawsze wyrazistą kon-

cepcję kolorystyczną, zrytmizowane wewnętrzne podziały, rzec by można własną architekturę pejzażu, ale przede wszystkim emanują zawartą w nich emocją i napięciami kryjącymi się w pulsowaniu barwy. Czasem posiadają dalekie horyzonty, czasem działają jak przekroje ziemnych usypisk, zwielokrotniają się w odbiciach, miewają strukturę malarstwa materii, z imitacją spękań i połyskliwością kamieni, ale zawsze wynika to z umiejętnego kontrastowania, a nie z przerostu fakturowych zabiegów.

Poza sferą widzialną kryją w sobie niedopowiedzenia, może lęki, tajemnice, a z pewnością doznawanie różnorodności i naporu wewnętrznych ukształtowań na własne systemy porządkujące. Z konfliktu tego wynikają obrazy przykuwające uwagę i zapadające głębiej w świadomości odbiorcy.

KIEJSTUT BEREŻNICKI

## Między abstrakcją a figurą

Od czasów pierwszych awangard europejskie malarstwo rozwija się na linii zawieszonyj pomiędzy dwoma biegunami: abstrakcją i figuratywizmem. Dla artystów działających w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku radykalne zerwanie z akademizmem było szansą na przewartościowanie pojęć i na odnowienie języka sztuki. W 1912 roku Guillaume Apollinaire pisał w artykule *Du sujet dans la peinture modern* („O tematyce w malarstwie nowoczesnym”): „Jeśli artyści wciąż obserwują naturę, już jej nie imitują, a wręcz unikają przedstawiania scen obserwowanych bezpośrednio w naturze lub rekonstruowanych poprzez studia”.

Narodziły malarstwo abstrakcyjne były może jedną z najbardziej radykalnych przemian w europejskiej kulturze wizualnej. Wszak mit sztuki jako imitacji natury, przejęty z antyku, stał się podstawową kategorią estetyczną, wedle której oceniane było malarstwo od czasów renesansu. Europejska sztuka wkroczyła na ścieżkę nieustającej pogoni za iluzją a malarstwo, jego materia i tekstura, stały się praktycznie niewidoczne. Zadaniem każdego artysty było ukrycie własnego warsztatu a faktura farby miała zachowywać się niczym kameleon, stając się na przemian drewnem, atlasem, perłą, marmurem czy ciepłą skórą, pod którą pulsuje krew.

Malarstwo abstrakcyjne uwolniło artystów od obowiązku opowiadania w sztuce o czymś innym, niż sztuka sama w sobie. Tak szybko jednak, jak zrodziła się abstrakcja, tak szybko podniosły się głosy sprzeciwu przeciwko nowemu (nie)porządkowi. W 1919 roku Giorgio de Chirico apelował o „powrót do rzemiosła” a malarstwo figuratywne, wróciło do łask, udowadniając, że akademizm, realizm i iluzja nie stanowią dla niego jedynych kierunków rozwoju. Figuratywne były wszak obrazy surrealistów, szukających sposobów przedstawienia snów i podświadomości. Deformacja, porzucenie perspektywy, symboliczne i arealistyczne użycie kolorów pozwoliło artystom na przedstawianie światów wyobrażonych, utkanych z materii snów i fantazji.

Figuratywność i abstrakcja rozwijały się więc równolegle, oferując artystom dwie alternatywne drogi rozwoju własnego języka malarskiego. W momencie dotknięcia płótna pędzlem artysta miał nie jako wypowiedzieć własne *credo* i wkroczyć na ścieżkę wiodącą w jednym lub drugim kierunku. Czy jednak na pewno jednoznaczny wybór pomiędzy abstrakcją a figurą jest konieczny?

### Sztuka pogranicza

Na przekór sztywnym podziałom i kategoryzacji, Renata Bonczar, aktywna na polu malarstwa od lat osiemdziesiątych, zdecydowała się na eksplorację artystyczną tego cienkiego pasa pogranicza, który oddziela język abstrakcji od ma-



larstwa figuratywnego. Obrazy Bonczar trudno jest wpisać w ramy gatunków malarskich. Na pierwszy rzut oka płótna te wydają się abstrakcyjnymi kompozycjami kolorów i form. Obsesyjny wręcz perfekcjonizm konstrukcyjny widać w zestawieniu przejść tonalnych, równowadze brył i dynamice form. Po chwili jednak, spod warstw farby wyłaniać się zaczynają bryły budynków, cienie okien, wieże gotyckich katedr, błyszczące tafle jezior i rzek. Może więc **Bonczar maluje pejzaże?**

Czerpanie pełnymi garściami z dwóch, wydawać by się mogło, przeciwstawnych nurtów, jest jednym z najciekawszych elementów twórczości malarki. Jej ciągle poruszanie się po cienkiej jak ostre noża linii zawieszonyj pomiędzy figurą a formą jest gestem otwarcia w kierunku widza. Patrząc na obrazy Bonczar, odbiorca może użyć płótna niczym lustra i zobaczyć w nim część siebie, fragment własnej wyobraźni, wspomnienie odwiedzonych miejsc, zaułki znanych miast, pozostałości głęboko schowanych emocji.

Abstrakcyjna figuratywność lub figuratywna abstrakcja, tak można by zdefiniować to malarstwo. Strefa niedopowiedzenia, którą otwiera przed widzem Bonczar, jest być może otwarciem w kierunku intymnej przestrzeni wspomnień, emocji i fantazji samej malarki. Malarstwo Bonczar rozwija się poprzez serie; sekwencje płócien, które powstają jako wizualne opracowania pewnych doświadczeń, odczuć, wspomnień z odwiedzanych miejsc. Jednak, pomimo tego otwarcia na świat zewnętrzny, praca nad każdym obrazem przenosi malarkę do wnętrza kompozycji, do zamkniętego świata obrazu, który rządzi się własnymi prawami i niesie sobą całą serię problemów czysto malarskich: balans tonalny, równowaga brył i rozłożenie punktów ciężkości, światła, cienie i faktura. Niekiedy poszukiwanie rozwiązania danego tematu podpowiada kilka alternatywnych koncepcji, co może doprowadzić do powstania bliźniaczych dzieł, różniących się od siebie jedynie jednym elementem układanki.

### Malarstwo materii

Malarstwo Bonczar jest więc wynikiem kontaktu malarki ze światem. Zawiera ono zapiski emocji, ślady relacjonowania się z rzeczywistością. Jednocześnie, obrazy te są czystą opowieścią o malarstwie. Wizualne notatki Bonczar zapisane są olejem na płótnie z zachowaniem sztywnych zasad gramatyki malarskiej. Prace Bonczar przywiodły mi na myśl manifest najważniejszego teoretyka amerykańskiej awangardy, Clementa Greenberga, który w artykule *Towards a Newer Laoccon* opublikowanym w 1940 roku pisał:

„Sztuki powinny być sprowadzone ponownie do własnego medium, tam wyizolowane, zogniskowane i zdefiniowane. To poprzez cechy własnych środków wyrazu, każda z dzieł sztuki plastycznych jest unikalna i staje się sobą. Należy

przywrócić tożsamość każdej ze sztuk i podkreślać nieprze-  
zroczystość jej środków wyrazu. Środki wyrazu sztuk wizualnych okazują się posiadać swoją fizyczność; a przez to czyste malarstwo i czysta rzeźba starają się przede wszystkim wpłynąć na widza w sposób fizyczny”.

Twórczość Bonczar jest w pełni malarska właśnie dzięki materialnemu użyciu środków wyrazu: farby olejnej, która nie próbuje imitować niczego poza samą sobą. Fizyczność tego malarstwa wyraża się w fakturze powierzchni, pełnej rys, grudek, rozmyć i draśnięć. Bonczar maluje pędzlem, ale też palcami. Każde narzędzie staje się przydatne, jeśli pozwała wyryć w farbie zamierzony kształt i uzyskać odpowiednią strukturę. Farba jest tu bohaterem pierwszoplanowym. Nie próbuje ona oddać tu ciepła drewna, miękkości aksamitu czy świetlistości brylantów. Obrazy Bonczar odkrywają przed widzem naturę samego malarstwa, jego aspekt fizyczny i warsztatowy.

Paradoksalnie, ta materialność malarstwa, postulowana przez Greenberga jako zerwanie z tradycją Renesansu, przynosi nas do samego serca tradycji europejskiej. Greenberg pisał „Motto Renesansowego artysty, *Ars est artem celare*, zamienione zostaje na *Ars est artem demonstrare*”. Jednak, oglądając prace artystki, widać od razu jej doskonałą znajomość tradycji, z której czerpie pełnymi garściami. Płótna przygotowane są na przyjęcie farby z poszanowaniem wszystkich niezbędnych elementów, kompozycje zbudowane są w pełni świadomie. Punkty ciężkości wzajemnie się równoważą a materia plastyczna tkana jest z dokładnością godną dawnych mistrzów. Twórczość ta udowadnia, że współczesność nie musi wiązać się z odrzuceniem tradycji, a jest raczej jej kontynuacją i ciągłym odnawianiem.

#### Po co nam malarstwo?

Moglibyśmy zapytać, po co nam to wszystko. Badając twórczość Bonczar, ma się wrażenie, że malarstwo jest potrzebne przede wszystkim jej samej. Bonczar maluje, bo musi. Równie dobrze mogłaby pisać, prowadzić dzienniki, a jednak dla zapisków swojego przeżywania wybrała malarstwo i to w tym medium oddaje sobie i nam własne impresje i powidoki.

Co zyskuje dzięki jej twórczości odbiorca? Kontakt z malarstwem Bonczar okazuje się być (ob)jawieniem i nauką patrzenia. Od czasów renesansu malarstwo starało się otworzyć przed widzem nowe, możliwe światy. Tak działały na przykład widoki na idealne miasta, które zapraszały obserwatora do wirtualnego spaceru po ulicach istniejących tyl-

ko i wyłącznie w wyobraźni artysty. Jeden z takich widoków, namalowany przez anonimowego artystę pod koniec XV wieku jest dziś zachowany w Galleria Nazionale delle Marche w Urbino. Obrazy te działają jak narzędzia optyczne, (ob)jawienia równoległych światów, które możemy odkrywać i poznawać wzrokowo.

Malarstwo Bonczar działa podobnie. Gdy już uda nam się wejść w jego głąb, przedrzeć się przez zasłonę abstrakcyjnych form i kształtów, przed naszymi oczami otwierają się fantastyczne widoki na (nie)idealne miasta. Widzimy przed nami niezmierną przestrzeń: jeziora, rzeki, katedry, wieże, góry, blokowiska i średniowieczne zamczyska. Wydaje nam się, że wszystko to istnieje jedynie w naszej i w malarce wyobraźni. Wystarczy jednak zacząć rozglądać się wokół siebie, aby po chwili ujrzeć w rzeczywistości fragment wizji z płócien Bonczar. Malarstwo Bonczar uczy nas sztuki patrzenia; jest prawdziwym ćwiczeniem z widzenia, któremu poddaje nas artystka.

W historii malarstwa prawdziwe rewolucje zdarzały się w dialogu z tradycją. Artyści, którym udało się przewartościować pojęcia i odnowić język sztuki byli doskonałymi znawcami malarstwa przeszłych wieków. W latach swojej długiej kariery Renata Bonczar wypracowała swój własny język, w którym świadomie łączy, przebudowuje i uaktualnia niektóre z najważniejszych zagadnień malarskich. Malarstwo jej nie ukrywa a wręcz waloryzuje materię, z której jest utkane, podkreślając materialność, trójwymiarowość i plastyczność farby olejnej. Poruszanie się na granicy abstrakcji i figuratywności uruchamia niezwykle ciekawą i inteligentną grę z widzem oraz z tradycją europejską. W malarstwie Bonczar spotykają się i współżyją te dwa przeciwległe bieguny, dwie tradycje, często sobie przeciwstawne, zdradzające dwie odmienne wizje malarstwa. Twórczość Bonczar jest dowodem na to, że rozwój spójnego języka artystycznego nie musi wiązać się z wyborem między figuratywnością a jej brakiem. Obalona zostaje w ten sposób jedna z najtrwalszych dychotomii sztuki post-awangardowej.

Prawie-figuratywność stylu Bonczar otwiera jej kompozycje na intymne, poetyckie wręcz interpretacje. Wskazują na to również tytuły jej dzieł: *Uśpiony czas*, *Nostalgia*, *Valles lacrimarum*, *Milczący świadkowie*. Podróż po świecie Bonczar to podróż po naszych snach, marzeniach, lękach i pragnieniach. Tylko do nas należy decyzja, czy damy się zaprosić do tej peregrynacji. ■

AGATA ANNA CHRZANOWSKA

**RENATA BONCZAR** – od urodzenia mieszka i pracuje w Katowicach. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydział Grafiki w Katowicach. Malarstwo w pracowni prof. Jerzego Dudy – Gracza i dyplom w 1980 r. W 2004 r. w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach uzyskała stopień doktora sztuki. Za twórczość otrzymała Nagrodę Artystyczną Wojewody Śląskiego, Kieleckiego, Nagrodę Prezydenta Miasta Szczecina, w 2022 r. Nagrodę Prezydenta Miasta Katowice za wybitne dokonania w dziedzinie malarstwa. W 2016 r. uhonorowana przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Brązowym Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”; Srebrnym i Złotym Medalem Merite Et Devouement Francais w Paryżu, na XIII Biennale we Florencji otrzymała Nagrodę Specjalną Medal Prezydenta Biennale. Na swoim koncie ma ponad sto trzydzieści wystaw indywidualnych m. innymi w Galeriach BWA; w Katowicach, w Łodzi, w Opolu, w Raciborzu, w Częstochowie, w Krakowie, w Muzeum Miasta Sopot, w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, w Zamkach w Pszczynie i Niepołomicach, w Muzeum Historii Katowic, w Muzeum Śląskim w Katowicach, w TPSP – Górny Pałac Sztuki w Krakowie, w Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie, w Muzeum Starożytnego Hutnictwa w Pruszkowie, w galeriach w Kanadzie, USA, Niemczech. Brała udział w udokumentowanych ponad trzystu wystawach zbiorowych m. in. International Drawing Prize J. Miró, Barcelona ( Hiszpania ) i ( Andorra ), Współczesne Malarstwo Polskie – Rotterdam, Arnhem, Amsterdam (Holandia), International Kolony in Prilep ( Macedonia ), International Kolony im Flühli ( Szwajcaria ), Kunst Cirkus – Zandvoort ( Holandia ), Impresje Greckie – Gargaliani i Ateny ( Grecja ), 100 Artystów – 100 Obrazów, Norymberga, Impresion from Umbria, – Narni ( Włochy ), Art La Pologne Se Dévoile, – Arras ( Francja ), Segovia 2009, Casa de la Alhondiga ( Hiszpania ), Plein Air – Fundacion Antonio Pérez, Cuenca ( Hiszpania ), Współczesna Sztuka Polska, Nowy Jork (USA ), Art Exhibition, – Wiedeń, Kraków, Salon International Des Arts, Paryż ( Francja ), XIII Biennale Florencja (Włochy). Laureatka ponad trzydziestu nagród, wyróżnień i medali w najważniejszych konkursach malarskich w Polsce. Prace jej znajdują się w wielu kolekcjach państwowych, muzealnych; w Muzeum Narodowym w Krakowie, w Muzeum Śląskim w Katowicach, w Muzeum Historii Katowic, w Muzeum Sztuki Współczesnej Cuenca – Hiszpania, oraz w prywatnych w kraju i za granicą. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem, projektowaniem, wykładowca akademicki.



Renata Bonczar SWIATLO NADZIEI



Renata Bonczar LAZUROWY BRZEG



Renata Bonczar ZATOKA CHAOSU



Renata Bonczar ZIEMIA NICZYJA





Renata Bonczar BIAŁE GROTY SMUTKU



Renata Bonczar DWIE IMPESJE



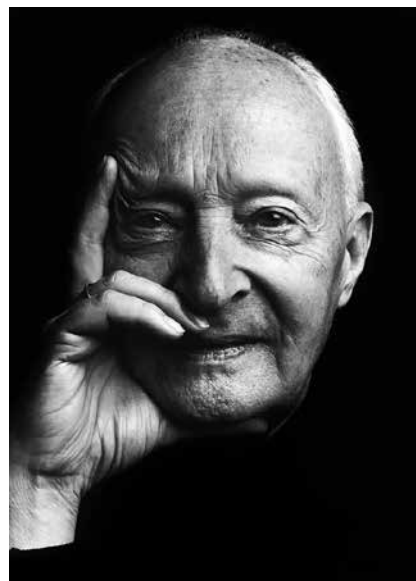
Renata Bonczar INNY LĄD



Renata Bonczar POWROTY

# Lutosławski – poza czasem i przestrzenią

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Aż wierzyć się nie chce... 25 stycznia tego bieżącego roku minęło sto dziesięć lat od chwili urodzin Witolda Lutosławskiego. A przecież spotkania z nim, w których miałem szczęście uczestniczyć, pamiętam „jak gdyby to było wczoraj”. Jeszcze w lutym 1990 pisałem: „23 listopada 1989 r., w Londynie Królowa Matka wręczyła Witoldowi Lutosławskiemu dyplom członkostwa Królewskiego Kolegium Muzyki. Ta elitarna instytucja skupia najwybitniejszych aktualnie przedstawicieli środowiska muzycznego, ludzi, o których z reguły wiadomo, iż bez ich współudziału, bez ich dobroku, nie moglibyśmy mówić o czymś, co nazywamy muzyką. Absolutnie nie powinno nas dziwić, że takim zaszczytem (jednym z wielu na przestrzeni lat) wyróżniono Witolda Lutosławskiego. Powinno nas dziwić jedynie, dlaczego zaszczytu tego dostąpił tak późno. Ciekawy przyczynek do rozważań nad przysto-  
wiowym konserwatywnym Anglików”. Wiadomość o jego śmierci 7 lutego 1994 wielu z nas przyjęło z zaskoczeniem, bo zawsze wydawał się taki aktywny, energiczny, pełen życia.

Lutosławski. W historii muzyki naprawdę trudno o bardziej imponujący życiorys, o bardziej spektakularny przykład konsekwentnego dążenia do naznaczania muzyki siłą swej osobowości i odniesienia tak bezdyskusyjnego sukcesu. W XX stuleciu żadnemu chyba kompozytorowi nie dane było tak jednoznaczne zwycięstwo nad paraliżującym brzemieniem przeszłości (przez które rozumieć należy bezkrytyczny podziw dla dawnych mistrzów), nad kaprysami teraźniejszości (zawyczał pełnej uwagi dla jednodniowych „geniuszy”), nad widmem przyszłości (którego najserdeczniejszą przyjaciółką jest ponoć awangarda, a Lutosławski nigdy awangardystą nie był). Myślę, że ani talent Strawieńskiego, ani niezwykła wyobraźnia Bartoka, ani nawet wyjątkowe w swym bogactwie oryginalność Schoenberg czy nowatorstwo Weberna nie mogą się równać z głębią uniwersalnego, prawdziwie humanistycznego, przekazu Lutosławskiego.

Lutosławski nigdy nie był jako artysta od kogokolwiek i czegokolwiek zależny. Częstość w różnych kontekstach przychodziło mu podkreślać swój podziw dla Debussy'ego, dla Stawińskiego, Roussela, dla Varèse'a i Bartoka. Mówił nawet o wpływie tych kompozytorów na swoją muzykę. Jaki wszakże był ten wpływ? Czy mamy tu do czynienia z, od razu zauważalnym, nawiązaniem do stylistyki dzieł wymienionych twórców? Czy raczej do ich sposobu myślenia o muzycznej materii? Niewątpliwie to drugie. Przecież i w tzw. dziełach

młodzieńczych trudno wykryć konkretne wpływy. Młodemu Lutosławskiemu przydały się bez wątpienia, jeszcze przed II wojną, kontakty z muzyką francuską tamtego okresu. Nie wolno zapominać, iż hasło „po wiedzę muzyczną do Paryża” wyszło od wielkiego Karola Szymanowskiego, którego spadkobiercą, w jakimś sensie, pozostał Lutosławski do końca. Przejrzystość faktury, wirtuozeria – nieodmiennie bardzo funkcjonalnej – instrumentacji, niechęć do bombastycznej ekspresji, konsekwencja w realizowaniu przyjętego na potrzeby danej kompozycji modelu formy, zawsze „czyste”, łatwe do analizowania (co jest rzadko dzisiaj spotykaną zaletą), mistrzostwo w wysnuwaniu narracji z drobniejszych motywów to podstawowe cechy kompozytorskiego rzemiosła jakim dysponował Lutosławski już od zarania swej artystycznej aktywności. I jeśli owe cechy rozpatrywane z osobna charakteryzują, częściowo przynajmniej, dzieła wymienionych wyżej artystów, o tyle w przypadku Witolda Lutosławskiego wzięte razem składają się one na niepowtarzalny język kompozytora, który, jak mało kto, umie postępować z substancją muzyki według swoich najbardziej, wydawałoby się, kapryśnych koncepcji.

Lutosławski debiutował jako autor napisanych w przededniu wojny *Wariacji symfonicznych* (1938). Wkrótce potem powstały *Wariacje na temat Paganiniego* na dwa fortepiany (1941), wykonane podczas nielegalnego okupacyjnego koncertu oraz – ukończona po wojnie w roku 1947 – *I Symfonia*. Forma dwu pierwszych utworów nie powinna dziwić. Wariacje, czyli zasada konstruowania przebiegu muzyki na podstawie stosunkowo krótkiej formuły (proszę zwrócić uwagę na pierwszy temat *V Symfonii* Beethovena – to zaledwie dwa dźwięki, z których pierwszy powtórzone „aż” trzy razy! podobne tematy komponował Bach) są do dzisiaj próbierzem maestrii kompozytora. W cyklu wariacyjnym można sprawdzić zdolność (lub jej brak) do myślenia ekonomicznego, do wykazania się fantazją, najkrócej rzecz biorąc, w mówieniu tego samego ciągle odmiennie, co ma gwarantować z jednej strony spójność dzieła, z drugiej – bogactwo muzyki jako takiej.

W latach pięćdziesiątych Lutosławski był jednym z tych, których autorytet i renoma nie pozwoliły na totalne podporządkowanie środowiska muzycznego dyrektywom tzw. realizmu socjalistycznego. Kompozytor, składając pozornie haracz tej estetyce (wykorzystanie folkloru, stosowanie tradycyjnych form

takich jak suita, koncert itp., unikanie eksperymentów w zakresie materiału dźwiękowego, szereg drobnych pieśni „masowych”) zachowuje jednak niezależność i pisze utwory istotne nie tylko dla historii muzyki polskiej, ale i światowej, z niezwykłym *Koncertem na orkiestrę* (1954) na czele. To potężne, tak pod względem zamysłu jak i wartości, dzieło stanowi pożegnanie z najbliższą Lutosławskiemu tradycją. Później artysta dokonuje prze wartościowań i zaczyna pracować nad własnym indywidualnym systemem muzycznym. Drogę do osiągnięcia celu znaczą, na pierwszym etapie poszukiwań, *Muzyka żałobna* na orkiestrę smyczkową (1958), *Pięć pieśni do słów Kazimierza Iłakowiczówny* na głos żeński i orkiestrę (1958), *Trzy postludia* na orkiestrę (1960) i wreszcie *Gry weneckie* na orkiestrę kameralną (1961), w której to kompozycji sprawdził Lutosławski możliwości pozostawienia wykonawcom pewnej swobody, przypadkowości w grze – zapis nutowy sugeruje, że niektóre fragmenty muzyki powinny wykonywać niezależnie od siebie i dyrygenta. W rezultacie otrzymuje się „elastyczną” tkankę muzyczną a omawiane fragmenty brzmią za każdym razem inaczej. Tę technikę (zwaną aleatoryzmem, od łacińskiego słowa *alea* – kostka do gry, gwarancja przypadku) rozwija Witold Lutosławski w kolejnych dziełach, które należą do okresu chyba ostatecznego spełnienia tego wyjątkowego talentu. Wymienić tu wypada *Trois poèmes d'Henri Michaux* na chór i orkiestrę (1963), *Kwartet smyczkowy* (1964), *II Symfonię* (1967), *Li-vre pour orchestre* (1968) czy genialny *Koncert wiolonczelowy* (1970).

W serii następnych dzieł, może począwszy od *III Symfonii* (1983), jest Lutosławski niemię mistrzowski, ale może bardziej klasyczny. Jego muzyka, wzorem ostatnich, najdoskonalszych dzieł Bacha, stanowi wartość samą dla siebie, wartość absolutną, istniejącą poza czasem i przestrzenią, wartość niepowtarzalną, jedyną.

\*\*\*

Jestem poetą, czyli nikim.  
Wędruję ulicami, przemierzam ścieżki donikąd.  
Nie umiem dbać o to, co kocham.  
Zostawiłbym to wszystko  
I umarł cicho, nie dopiwszy piwa.

\*\*\*

Moja Pani Śmierć wciąż jeszcze niegotowa.  
Przed lustrem w majtkach i biustonoszu  
Krwawi usta, czerni brwi.  
Każe wyczyścić buty.  
To nie do zniesienia. Nie poganiam,  
Bo się obrazi.

\*\*\*

Monotonne losy zegarów mierzone płynnym drzeniem  
Ubywa czegoś, czego jest w nadmiarze.  
Przybywa czegoś, co przepadło.  
Ziarnka piasku w spoconej dłoni.

**Markowi Orłowskiemu.  
Poecie**

Nieznośnie długie dni.  
Światło męczące,  
Rozfalowana zieleń  
Burze z zachodu.  
Wylizaaaanka. Maaaarne.  
No marne.

\*\*\*

Wyjść w słońce, zaciągnąć się deszczem promieni,  
Iść ścieżką, minąć pana z pieskiem.  
Otrzeć kurtkę o konar drzewa  
I wyparować.

\*\*\*

Pieśń o butelkach stojących na półce w ulubionym barze.  
O barwnych etykietach.  
O przyjaźni serdecznej.  
Kołysz się ze mną przyjacielu w ten rytm! Pij, ile możesz!  
Pieśń okiem uda potencjalnych kochanek!  
Dalej!  
Niech gną ci się kolana.

\*\*\*

Jestem zwierzem dzikim.  
Stąпам ostrożnie nie dotykając podłoża.  
Węszyć wrogów w gęstwinie urzędów.  
Obce zapachy.  
Coraz trudniej o żer.  
Potomstwo głodne.  
Linieję, parchacieję.  
Szpetnym ryjem spragniony,  
Chłopcę z zatęchłej kałuży.  
Może gdyby nie ten upał, skrzek sroki...  
Uważaj istoto: Kopię, drapię, gryzę.



\*\*\*

Stare zakurzone pianino.  
Milczące, nieodgadnione jak Bóg.  
Nikt nie wątpi, że jest. Nikt nie słyszał jak gra.

\*\*\*

Śpijcie umęczeni.  
Pomińcie nieszczęsny niedzielny poranek.  
Niech dzwony kościołów was nie obudzą.  
Słońce niech pełźnie na tle czarnych jaskółek.  
Błękit niech znowu stanie się nocą.

### **Przyjaciel, którego porwały Anioły**

Na jesiennych drogach nie widuję już Zygmunta.  
Poniosły go zmęczone stopy  
Do swojego Boga.

\*\*\*

Nie mam nic do powiedzenia,  
Niech mówią inni.  
Uśmiechniętą gębą będę wzbudzał  
Szacunek „mędrców”.

\*\*\*

Mam luksusy, o jakich nikt nie marzył.  
Samotność, nieszczęsną ukochaną moją.

\*\*\*

Bez kobiety, bez łez, w nagłym nadejściu zimy,  
płatków śniegu nie zliczysz.

\*\*\*

Na dnie głęboko nie poruszy się już nic.  
Nie będzie wiosny ani lata.  
Oślizły węgorz prześliznie ci po plecach.

\*\*\*

W wigilię zaćmienia słońca,  
Oczekując ciemności, spotykasz promyk.  
Całujesz w policzek, głaszcysz włosy.  
Promyk mówi – Nie.

\*\*\*

We wnętrzu starego zegara wciąż jeszcze coś tyka.  
W snach marzenia jeszcze nie usnęły.  
Trudno je później okiełznać, gdy się przebudzą.

\*\*\*

Moim domem jest samotność.  
Mojej żonie na imię Miłość.  
Kiedy jestem w domu,  
Nie ma przy mnie Miłości.  
Kiedy kocham,  
Deszcz spływa mi po twarzy.



# Fantana. Agora „przedwojennych młodych gniewnych”

JAN MALICKI

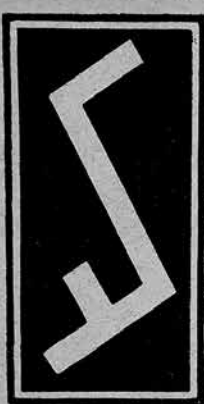
Ostatnie miesiące pokoju 1939 roku dla środowiska literackiego Katowic były wielce obiecujące. A to za sprawą Zjazdu Literackiego zorganizowanego 18 czerwca 1939 roku przez nieliczny, elitarny, a jednak niezwykle prężny Zespół Literatów i Artystów „Fantana”, skupiającego „przedwojennych młodych gniewnych”. Zjazdu odbywanego dokładnie w pierwszą rocznicę powstania Zespołu. Patrząc z perspektywy lat, docenić należy

odwagę młodych twórców przekraczających barierę lokalności na rzecz otwartego i wysoce artystycznego widzenia literatury, próbującego budować model literatury kresowo – patriotycznej, konfrontacyjnej w swej istocie. Innej jednak niż powracający raz po raz model regionalizmu emocjonalnego, miłującego. Nieprzypadkowo właśnie pojawia się tu słowo konfrontacja. To bowiem „sól i pieprz” każdej społecznie początkującej grupy ar-

tystycznej i nie tylko. Wypychanie tych, co przed nami i obok nas. Zatem sam Zjazd Literacki, jego organizacja i otwarte, publiczne postawienie pod dyskusję własnego programu twórczego stało się niezwykle celnym posunięciem. Co ważniejsze na swój sposób upokarzając ikony współczesnego, choć już odchodzącego modelu literatury lokalnej. To musiało mocno zabołec. Wszak na Śląsku istniał komitet porozumienia organizacji literackich. Czemu więc nie on był organizatorem tego wydarzenia? To słowa Ignacego Fika, który na Zjeździe tak mówił: „Ruch literacki Śląska nie ogranicza się do „Fantany”, w której widać niebezpieczeństwo tworzenia się klikki, trzęsącej życiem pewnego środowiska literackiego ze względu na energię i rzutkość kilku ludzi”. Replikował mu zaś Karol Irzykowski: „Kliki, nie stanowiące towarzystwa wzajemnej adoracji, nie są niebezpieczeństwem dla życia literackiego... Śląsk powinien mieć ambicję stworzenia wyższej myśli kulturalnej”. I coś w tym było, skoro w „Alfabcie śląskim” Bolesława Lubosza znaleźć można taki oto smakowity obrazek: „Zaremba swoich kolegów po piórze z redakcji Fantany zapraszał w okresie wakacji do rodzinnego dworku, żeby tych głodomorów wreszcie dożywić i porządnie wyszorować w dworskiej balii. Jednak owe literackie przechery zamiast stołu szlachetnej pani Zarembiny, przy którym trzeba było zmówić paciorek, zamiast hożych dworskich dziewek, które czekały na nich z utęsknieniem przy dymiących baliach z ryżowymi szczotkami w krzepkich dłoniach, oni upodobili sobie dworcową knajpę, a to dlatego, żeby ich nikt nie odnalazł. Bo wiem pani dziedziczka widząc, jakie to ancymony, przykazała wiejskiemu szynkarzowi, żeby natychmiast, gdy tylko paniczce pojawią się u niego, on – przy pomocy miejscowych osiłków – odstawił ich ciupasem do dworu. Jośka aż skręcało, bo miał litościwe serce dla trunkowych, ale uroczyście poprzysiągł na Biblię.” To oczywiście anegdota.

Równie trafne były też inne przedsięwzięcia Zespołu; i powstanie miesięcznika literacko-artystycznego, i silna współpraca z katowickim radiem, i zapowiedź powołania „Książnicy Fantany”,

Cena egz. 80 gr. – 20 stron



ROK II. – NUMER 7-8 (9-10).  
LIPIEC-SIERPIEŃ 1939 ROK.

M I E S I Ę C Z N I K  
L I T E R A C K O - A R T Y S T Y C Z N Y

NUMER POŚWIĘCONY  
ŚLĄSKOWI OPOLSKIEMU

W NUMERZE PISZA:

Baranowicz Jan  
Grądzielewski Stanisław  
Hierowski Zdzisław  
Hulok Henryk  
Morcinek Gustaw  
Musiał Paweł  
Sobański Marian  
Szewczyk Wilhelm  
Ks. Szramek Emil  
Szulczewski Cezary

F  
A  
N  
T  
A  
N  
A

którą miał zainicjować już w lipcu 1939 roku zbiór poezji Jana Baranowicza zatytułowany „Chrystus w zaułku”. Nieprzypadkowo przywołany tu Bolesław Lubosz określił członków zespołu jako „młodych gniewnych”. „Młodych” przede wszystkim wiekiem. W skład jego wchodził bowiem – poza jednym wyjątkiem Janem Wyplerem – młodzi jeszcze ludzie w wieku około trzydziestu lat. Na tyle jednak doświadczeni w swej codzienności, że mogli swoje pasje twórcze wzbogacić o ten wielki krąg mądrości życiowej, który jest doświadczeniem każdego z nas, uogólniając go jednak i dołączając do sfery uniwersalnej, przekształcając jednocześnie zapis w kształt literackiej wypowiedzi oraz artystycznej ekspresji. Dość jedynie przypomnieć skład zarządu. Prezesem został wybrany Jan Kazimierz Zaremba, po wojnie twórca śląskiej polonistyki; jego zastępcą – Alfons Piotrowski, sekretarzem – Wilhelm Szewczyk, a członkami – Jan Baranowicz, Tadeusz Dobrowolski, Amalia Hanzłówna, Ludwik Brożek, Zdzisław Obrzd i najstarszy z nich, pasjonat śląskiej sinologii – Jan Wypler. Z czasem dołączy doń i Zdzisław Hierowski. Celem Zespołu, pisze Teresa Banaś – Korniak, miało być „uaktywnienie życia literacko-artystycznego na Śląsku i nadanie mu form organizacyjnych”. I tak się stało. Powstała „Fantany” oraz pierwsze manifestacje twórcze, szybko zostały zauważone w Polsce, by jedynie przypomnieć choćby słowa Stefana Papego we lwowskim radiu: „Czekamy na rozkwit „Fantany”, pełni wiary, że miesięcznik literacko-artystyczny śląski zdobędzie sobie poczytność w całej Polsce, zyczącym nasłuchującej ech poetyckiej burzy, zapowiadanej w śląskich uroczyskach”. To jeden krąg obserwatorów; rodzimy. Ale „Fantana” miała też i groźnych cenzorów; doczekała się bowiem zakazu rozpowszechniania w Niemczech. W ostatnim numerze czytamy: „W tych dniach w Niemczech ukazało się rozporządzenie urzędowe, zakazujące kolportowania „Fantany” na terenie Śląska Opolskiego. Nastąpiło to w związku z akcją antyniemiecką, jaką „Fantana” w dziedzinie kultury od samego początku toczy”. To drugie oblicze w rzeczy samej programowe czasopisma. Zwróciła na ten aspekt już wcześniej Teresa Banaś-Korniak. „Twórców skupionych wokół „Fantany” – pisze – oprócz problemów artystycznych interesowały bieżące sprawy polityczne. Wiązało się to oczywiście z ideową postawą wielu autorów drukujących w miesięczniku. Artykuły Jana Kazimierza Zaremby, Zdzisława Hierowskiego, Wilhelma Szewczyka i innych podkreślały ścisły związek sztuki z bieżącą historią narodu”. Wiele z nich szybko zdobyło pozalokalny rozgłos. Szczególnie te, które uchodziły za manifesty Zespołu, jak na przykład Jana K. Zaremby „Misja pol-

# FANTANA

MIESIĘCZNIK LITERACKO - ARTYSTYCZNY

ROK II.

KATOWICE, LIPIEC-SIERPIEŃ 1939 r.

NR 7-8 (9-10).

Zdzisław Hierowski

## Poeta spod znaku Rodła

My nie ustaniem w walce,  
siłą słuszości mamy  
i mocą tej słuszości  
wytwamy i wygramy!

Kto dziś w Polsce nie zna tych prostych a mocnych słów, śpiewanych melodią silną i tryumfalną. To przecież śpiew Rodła, zawołanie Polaków w Niemczech, które towarzyszy każdej ich sprawie i którego echo tak częste idzie ku nam przez granice.

Słowa są niewyszukane, dla każdego zrozumiałe i łatwo zapadające w pamięć. Dlatego przyjęły się w masach i brzmią potężnie z tysięcy piersi przy każdej narodowej uroczystości. Stworzone są dla ludu a przecież pisał je poeta nieprzeciętny, znacznie przerastający poziom ludowej poezji — Edmund Osmańczyk.

Jego pierwszy tomik poezji, wydany w Opolu w roku 1937, zatytułowany „Wolność jest s'oneczna” przyniósł ze sobą z tamtego Śląska powiew szerszej polskości, zdobył nasze serca jako płomienny manifest wiary w Polskę, wiary w wytrwanie i zwycięstwo żywiołu polskiego nad Odrą. Powitano wówczas w Osmańczyku nowego poetę tym nam bliższego i droższego, że reprezentującego żywotność kultury polskiej poza politycznymi granicami naszego państwa, tym bardziej wartościowego, że wywodzącego się z ludu, któremu twarzą niedługo wieków nie pozwoliła przez długi okres czasu być czynnikiem twórczym w rozwoju kultury narodowej.

Patrząc na twórczość Osmańczyka, pamiętać musimy o jednym: u poety tego napęczód był czyn a potem dopiero poezja, naprzód była praca narodowa wśród rzesz polskiego ludu w Niemczech a potem dopiero z niej zrodziło się słowo, będące wyrazem ducha i walki tego ludu. To właśnie nadaje jego utworom szczególne znaczenie i wartość wewnętrzną, to czyni je dokumentami życia polskiego w Rzeczy Niemieckiej.

Osmańczyk to poeta młody, to też entuzjazm tej młodości, jej wiara, bezkompromisowość i śmiałość głęboko przenika to wszystko, co wyszło spod

jego pióra. Nie znajdziemy u niego wahania, niezdeterminowania, skarg, czy narzekania. Osmańczyk nie żali się, nie prosi o pomoc czy współczucie, ale wależy i niezachwianie wierzy w zwycięstwo.

To, co pisze, przy swej nieprzeciętnej wartości artystycznej jest prawdziwie, szczerze i proste, jest jakby stworzone do tego, by zbladzić pod strzechy czy niskie czarne dachy czerwonych domków robotniczych, by znaleźć się w spracowanym ręku ch'opa i robotnika. To przeznaczenie leży wyraźnie w ambicjach i intencjach Osmańczyka. Swą twórczość literacką traktuje on jako misję narodową, jest ona dlań jedną z form jego pracy wśród Polaków w Niemczech. I niesie im ufność w zwycięstwo, siłę do wytrwania, uczy ich śmiałości i bohaterstwa, otwiera im oczy na własną wartość i ugruntowane na niej prawo do narodowego bytu. Przede wszystkim zaś stawia im przed oczy Polskę „wielką, mocną i bogatą”, wskazuje im naród „zawsze wolny” i zawsze niepodległy, do którego należą przyszłość. O tym to w jednym ze swoich wierszy mówi:

O, jakże trudno wypowiadać ludzkim słowem lichym  
dziejów polskich idących młody, mocny wiecher!  
(„Wiosna”).

W jednym z jego zawsze pospiesznie pisanych, zawsze zdradzających zapracowanie i brak czasu listów znajduje takie credo pisarskie:

...ambicją moją jest pisać tak, by wiersz czy proza  
były przeczytane i dla niewykształconego Polaka i dla  
Lw. inteligenta, by wartość ich wrzeszeń była jednaka  
w treści choć różna w formie odczucia. Cel zaś  
twórczości piszącego Polaka widzę w uświadomieniu  
o prawdach Bożych i Narodowych wszystkich bractw  
w Narodzie Polskim, aby wszystkie serca polskie  
świadome były swej Wielkości. Wierzę bowiem głęboko,  
że w każdym człowieku tkwi ziarno wielkości  
a ujawnieniem czy odkrywaniem tych ziarn zajmować  
się winni wszyscy twórcy ludzie w Narodzie.  
Polak piszący służyć musi Wielkości. Wielkość zaś  
wieczna i potężna z ducha jest. Tedy Polak piszący  
winien zwalczać materializm a z żarliwością bojowniczą  
budzić ducha w Narodzie. Oto wspaniałe zadanie  
dla kapłanów, poetów i świętych“.

1

skości”, „W walce o nowego człowieka”, „Między niemieckim i polskim mitem”. Nic więc dziwnego, że taki też charakter miał ostatni, przedwrześniowy numer poświęcony Śląskowi Opolskiemu, zawierający teksty między innymi Gustawa Morcinka, Pawła Musioła, Marianna Sobańskiego, Wilhelma Szewczyka oraz ks. Emila Szramka. A i rozpiętość tematyczna numeru była ogromna; od sylwetek od zawsze kojarzonych z Opolszczyzną, jak Edmund Osmańczyk i Arka Bożek, poprzez relacje o pobytach katowickiego teatru na wsiach wokół Opola i kłopotach z tym związanych, wymuszających zmianę tras, aż po rozważania o tym, jak „Prawo walczy z polskością” czy o mechanizmach germanizacji. Co ciekawe, autorzy nie ukazują więc wyłącznie jednej tylko sfery kultury, polskiej. Piszą też o kulturze niemieckiej na Śląsku, jej przejawach i wszechogarniającej dominacji. Choć w moim odczuciu zbyt emocjonalnie i – powtórzmy – z wyraźnym nachyleniem propolskim. Są też i zaskoczenia, gdy wśród poważnych tekstów nagle pojawiają się zapowiedzi następnego, wrześniowego nume-

ru „Fantany” a w nim artykuły Karola Irzykowskiego i Stefana Kołaczkowskiego. Niestety, już się nie ukazały.

Na szczęście archiwum czasopisma zachowało się. Jego część Biblioteka Śląska odkupiła od jednego z katowickich antykwariatów. Są tam listy potencjalnych autorów, chociażby wybitnego krakusa, przyszłego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Tadeusza Ulewicza, są też informacje Prezesa o swoich pracach nad poematem o Krzysztofie Arciszewskim i słuchowiskiem radiowym, które ma zostać wyemitowane 31 sierpnia 1939 roku, czy też o jego peregrinacjach na trasie Bogumin, gdzie od 1 września miał uczyć w gimnazjum, poprzez Katowice, gdzie z Wilhelmem dopracowywał kolejny numer „Fantany”, po Stróże, gdzie królowała Pani Wanda. A komilitoni z Zespołu Literatów i Artystów już tam dojeżdżali.



# Iluzje, granice, partycypacje

RADOSŁAW KOBIERSKI

Festiwal A PART wystartował – 16 czerwca – zgodnie z tradycją w Rialcie koncertem muzycznym, w którym wystąpili Mambo Nini z Haiti, Lekso Gremelaszwili z Gruzji oraz Marcin „Cozer” Markiewicz. Dzień później w Pałacu Młodzieży zaprezentował się kolektyw StEAM ROOM z *DragON aka Phoenix* oraz – w Galerii Ateneum – *Kairos* Moniki Wachowicz i Jarosława Freta.

*DragON* to spektakl z pogranicza teatru fizycznego i teatru tańca – form nieustannie obecnych (i przeważających) w harmonogramie tegorocznego festiwalu. Zaproponowano wielobarwne i atrakcyjne wizualnie widowisko badające granice form ekspresji, a także granice ciała (wytrzymałości). Wszystko to dość wyraźnie koreluje ze współczesnością i kulturą wyczerpania. Ale *DragON* opowiada również – na poziomie bardziej dosłownym – o ciele kulturowym. O płynności ruchu fizycznego, który wynika z płynności przepływu między tożsamościami. Kiedy ruchu nic nie ogranicza, ani żadne postanowienie, ani tradycja. Kiedy ruch (ciało) może zaprotestować przeciw wszelkim formom ciemienia.

*Kairos i Sen Ariadny* – spektakl przygotowany przez A PART i kolektyw Czujących Barbarzyńców – okazały się dla mnie wydarzeniami wielkiej wagi. Marcin Herich wrócił do konwencji teatru dla jego widza (sprawdziła się w ostatnich latach) i do *Alicji* – wiele pomysłów inscenizacyjnych i strategii zostało skopiowanych z tamtego spektaklu. *Ariadna* jest jednak mniej dosłowna. Bardziej zanurzona w antyku niż we współczesności (choć odwołań kilka znajdziemy).

Co najważniejsze – nie błądzimy już po bezdrożach INFERNA, ale po Dionizyjskich pałacach i misteriach w nich się chroniących. Owszem, w labiryncie snu Ariadny możemy czuć się zagubieni i wystraszeni – wszak odgłosy, dźwięki z labiryntu budzą niepokoje, z czasem jednak obrazy zaczynają nas fascynować – tak jak fascynujące jest niedosłowne, subtelne przenikanie się Thanatosa i Erosa. Idealnym odniesieniem dla *Ariadny* są pompejańskie wille misteriów – przestrzenie, w których odbywały się inicjacje, obrzędy ku czci Dionizosa, tajemnicze ceremonie, „męczeńsko-erotyczne”. Akty lustrzane odbicia, maski, uchylone drzwi, cienkie zasłony oddzielające nas od theatrum – bo przecież granica prawie nie istnieje, niby znajdujemy się w roli obserwatora tych obrzędów, ale zadziwiająco i czasem za bardzo „wewnątrz” – niczym we własnym śnie, z którego czasem próbujemy coś przeżyć, ale po przebudzeniu orientujemy się, że wszystkie nici ze snem zostały zerwane.

Jeśli te historie są wpisane w grecki AiON, w czas i beczas – przecież antyk zdarzył się niemal wczoraj – Kairos próbuje je przewracać, czy może bardziej – zindywidualizować, pokazać przełomowe decyzje, które mają na celu przeobrażenie, wyjście z kręgu zależności, przekroczenie greckiego fatum, w którym losem ludzkim rozporządzały bogowie. Słowo „wolność” wielokrotnie wypowiedziane, wykrzykane z furją przez megafon (odniesienia do Strajku Kobiet są całkowicie uprawnione) przez Monikę Wachowicz w spektaklu/instalacji *Kairos* jest właśnie takim emancypacyjnym momen-

tem. Nie wiem do końca, czy na scenie / w klatce odgrywany jest los indywidualny czy może los zbiorowy kobiet – za pierwszym przemawiają aluzje do strajku oraz kontekst kulturowy, za drugą ewentualnością przemawia słowo przewodnie spektaklu spisane w pierwszej osobie. Te wszystkie współgłosy instalacji *Kairos* możemy oczywiście potraktować nie jako symbole kultury, z której się wywodzą, lecz jako opowieść jednego poziomu, opowieść jednego źródła, które nieszczęśliwie zostało podzielone. Jest to więc spektakl o dojrzewaniu do oporu i wolności.

Ten krótki moment wolności relacjonuje również *Pieśń śmy* Marleny Niestrój. I tu również mamy do czynienia z klatką, która jest centralnym elementem sceny. Ścisłej rzecz biorąc to kokon, wybudza się w nim istota, która odtąd pożądać będzie światła i podążać będzie tylko za światłem. Gra cieni, gra form, które przypominają nam frenetyczny lot śmy, innym razem konkretyzują się w ludzki, kobiecy kształt – to najlepsza choreograficznie i wizualnie scena podstawienia. Spektakl przede wszystkim opowiada o zmianie (podpierają ten zamysł wizualizacje katastrof reorganizujących życie na planecie), która nie jest aktem jednostkowym i pojedynczym, ale cyklem. Ekstaza nie posiada tylko jednej odslony. Gdyby nie zachodziły zmiany, ekstazy byłyby niemożliwe.

Natalia Chylińska i Katarzyna Pastuszek związane są z gdańskim Teatrem Amareya. Ich *Anatomie* to wielogłosowy performans – jak sama nazwa wskazuje – w zasadzie medytacja na dwa głosy, które wnoszą do tej podwójności swoje uwarunkowania, historie – czasem schodzą się one w podobnych doświadczeniach, czasem biegną równolegle. Ciała wchodzą ze sobą w interakcje, splatają się i rozplatają, biorą udział w codziennych rytuałach, opowiadają się. Artystki zwracają uwagę na proces decentralizacji swoich pozycji, chociaż to cykl bardzo zmudnych i długich procesów.

W sferze intensywnego biografizmu rezonezuje *Przemieszczenie*. Anna Steller zaczyna od zapisków z dziennika – „histerycznie” wykrzykanych w prologu – są to zapiski młodzieńcze, pełne emfazy, niekontrolujące jeszcze formy. Cała energia głosu spływa w końcu na ciało, które próbuje siebie doświadczyć w krańcowym wysiłku, czy może przebić się przez jakąś niewidzialną dla nas materię. W końcu zostaje uwięzione (ulokowane) w nieskończonym ruchu po stałej trajektorii (ósemkowej). Abstrakcyjny ob-

fot. Grzegorz Krzysztofik



„Sen Ariadny”



raz powstający na folii jest dosłownie wywarzany przez ruch, przez ciało w ruchu.

Akty kojarzymy z działaniem intencjonalnym, ale przede wszystkim z gatunkiem działań artystycznych (rzeźba, malarstwo, fotografia). Akt zazwyczaj przedstawia nagość. Najczęściej – w kulturze patriarchalnej – nagość kobiecą. W języku mamy zarówno frazeologizm „akt kobiecy” jak i „akt przemocy”. Aurora Lubos zabiera nas w podróż po świecie (aktach) przemocy, uczestniczymy w niej zresztą całkiem podmiotowo, zarówno jako widzowie, którzy tworzą spektakl, ale również jako świadkowie, którzy nie reagują, nic nie słyszą i nic nie widzą, a więc podtrzymują w milczącym przyzwoleniu cały system. Na *Akty* składają się świadectwa ofiar, spisane przez Lubos podczas spektaklu, instalacja wideo z rejestracją zapętlonych scen przemocy i jej fizycznych oraz psychicznych konsekwencji), dwie sceny dość porażające w swojej wymowie dosłownej i symbolicznej. Wokalizowany lament, który narasta do poziomu krzyku; jest to krzyk-wrzask, w którym zawierają się jakby wszystkie zebrane doświadczenia ofiar, krzyk zbiorowy wynikający ze zbiorowego przemilczenia i obojętności. Morał *Aktów* Aurory Lubos to krótka sekwencja wideo i zapętlone zdanie wypowiedziane przez dziewczynkę/córkę, która staje się matką dla swojej matki (i przyszłą ofiarą systemu): „Matko pomogę ci, uratuję cały świat”.

Marcin Herich, dyrektor festiwalu, od kilku lat na festiwalowe deski zaprasza również teatry lalkowe. Pomysł znakomity, ponieważ po pierwsze tego typu projekty włącza się do mejnstrimu (a na to zasługują), baśniowe alegorie i ich realizacje budzą ogromny entuzjazm wśród publiczności – tak było w ubiegłym roku podczas spektaklu *Medar* oraz w tym roku w trakcie realizacji *Zlina* Teatru Tygr V Tisni – i z równą werwą opowiadają współczesność (ponieważ współczesność to sprawy uniwersalne, które tylko udają, że są nowe). Tygr v Tisni wzięło na warsztat opowieść o wzorcowym, modelowym czeskim mieście, mieście ogrodzie, które skazane zostało na sukces, na urzeczywistnioną utopię. Ot, miasto zaplanowane do pracy w fabryce Baty, do życia i rozrywki, jedno z wielu konceptów realizowanych na świecie. Opowieść opowiedziana pieczołowicie, z dbałością o szczegóły, z empatią i czułością wobec bohaterów i etapów ich życia.

W Teatrze A PART publiczność zobaczyła spektakl *Trzy Cztery* – trzecią część pomyślanego na kwadryptyk dzieła scenicznego. *Trzy cztery* to bezsłowne ciągi kompozycji, następujących po sobie niczym slajdy (historie ciał biegają nieliniarnie, ale czas ma oczywiście ogromne znaczenie, ponieważ ciała widzimy w czasie – ogromny zegar – instalacja złożona z drabiny i kobiecego ciała zwalnia i przyspiesza, ruszamy w krótką, sceniczną podróż po dwóch tysiącach lat cywilizacji, od antyku, jego obrazów i mitów przez lata 50. i 60. (również z ich ikonogra-

fią – dobrobytu powojennego w cieniu lęków przed zagładą atomową) do współczesności, jej rytmów i symboli (kapitalizm i jego iluzje wolności). Herich wymyślił wielofunkcyjny rekwizyt (drabina), pomyślany zarówno jako metafora (emancypacyjna), jak i narzędzie, dzięki któremu może zmieniać formy i konfiguracje, wytwarzać w sposób minimalistyczny konkretną scenografię.

W Pałacu Młodzieży wystawiono *Ostrov* czeskiego kolektywu Burkicom. Śmiało można powiedzieć, że to było chyba najbardziej widowiskowe przedstawienie na tegorocznym festiwalu. Najbardziej energetyczne i radykalne. Jana Burkieviczova stworzyła w zasadzie enklawę (sama nazywała to laboratorium), w której mogłyby zaistnieć warunki dla życia w jego organicznej i prymitywnej sile. Twórcy stworzyli przestrzeń zewnętrzną (instalacje, obrazy oparte na prymitywnych malowidłach, atlas dźwięków) i wewnętrzną – próbując w sobie sprowokować naturalne odruchy, instynkty, intuicje, siły do wyjścia z bezpiecznych klisz kulturowych (np. antropomorfizacji) ku prawom i regułom panującym w przyrodzie dzikiej i nieoswojonej. Oczywiście wyjście miało być kontrolowane – wszak przedstawiać je miał element kulturowy – taniec, ruch sceniczny. Z tego eksperymentu wyrosło dzieło znakomite, pulsującą energią układów tanecznych, zbiorowych i indywidualnych, ich niezwykłym, naturalnym pięknem, dość również przerażające w swojej radykalnej ocenie tego, co kultura starała się zanegować. *Ostrov* wg Burkicom to nie tylko świat, z którego wyrastamy w prostej linii, to rzeczywistość, do której świat wróci, kiedy zakończy się epoka antropocenu. A słuch po ludzkim gatunku zaginie. Wyspa stanie się całością.

*Cossoc* Magi Serra i Anamarii Klajnšček to również rodzaj wyspy, harmonijne współdzielone. Przypomina matematyczne zbiory z częścią wspólną, określa granice fizyczne spektaklu, ale bez ortodoksji – w miarę upływu spektaklu duet przenosi choreografię poza ten bezpieczny, fizyczny obszar, bliżej publiczności. Ma dość trudną rzecz do wykonania: wykonuje niespełną godzinny spektakl ruchu i tańca w pełnym fizycznym kontakcie, nierozłącznie.



„Przemieszczenie”

Taniec atomów przeciw nieuchronności. Afirmuje każdą wspólnie spędzoną chwilę, każdy splot i rozplot, nawet stany przewagi i władzy (subtelnej), bo są one wliczone w ekonomię układów podwójnych. Warto poświęcić trochę autonomii, żeby opóźnić działanie czasu, entropii. Tej entropii, które poddaje się – choć na własnych warunkach – bohaterka *100 toastów* – ostatniego spektaklu tegorocznego festiwalu.

Performans Anity Wach raz po raz wychodzi poza konwencję teatralną, dezaktywuje ją po to, żebyśmy wszyscy mogli poczuć się częścią procesu. Od kilku lat festiwal realizuje strategię poszerzania pola partycypacji, mam tu na myśli spektakle dla jednego widza oraz przedstawienia, w których cała zbiorowość uczestniczy w kreowaniu działań teatralnych. W mniejszym lub większym stopniu (radykalnym rozwiązaniem są spektakle z obligatoryjną nagością). Osobiście bardzo cieszę mnie ten kierunek poszukiwań i realizacji. Klasyczny podział i wyznaczone granice w teatrze (umowne oczywiście) wydają mi się dziś archaiczne. Zwłaszcza, że dotyczy to również życia, w którym na co dzień uczestniczymy. ■

**29. Międzynarodowy Festiwal Sztuk Performatywnych A PART w Katowicach. 16–25 czerwca 2023 roku.**

Ośrodek Kultury ANDALUZJA w Piekarach Śląskich zmieni niebawem swojego gospodarza. Piotr ZALEWSKI, niesamowity entuzjasta klasycznego rocka, kierujący muzyczną placówką od roku 2005, odchodzi, niestety, na emeryturę w sierpniu. W piekarskim klubie zorganizowano w czerwcu niecodzienne pożegnanie długoletniego dyrektora. Przed liczną zebraną publicznością wystąpił – zaproszony do Piekar w wyniku jego osobistych starań – legendarny zespół rockowy Atomic Rooster.

W niedzielny wieczór czerwcowy pojawiła się na piekarskiej scenie grupa, prezentująca ekscytującą muzykę z pogranicza gatunków: rocka progresywnego, korzennego bluesa i hard rocka. Przypomnijmy, że narodziła się ona w Londynie w 1969 roku. Ówczesni krytycy i recenzenci muzyczni pisali, że formacja oferuje słuchaczom przesycony prawdziwie demoniczną aurą atrakcyjny, ostry i dynamiczny repertuar, eksponujący pomysłowo brzmienie organów.

Grupa wielokrotnie zmieniała skład. Przewinęło się przez nią sporo wybitnych rockmanów, by wymienić chociażby perkusistę Carla Palmera czy też wokalistę Chrisa Farlowe'a, których nazwiska są – same w sobie – wizerunkowymi symbolami ambitnego rocka. W obecnym składzie Atomic Rooster grają dwaj muzycy z najsłynniejszego okresu – gitarzysta Steve Bolton i wokalista Peter French. Z ich inicjatywy zespół został reaktywowany w roku 2016.

Podczas „andaluzyjskiego” koncertu zespół przypomniał publiczności głośne utwory, które niewątpliwie przeszły do historii rocka: *Tomorrow night*, *The devil's answer*, *Death walks behind you*. Ostatni z wymienionej trójki jest od lat uważany za muzyczną wizytówkę grupy, powalającą dosłownie słuchaczy potęgą brzmienia. Ekspresyjnie zabrzmiały też dwie inne rockowe perełki – instrumentalna kompozycja VUG (z imponującym popisem organisty Adriana Gautrey'a) oraz zagrany na bis utwór *Breakthrough*, przy którym nikt nie siedział już na swoim miejscu.

Emocje udzieliły się wszystkim, a niemała część fanów w różnym wieku zgromadziła się bezpośrednio przed sceną, oklaskując gorąco bohaterów wieczoru, w tym m.in. basistę Shuga Millidge'a i perkusistę Paula Everetta. Szczególną owację zgotowano chwilę później Piotrowi Zalewskiemu, niestrudzonemu organizatorowi setek „andaluzyjskich” koncertów rockowych, bez którego muzycy giganci z Europy Zachodniej i USA nigdy nie pojawiliby się w niezwykłym klubie, usytuowanym w 60-tysięcznym mieście Górnego Śląska. Gromko i chóralnie odśpiewano mu serdeczne „100 lat”!

# Atomowe pożegnanie rockowego zapaleńca

ZBIGNIEW LUBOWSKI

– **Który z dotychczasowych koncertów rockowych w ANDALUZJI dostarczył Ci największych emocji?** – zapytałem na gorąco podekscytowanego Piotra Zalewskiego po „atomowym” występie brytyjskiego zespołu.

– W okresie ponad 18 lat mojego dyrektowania w piekarskim ośrodku kultury było ok. 300 fantastycznych koncertów. Emocjonującą imprezą był na pewno występ Iana Paice'a, sławnego perkusisty Deep Purple. Zagrał on w Andaluzji z polskimi muzykami ze szczecińskiej grupy Free Blues Band. Repertuar składał się ze znanych utworów z repertuaru Deep Purple. Obecność muzycznej gwiazdy światowego formatu dostarczyła mi – pamiętam – ogromnej satysfakcji. Po koncercie mogłem usiąść przy jednym stole ze swoim rockowym idolem. Paice okazał się bardzo miłym, kulturalnym człowiekiem o wielkiej życzliwości. Przekonałem się, że wielu zarozumiałych rodzimych rockmanów, którzy nigdy nie zdobyli takiej popularności, jak brytyjski muzyk, potrafi – w przeciwieństwie do niego – zachowywać się obcowsko i arogancko wobec innych.

– **Nie był to chyba jedyny wybitny perkusista rockowy, który zawiązał do Piekar Śląskich.**

– Gościłem w Andaluzji wiele sław rockowych z całego świata. Koncertował tu m.in. perkusista Carl Palmer, związany w przeszłości z popularną grupą Emerson, Lake & Palmer. Występowały ponadto słynne zespoły – Cactus, Ten Years After, Wishbone Ash. Klub był jedynym bodajże miejscem na świecie, w którym pojawiły się w różnym czasie dwa różne wcielenia Wishbone Ash. Oba powstały z inicjatywy dwóch skonfliktowanych ze sobą muzyków z dawnego składu zespołu – Martina Turnera i Andy'ego Powella. Obie formacje prezentowały nieśmiertelne utwory z repertuaru brytyjskiej grupy, która w latach siedemdziesiątych zeszłego wieku zasłynęła urzekającymi balladami z pogranicza folk rocka i hard rocka.

– **A czy zdarzyły się koncerty rozczarowujące?**

– Do takiej kategorii zaliczyłbym występ gitarzysty i wokalisty Leona Hendrixa z USA, młodszego brata legendarnego Jimiego Hendrixa. Jego umiejętności dalece odbiegały od oczekiwań.

– **Publiczność tylko ze Śląska?**

– Początkowo tak. Na koncerty przyjeżdżali do klubu fani z Piekar Śląskich, Bytomia, Chorzowa, Katowic, Siemianowic Śląskich, Sosnowca, Będzina. Potem jednak popularność Andaluzji zaczęła mocno wzrastać, dzięki imprezom z udziałem światowych gwiazd. W efekcie trafiała do nas coraz częściej publiczność z odległych miast, nawet z Sopotu. Na widowni zasiadali też nierzadko miłośnicy rocka z innych krajów – Czech, Słowacji, Węgier, Austrii i Niemiec. Dominującym gatunkiem muzyki, prezentowanym w klubie, był rock progresywny, ale organizowaliśmy również sporo imprez bluesowych i jazzowych. Na łamach opiniotwórczego pisma „Jazz Forum” zamieszczono niegdyś wykaz 100 najlepszych w kraju miejsc, w których gra się jazz. Andaluzja znalazła się w tym prestiżowym zestawieniu.

– **Co będziesz teraz robił w życiu, po rozstaniu z ANDALUZJĄ?**

– Myślę, że z bagażem moich doświadczeń mogę przydać się chyba w innych przybytkach kultury. Nie wiem jeszcze dokładnie, jak potoczą się moje dalsze losy zawodowe. Na razie będę pisał recenzje z koncertów i płyt do pism muzycznych, w tym zwłaszcza do „Twojego Bluesa” – ogólnopolskiego kwartalnika wydawanego przez firmę „Delta” z Chorzowa. Serce mi się ścisza na myśl, że moje muzyczne dziecko – Ośrodek Kultury Andaluzja – trafi teraz w inne ręce.

– **Takie jest życie. Każdy z nas siłą rzeczy trafi do grona stypendystów ZUS-u...**

– Wiem, ale nie chcę, żeby ktoś roztrwonil cenny potencjał piekarskiej placówki. Marzy mi się, by nadal była ona ważnym i rozpoznawalnym miejscem na mapie klubów muzycznych. Uczestniczyłem kiedyś w Katowicach w konferencji, poświęconej sprawie budowania marki instytucji kultury. Prelegent wyświecił w pewnej chwili na ściennym ekranie mapę znanych na Śląsku i cenionych ośrodków kultury w dziedzinie muzyki. Był tam katowicki „Spodek”, Teatr Rozrywki w Chorzowie, Dom Muzyki i Tańca w Zabrze, Gliwicki Teatr Muzyczny, Opera Śląska, Filharmonia Śląska oraz obiekt w Koszęcinie – siedziba Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Na mapie umieszczono również Andaluzję w Piekarach Śląskich. Byłem naprawdę wzruszony.



fol. Ryszard Filla

Koncert brytyjskiej grupy rockowej Atomic Rooster był formą niezwykłego pożegnania odchodzącego na emeryturę Piotra Zalewskiego (poniżej), rockowego zapaleńca i długoletniego dyrektora Ośrodka Kultury ANDALUZJA w Piekarach Śląskich.



fol. Z. Libowski



# Metropolia Kultury

## *kongres*

19–20 października 2023

→ *Sosnowiec*

spotkania

prelekcje

warsztaty

KTW\_  
GZM\_  
2029



Górnośląsko  
-Zagłębiowska  
Metropolia



Sosnowiec łączy



KATOWICE  
dla odmiany